



Sophia James



Waleczna lady Isobel

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Fife Ness, Szkocja, 1346 r.

Na zachodzie już zmierzchało, choć na niebie w odcieniu ołowiu lśniły jeszcze nieśmiało ostatnie pasma różu. Isobel Dalceann zauważyła z brzegu jakieś kształty. Za grzywaczami przyboju, na tle srebra wody unosiło się coś o trudnym do rozpoznania obrysie.

- Patrzcie! - zawołała do towarzyszących jej dwóch mężczyzn. - Tam, dwieście metrów od brzegu.

Na przybrzeżnych skałach zatrzymywały się czasem wraki albo padlina zwierząt morskich, ale tym razem to coś innego.

- Ludzie! - krzyknął nagle Ian.

Nie były to ani kawałki drewna, ani ryby, ani pień drzewa, które wpadło do morza gdzieś w pobliżu Dundee i przyplłynęło z prądem. To byli ludzie.

Ludzie, którzy potrzebowali pomocy. Isobel, która świetnie pływała, postanowiła ich ratować.

Zrzuciła trzewiki i tunikę, odczepiła sztylet, który nosiła na kostce, i pobiegła do wody.

Zaparło jej dech, gdy pokonywała pierwsze długie fale naznaczone u grzbietu chłodem północy, łagodne, ale duże wybrzuszenia na powierzchni morza, przetaczające się jedno za drugim ku brzegowi. Wkrótce długie włosy zaczęły jej oplątywać ramiona, utrudniając ruchy. Musiała je ponownie związać, tym razem ciaśniej, i straciła na to sporo czasu.

Gdy poradziła sobie z kłopotem, Ian właśnie coś krzyknął dziesięć metrów dalej, a Angus mu odpowiedział. Osiągnęli grzbiet kolejnej fali - ta powtarzająca się wspinaczka ułatwiała zachowanie właściwego kierunku. Isobel czuła coraz większe zmęczenie. Nagle załamująca się fala ściągnęła ją pod wodę. Licząc sekundy potrzebne do powrotu na powierzchnię, wykonała kilka mocnych ruchów nogami i po chwili się wynurzyła, akurat przy jednym z żyjących rozbitków.

Z jego rany, biegnącej od łokcia aż po ramię, sączyła się do wody krew, która ginęła w pianie, stając się częścią bezkresnego morza. Trudno było powiedzieć, czy mężczyzna zauważył jej obecność, gdy podpływała. Ona tymczasem zauważyła unoszące się obok drugie ciało.

- Płyń, człowieku, ja pociągnę tamtego - zawołała, próbując przekrzyczeć wiatr.

Rozpadał się deszcz, jego krople wbijały się z szumem we wzburzone morze.

- Nie.

Utrzymał się na powierzchni z determinacją człowieka, który nigdy się nie poddaje. Z jego zielonych oczu biło zdecydowanie. Isobel przyjrzała się dokładniej i wtedy stwierdziła, że ratowany przez niego towarzysz od dawna nie żyje.

- Już po nim. Morze go pokonało - stwierdziła, wskazując topielca.

Pokręcił głową i odwrócił się od niej. Skulił ramiona, jakby nie starczało mu już sił. Wzdiała, że głęboko oddycha i nie zamierza się jednak poddać.

- Pomogę ci - krzyknęła. - Do brzegu jeszcze daleko.

Dotknęła jego ramienia i chyba to wyrwało go z odrętwienia, bo spojrział na nią władczo, jak człowiek, który nie zwykł przyjmować rozkazów od innych.

Isobel z trudem opanowała zaniepokojenie. Mimo że nie znajdowała się w wodzie długo, morze zdążyło ją wyziębic. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że ci ludzie tak długo utrzymują się przy życiu.

- Pomóż najpierw innym, tym za mną - powiedział z wysiłkiem.

Kiedy poruszył ręką, by poprawić uchwyt pod brodą człowieka, którego podtrzymał, zobaczyła na jego nadgarstku ciężką bransoletę ze złotej plecionki.

A więc nie był to zwykły marynarz pływający między Anglią i Szkocją, by zapewnić sobie byt. Miał zresztą dziwnie miękki akcent, jakby pochodził z dalszych stron.

Z tyłu dobiegł ją krzyk. Isobel zobaczyła, że Angus przemarzł i starając się odzyskać chociaż trochę ciepła, przebiera w wodzie nogami z niepotrzebnym pośpiechem. Przestraszyła się nie na żarty. Byli dwieście metrów od dającego bezpieczeństwo brzegu, morze było coraz bardziej rozkołysane, a od wschodu nadciągała burza. Co gorsza, za Angusem znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn, którzy w rozpaczliwej walce o przetrwanie ciągnęli go za sobą pod wodę.

Morze było bezlitosne dla swych ofiar i nie znało zasad czystej gry. Nikomu ani trochę nie folgowało. Isobel podpłynęła szybko i z całej siły zdzieliła starszego mężczyznę w głowę. Gdy udało jej się rozerwać jego chwyt, zacisnęła mu dłonie na gardle i z zadowoleniem stwierdziła, że jest nieprzytomny. Po chwili tak samo potraktowała młodszego.

- *Que Dieu nous en garde!* - mruknął Marc.

Kobieta z wielką blizną na twarzy zabijała jego towarzyszy jednego za drugim, a on przemarznięty do szpiku kości nie mógł nic z tym zrobić. Guy też nie żył. Marc wiedział o tym już od godziny, a jednak nie mógł się zdobyć na to, by rozluźnić chwyt i go puścić.

Toń pod nim wzywała, obiecując koniec cierpień i łatwy spoczynek, a siły, które odnalazł, by walczyć o przetrwanie, nagle go opuściły. Nie mógł już wmówić sobie, że cokolwiek jest ważne. Koniec. Gdy rozwarł palce i opuścił powieki, poczuł, jak błyskawicznie wraca do niego ciepło, którego od dawna w jego ciele nie było.

Szkocja. Kraj jego ojca. Do brzegu zabrakło tak niewiele...

- Trzymaj go od tyłu - pouczyła Angusa Isobel. - I nie pozwól mu się odwrócić, bo w panice wciągnie cię w topiel.

- Nie dam rady z dwoma! Sama wiesz - odparł Angus, przekrzykując wzmagający się wiatr.

- Weź więc młodszego.

Taki wybór na środku morza w sztormową pogodę nie budził najmniejszych wąchań u Isobel. Przetrwają najsilniejsi, i tyle.

Zielonooki obcy mężczyzna też już był stracony, dał się pokonać apatii i morze go wchłonęło, znikł czerwony surkot bez rękawów przesywany złotą nicią. Powinna oczywiście zostawić tego człowieka jego losowi i skorzystać z rady, którą sama przed chwilą dała Angusowi, ale coś kazało jej działać. Zanurkowała w mętnej wodzie i dostrzegła tonącego. Odwrócił się ku niej, jakby wiedział, że zaczęła do niego płynąć, choć jego pobladła twarz miała w tej chwili odcień śmierci.

Wyciągnęła ramię, chwyciła go za ubranie i pociągnęła ku powierzchni. Wynurzyli się. Dookoła pieniała się gryząca solą woda, a deszcz smagał bezlitośnie.

Z całej siły uderzyła mężczyznę nasadą dłoni w plecy, odetchnął chrapliwie i zaczął się krztusić. Splątane ciemnoblonde włosy kleiły mu się do bladej twarzy.

Dochodziły ich ucichające głosy rozbitków. Dookoła bezwładnie jak liście na wodzie unosiły się ciała.

Isobel nie była w stanie ocalić wszystkich, zwłaszcza że zbliżał się odpływ. Jej najlepsze chęci nie mogły odmienić losu tych, którzy znaleźli się na łasce morza i, powoli zamarzając, odchodzili z tego świata.

Ale zielonooki nieznajomy nie tracił przytomności. Chwytał łapczywie powietrze, wystawiając usta ponad fale. Powoli zbliżali się do lądu. Mężczyzna starał się jej pomóc, czuła, jak poruszał nogami. Wreszcie jego stopy dotknęły dna.

Był wysoki. Dużo wyższy od jej męża, który...

Odpędziła te myśli, uciszyła gniew i zaczęła się przyglądać obcemu. Woda sięgała mu do pasa i z każdym krokiem odsłaniała więcej. Nie wydawało jej się, by widziała kiedyś kogoś podobnego w Fife. Był postawny i wyglądał groźnie, wymyślny surkot zdobiony złotem zupełnie do niego nie pasował.

- Już sobie po-poradzę - powiedział i odwrócił się ku morzu.

Patrzył, jak dwaj jej towarzysze docierają do brzegu, a każdy holuje jednego rozbitka.

Trzech ludzi z ośmiu, pomyślała z trwogą Isobel. Boże, czemu nie dało się uratować więcej?

Z posępnej twarzy mężczyzny można było wyczytać, że i on liczy ocalałych, mimo że ledwie stoi o własnych siłach, wycieńczony i ranny. Miał długą szarpaną ranę wzdłuż ramienia, ale nie krwawił. Isobel nie umiała ocenić, czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie.

- Obozujemy na skraju lasu. Chodźmy, tam jest cieplej.

Zirykowało ją, że w jej słowach jest tyle niepokoju. Zupełnie jakby zależało jej na tym, by mężczyzna przeżył. On jednak nie zwrócił na to uwagi. Podeszedł do swojego przyjaciela i zaczął do niego cicho mówić po francusku. Obaj zwrócili się ku nadmorskim zaroślom, jakby oceniali, czy mają szansę znaleźć tam bezpieczne schronienie.

- Jak cię nazywają, pani? - spytał tym razem po angielsku mężczyzna, którego głos nabrał już nieco mocy.

- Isobel Dalceann. Mieszkam na wybrzeżu o dwa dni marszu na zachód stąd.

Zobaczyła, że nieznajomy mierzy spojrzeniem jej przemoczone nogawice, opinające się na udach i odsłaniające kostki. Tak dawno już nie nosiła kobiecych szat, że zapomniała, jak dziwny może to być widok dla kogoś, kto jej nie zna. Mimo woli uśmiechnęła się, zauważyła jednak niechęć w jego oczach. Może odstręczała go blizna na policzku, która zawsze pod wpływem wysiłku ciemniała.

Słońce zachodziło i Isobel czuła, że jak na jeden dzień ma już dość. Naraziła własne życie, jest zmęczona i głodna, a w obozowisku czekały przygotowane do pieczenia króliki oraz pół tuzina ryb owiniętych w liście. Gdy wszyscy najedzą się do syta i ogrzeją, będzie okazja spytać, kim są i czego szukają w tych stronach.

- *Sacrée Vierge.*

Marc powoli szedł w stronę obozowiska, a każdy krok sprawiał mu olbrzymią trudność. Kręciło mu się w głowie i nie był pewien, jak długo jeszcze wytrzyma. Może na skutek dużej utraty krwi, a może dlatego że jego dusza otarła się o zaświaty, pozostawiając ciało za sobą.

Widział to wcześniej u innych, gdy na polu bitwy zadziwienie śmiercią okazywało się większe nawet od strachu przed nią. Pozostawił te myśli i skupił się na tym, co go otaczało, ale z każdą chwilą narastała w nim wściekłość.

Pod baldachimem liści panował mrok, a popołudniowy deszcz pozostawił w powietrzu przenikliwą wilgoć. Simon wydawał się Marcowi równie wyczerpany. Jak nazywał się trzeci uratowany, Marc nie miał pojęcia, wydawało mu się jednak, że to jeden z marynarzy statku, którym płynął do Edynburga. Młody człowiek miał tak silne drgawki, że dwaj mężczyźni, którzy go uratowali z morza, musieli go nieść. Marc wiedział, że ten długo już nie pociągnie. Wszystkimi zaś dowodziła kobieta z nożami przytroczonymi do nogi i pasa.

- Gdzie dokładnie jesteśmy? - spytał celowo po francusku.

Całkowity brak reakcji potwierdził jego wcześniejsze przypuszczenie. Żaden z nich nie mówił po francusku. To go ucieszyło, mógł bowiem w razie potrzeby swobodnie porozumiewać się z Simonem.

- Są dobrze uzbrojeni - zwrócił się do towarzysza. - Musimy poczekać na swoją chwilę. Wiesz, gdzie jesteśmy?

Przyjaciel skinął głową.

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że na półwyspie Fife, nieco na północ od miejsca, gdzie zatoka morska wrzyna się w brzeg i sięga aż po Edynburg. - Przesunął dłonią po górnej części uda. Odzienie miał rozdarte i widać było zasiniałe ciało. Jego głos brzmiał szorstko. - Jak myślisz, co zamierzają zrobić...

Naraz podszedł do nich jeden z wybawców i zerwał złoty krzyż z szyi Simona. Następnie wskazał na pierścień.

Zanim Simon zdążył zaprotestować, Marc powstrzymał go.

- Spokojnie. Oni chcą tylko drobiazgi. Moim zdaniem to uczciwa cena za ocalenie życia.

Następnie Marc zsunął bransoletę z przegubu i położył ją na ziemi. Kiedy podniósł głowę, zauważył, że kobieta bacznie ich obserwuje. Jej twarz wykrzywił grymas, a z brązowych oczu bił gniew. Po chwili spokojnie odwróciła wzrok i zaczęła podsycać ogień.

Jej włosy, wyzwolone z tasiemki, opadły lśniącą ciemną zasłoną aż do talii. W blasku ognia ich hebanową czerń rozświetlały tu i ówdzie intensywnie rude pasma. Marc ze zdziwieniem poczuł, że ten widok obudził w nim żądzę, i zaczął się zastanawiać, jakie te piękne włosy są w dotyku.

Przepędził płóche myśli i usiadł na ziemi oparty o pień drzewa.

- Skąd jesteś? - kobieta odezwała się do niego.

Jej głos brzmiał twardo, nawet nie próbowała ukryć swojego rozczarowania. Zwrócił uwagę, że nie spytała o imię.

- Z Francji. - Uznał, że warta ujawnienia jest jedynie część prawdy. - Statek, którym płynęliśmy, został zepchnięty z kursu przez wiatr. Sztormowe fale go przewróciły.

Kobieta przeniosła uwagę na mężczyzn, którzy wymieniali gniewne słowa, kłócąc się o klejnoty. Powstrzymała ich krótką komendą, chociaż starszy z tych dwóch zacisnął pięści i wyprowadził dwa ciosy w powietrze.

Zachowując obojętny wyraz twarzy, Marc spojrział na kobietę. Odruchowo sięgnęła do sztyletu przy pasie i spierający się mężczyźni umilkli. Wtedy gestem nakazała związać Marca i Simona. W pierwszej chwili Marc postanowił się bronić, ale uznał, że rozsądniej będzie poczekać, ponieważ jego ramię wymagało pielęgnacji, a Simon nie doszedłby daleko z ranną nogą.

Sznur był gruby i zręcznie zadzierzgnięty, ale Isobel Dalceann osobiście sprawdziła więzy. Przy okazji otarła się o Marca ramieniem i wtedy zauważył, że musiała mocno zmarznąć. Pierwszy raz pomyślał, że z pewnością umie ukrywać swoje uczucia.

- Rozwiążemy was, gdy jedzenie będzie gotowe, ale potem znów skrępujemy, i tak będzie, póki nie zdecydujemy, co z wami zrobić. Po posiłku zajmę się twoim ramieniem.

To ostatnie zdanie dodało mu otuchy. Gdyby chciała ich zabić, nie traciłaby czasu na opatrywanie ran.

- Mogę poczekać.

Isobel uśmiechnęła się. W jej policzkach pojawiły się dołeczki i twarz nabrała dziewczęcego uroku. Marc usłyszał głośny wdech Simona i zrozumiał, że zwrócili uwagę na to samo.

Ta wojowniczką była najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się widzieć, i to mimo blizny, dziwnego stroju i marsowej miny, która wydawała się u niej naturalnym wyrazem twarzy. Odwrócił głowę, żeby pozbyć się niepożądanych myśli, ale bez skutku.

- Na co chcesz czekać? Do Edynburga idzie się stąd prawie tydzień, a do tego czasu twoje ramię... - Urwała i przygryzła wargę. - Morze oczywiście oczyściło ranę, ale wasze więzy są już stare i mocno zużyte.

Zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Z doświadczenia wiem, że brud często kończy to, co zaczęła głownia.

Same zagadki. Przyszła mu do głowy nowa myśl. Czyżby Isobel była jednym z fokolu-dów, o których opowiadało mnóstwo legend z tych stron? Nigdy nie widział kobiety, która tak

zręcznie poruszały się w wodzie, a kolor jej włosów przypominał mu lśniąca czerń sierści fok, które często widywało się na brzegu.

Pomyślał, że przez tę utraconą krew zaczyna tracić rozum, co więcej oczy Isobel rozbudzały żądze, które miały pozostać niezaspokojone.

Odwrócił głowę i już się nie odezwał.

Wyczekiwała pierwszego jęku nieznanego. Mimo swojej powściągliwości w słowach Isobel cieszyła się na moment, w którym ten niezłomny człowiek okaże słabość podczas opatrywania rany.

Jego zielone, pełne żarliwości oczy budziły w niej niepokój podobnie jak obcy akcent i złota biżuteria. Ian chciał go zabić i uchronić się w ten sposób przed ewentualnymi kłopotami, ale zabroniła mu. Prawdopodobnie bowiem byli to ludzie Dawida, którzy dopiero co wrócili z Francji opromienieni władzą monarchy i całkiem pozbawieni szacunku dla dawnych praw.

Co mogli wiedzieć o niej i o Ceann Gronna?

„Isobel nie do wyswatania”, tak ją teraz nazywano. Usłyszała o tym od barda, który przybył do ich zamku z pieśnią pod tym właśnie tytułem.

Soczyście zakłęła pod nosem i znów zajęła się posiłkiem. Rutyna codziennych czynności pomagała przezwyciężyć panikę i zachować czystość umysłu. Dwa dni drogi dzieliły ich od zamku, a następne dwa od Dunfermline, skąd można było wyprawić obcych promem przez zatokę w stronę Edynburga.

Żałowała, że towarzyszyli jej tutaj Angus i Ian, bo teraz musiała obserwować jednocześnie wszystkich czterech mężczyzn.

Czekała, aż zielonooki znowu zacznie mówić po francusku, aby mogła go podsłuchać i poznać jego zamiary. Nie interesowało jej jednak, skąd i w jakim celu przybyli. Chciała, jak najszybciej odesłać ich do Edynburga i zapomnieć o tym dniu.

Prosta srebrna obrączka, którą Isobel nosiła na palcu, była już ciasna i nie dawała się obrócić. Ślub na całe życie okazał się ważny jedynie dwa lata, a potem pozostało tylko jarzmo winy. Czasem siebie nienawidziła. Nienawidziła też zmian, jakie zaszły wraz z nastaniem nowego władcy, króla Dawida*.

* Dawid II Bruce (ur. 5 marca 1324, zm. 22 lutego 1371) - król Szkocji 1329-1371. Ostatni z dynastii Bruce. Po jego bezdzietnej śmierci na tronie zasiadł Robert II, założyciel dynastii Stuartów (*przyp. red.*).

Dawniej rządzili tutaj lairdowie, a wielkie majątki przekazywano z pokolenia na pokolenie jak najcenniejsze skarby. Tak było, dopóki nie nastał król Dawid ze swoimi hołdami lennymi i baronami, z odbieraniem ziemi siłą i nadawaniem jej wasalom za służalczość i lojalność.

Odetchnęła, aby się uspokoić. Żałowała, że nie jest sama. Czuła na karku jego spojrzenie, jakby na coś czekał.

Czyż nie to właśnie powiedział przyjacielowi ten człowiek, siedzący pod drzewem w nogawicach ciasno opiętych wokół miejsc, na myśl o których przyspieszało bicie jej serca.

- Alisdair.

To imię wyrwało jej się z ust jak modlitwa lub błaganie i przypomniało o niepowetowanej stracie. Ucieszyła się więc, gdy Angus wyszedł z lasu, niosąc naręczę suchego drewna i garść jagód.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Ryba i królik były miękkie po ugotowaniu, a choć ten, którego kobieta nazywała Ianem, wydzieliłby im pewnie tylko po małej porcji, ona nakazała, by nałożono im do misek pełno i nie żałowano sosu.

Marynarz nie zjadł ani kęsa, głowa bezwładnie opadała mu na pierś w bardzo niepokojący sposób. Marc zauważył, że kobieta przyniosła dodatkowy koc i troskliwie go okryła. Dostrzegł też, że pozostawiła mu swobodę ruchów i nie związała ponownie. Pewnie po to, by mógł umrzeć nieskrępowany, pomyślał Marc.

Gdy skończyła, podeszła do Marca, rozluźniła sznur krępujący mu nadgarstki i pokazała, by zbliżył się do ognia. Czekala tam flaszka whisky. Kobieta dała znak, by się napił. Jej zadumany wzrok kazał mu przypuszczać, że to wszystko dzieje się całkiem wbrew jej zamierzeniom. Pociągnął długi łyk, starając się wlać w siebie jak najwięcej trunku, nim kobieta odbierze mu naczynie, Z zadowoleniem powitał piekące uczucie w przelyku i rozlewające się po całym ciele ciepło.

Uspokoił się, mimo że kobieta podeszła do niego z nożem.

- Muszę usunąć martwą skórę.

Nie odpowiedział, ona tymczasem wylała whisky na ramię. Rana paliła jak ogień i serce zaczęło mu łomotać tak, że o mało nie wyrwało się z piersi.

Blask ognia zamienił jej oczy w żywe złoto, palce zręcznie kierowały ostrzem. Dostrzegł u niej jeszcze jedną bliznę, biegnącą od nasady małego palca po wierzchu dłoni aż po kciuk. Ciekaw był, czy obie powstały w tym samym czasie.

- Lepiej, abyś się nie ruszał.

Te słowa miały oczywisty wydźwięk. Rusz się, a będziesz bardziej cierpiał. Zabrzmiały jak wyzwanie rzucone litościwemu sercu.

Żałował, że nie ma kawałka skóry, który mógłby przygryzać.

- Znasz się na sztuce uzdrawiania? - spytał.

Obaj mężczyźni za jego plecami parsknęli śmiechem.

Zobaczył, że mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści noża. Był to drobny ruch, który jednak zdradzał wcale niemały gniew. Marc miał nadzieję, że oznaczał on również troskę, a nie po prostu wprawę i umiejętności. W tej chwili na nic innego nie mógł liczyć. Tymczasem ku swemu zaskoczeniu otrzymał odpowiedź.

- Z doświadczenia wiem, że uzdrowicielki są przeważnie kobietami, które mało się interesują tym, co codzienne i przyziemne. Na ich usprawiedliwienie dodam jednak, że muszą one jakoś wiązać koniec z końcem w świecie pełnym okrucieństwa.

Podobał mu się taki sposób myślenia.

- Czyli nie jesteś jedną z nich?

- Czarownice i wróżki nie przychodzą na świat w zwykłych rodzinach.

Gdy Isobel uniosła nóż, płomienie odbiły się w jego srebrnym ostrzu.

- Ty pochodzisz ze zwykłego rodu, tak?

Nagle zapragnął czegoś się o niej dowiedzieć. Miał nadzieję, że może mu odpowie wytrącona z równowagi jego bólem i cierpieniem.

Zachowała jednak milczenie i mocno zaciskając usta, wbiła nóż w jego ciało. Mdłości, które nie opuszczały go ani na chwilę od czasu, gdy został wyciągnięty z odmetów, nasiliły się. Żółć podeszła mu do gardła.

- Boże Wszechmogący - szepnął.

- A więc jesteś religijnym człowiekiem?

- Czy gdybym tak powiedział, w czymkolwiek by mi to pomogło?

- U Boga czy u mnie? - spytała, rozcinając nożem żywą tkankę i patrząc, jak krew wypełnia ranę.

Przełknął głośno.

- W ranie jest piach i brud, trzeba go usunąć - powiedziała.

- Ziarenko po ziarenku?

Wyraźnie się wzdrygnął, więc na chwilę zatrzymała nóż i spojrzała na niego z ukosa. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że czuł ciepło jej oddechu.

Zaczął drżeć, co bardzo go zirytowało, ale nawet gdy drugą ręką przycisnął łokieć do boku, nie był w stanie nad tym zapanować.

Wstrząs, pomyślał. Od tego można umrzeć równie łatwo jak od zimna. Pod wpływem tej myśli zerknął na marynarza na kocu i zauważył, że przestał oddychać.

- Opuścił nas w czasie, gdy polewałam ci ramię whisky. - W głosie Isobel Dalceann nie było cienia żalu, mimo że wcześniej zajmowała się tym człowiekiem. - To, co czeka nas jutro, przerastałoby jego siły, więc Pan w swojej mądrości wziął go do siebie.

Ta kobieta jest uduchowiona, a zarazem praktyczna, pomyślał. Trudno zrozumieć dlaczego, ale i jedno, i drugie wydało mu się pocieszające.

Ból nasilał się, ale Marc trwał w milczeniu. Zaczął w myślach liczyć.

Zanim osiągnął sto i kobieta odwiesiła nóż na hak przy ogniu, wiedział, że nie zapanuje nad żołądkiem.

Odwróciła się i nie patrzyła na niego, gdy wymiotował, mimo że obiecała sobie co innego. Jednak ten człowiek o zboląłych zielonych oczach, ubrany w surkot wyszywany złotem, był... urzekający. Nie umiała znaleźć lepszego słowa.

Postanowiła się nie wtrącać, póki nie uzna, że mężczyzna wygląda tak, jakby lada chwila mógł upaść i zabrudzić ranę ziemią. Cierpliwość zawsze była jej mocną stroną.

- Skończyłeś?

Żałowała, że nie może zaprawić tego pytania odrobiną współczucia, ale patrzyli na nią jej podwładni i nie mogła sobie na to pozwolić,

Skinął głową i wyprostował się. Wciąż drżał, choć już nie tak gwałtownie, jak przed chwilą.

- Maść, którą przygotowałam, ulży ci w bólu.

Na wargach zagrał mu uśmiech, ale nic nie odpowiedział.

- Iglą, którą będę zszywać rozcięcie, nie jest najcieńsza.

- A gdzie się podziała ta najcieńsza?

- Została w skórze nieszczęśnika, który już odszedł.

- Cóż za pech! Nie jego, tylko mój... Niespodziewanie głośno się roześmiała, jakby wszystko w jej świecie było w najlepszym porządku. Ian wstał i nieco się zbliżył.

- Czyżbyś wypila więcej whisky, niż wylałaś mu na ramię, Izzy? - spytał i podniósł z ziemi flaszkę.

Wyrwała mu ją, odstawiła na miejsce i wyjęła z torby gliniany pojemnik. Trzymała tam owinięte w papier pałeczki aromatycznej główienki i suszonej koziej brody, ale szukała nici z oczyszczonego jelita jagnięcego.

Ujmując w palce nić, myślała, że dla obcego byłoby lepiej, gdyby po prostu zemdlął i pozwolił jej spokojnie działać. Żadna ilość alkoholu nie mogła stępić takiego bólu.

Iglę wyparzyła w płomieniu, a nić przed nawleczeniem zanurzyła we wrzącej wodzie czosnkowej. Mocno zapiekły ją przy tym palce. Cyganka z Dundee, którą kiedyś spotkała, pokazała jej kilka tajemnic zabiegów medycznych i Isobel nigdy tej lekcji nie zapomniała. Wszystko należy wyparzać i jak najmniej później dotykać. Po ślubie Alisdair kupił jej kiedyś

srebrne szczypczyki w Edynburgu, ale zginęły gdzieś w chaosie obrony Ceann Gronna. Alisdair też zginął! Przydałoby jej się teraz to narzędzie, chwytne i łatwe w trzymaniu.

Ramię rannego lśniło w blasku ognia. Było bardzo umiejętnie i wyglądało na silne. Gdy podeszła, zobaczyła, że napiął całe ciało.

- Jeśli nie rozluźnisz mięśni, ból będzie większy.

Uśmiechnął się i odsłonił rząd równych, białych zębów. Isobel wolałaby, żeby był brzydki albo chociaż stary.

- Trudno się rozluźnić, kiedy twoja igła wygląda tak, jakbyś dostała ją od szewca.

- Skóry wszystkich zwierząt mają mniej więcej te same właściwości.

Odchyliła płat skóry i głęboko nakłuła. W ciszy rozległ się dźwięk przebijanego ciała, ale Marc ani drgnął. Nigdy jeszcze nie opatrywała nikogo, kto siedziałby tak nieruchomo, a z własnych doświadczeń wiedziała, jak bardzo musi to boleć.

Zaszyła ranę kilkunastoma szwami. W miejscach nakłuć gromadziła się krew, która ściekała po ramieniu. Marc drugą ręką próbował ją ocierać.

- Lepiej, żeby krwawiło, póki nie nałożę maści. Nie chciała mu powtarzać, że rana musi być dokładnie oczyszczona.

Skinął głową. Oddychał coraz szybciej. Nad górną wargą zbierały mu się krople potu, na policzkach widać było jednodniowy zarost. Gdy się odwrócił, spostrzegł, że jest obserwowany.

- Ta kobieta zachowuje się jak czarownica. Nie wiem, czy powinniśmy jej ufać - powiedział po francusku towarzysz opatrywanego.

Marc roześmiał się mimo bólu.

- Nie wiem, czy jak czarownica, Simonie, ale wątpię, czy dworski medyk zrobiłby to lepiej.

Dworski? - zastanowiła się Isobel. Czy on ma na myśli Edynburg, czy Paryż?

Skończyła i lekko zgięła mu ramię. Skrzywił się, gdy skóra się napięła.

- Trzymaj ramię nieruchomo - powiedziała, nie chciała bowiem, by jej praca poszła na marne.

- Jak długo?

Wzruszyła ramionami, wysypała na dłoń jakiś proszek z papierowego zawiniątka i zmoczyła śliną. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Widziała mężczyzn, którzy następnego wieczoru podnosili miecz, inni jednak mieli kłopoty nawet z ubraniem się bez pomocy, Ułożyła jego

ramię tak, by mieć dostęp do rany, nałożyła na nią brązową maź i obwiązała kawałkiem tkanki, której rozcięła koniec, by móc zawiązać węzeł.

- Do jutra będziesz wiedział, czy rana się paskudzi.

- A co jeśli będzie się paskudzić?

- Moje starania pójdą na marne, a ty albo stracisz ramię, albo życie.

- Piekielna sytuacja.

- Hm, skoro bogowie morza ci darowali, to może bóg uzdrowiciel weźmie z nich przykład.

Ulżyło jej, gdy po tych słowach zielonooki odsunął się na sporą odległość.

Bolało go wszystko - ramię, głowa i gardło. W dodatku nieustannie padał deszcz i wszystko bez wyjątku nasiąkło wodą.

Spał niespokojnie, zawinięty w koc jak dziecko. Zbudził się dopiero, gdy księżyc bladł już o brzasku. Isobel Dalceann siedziała wyprostowana i opierała się o pień drzewa. Włosy miała schowane pod kapeluszem, więc krople deszczu skapywały z szerokiego ronda na szare wełniane sukno jej wierzchniego okrycia. Palcami jednej ręki przebierała po szklanych paciorkach czarnego różańca, odbijających blask ognia. Sposób, w jaki bezgłośnie poruszała wargami, kazał się domyślać jakiejś prastarej modlitwy. Marc nie mógł oderwać oczu od tej kobiety z nożem na kolanach, gotowej odebrać mu życie, mimo że cały wieczór poświęciła jego ratowaniu.

- Wiem, że nie śpisz.

Mimo woli poczuł rozbawienie.

- Trudno spać ze świadomością, że rano mogę stracić ramię.

- Jak się czujesz?

- Obolały.

- Ale nie chory?

Pokręcił głową.

- Skoro tak, to przypuszczam, że jednak uda ci się je zachować.

- Brakuje ci nieco delikatności w obchodzeniu się z chorym.

Uśmiechnęła się.

- Tamtego wrzuciliśmy do morza podczas odpływu. Z tobą Ian najchętniej zrobiłby to samo.

- Rozwiążcie nas, to odejdziemy w kierunku, który wskażecie.

- Problem polega na tym, że wiecie, kim jesteśmy, a mamy wielu wrogów.

- A jeśli damy słowo honoru, że zachowamy milczenie?

- W walce o przetrwanie słowo honoru traci swoją moc.

Wbiła wzrok w jego nadgarstek, który zdobiła przedtem bransoleta.

- Złoto? - Marc usiadł i ramię przeszył mu porażający ból. - Nie mogliście wiedzieć, że je mamy, póki nas nie wyciągnęliście.

Ujrzał błysk jej białych zębów.

- Ale mogliśmy mieć na to nadzieję.

- Tylko o to chodziło?

Wciąż wyglądała jak cień wśród drzew. Nogi miała podciągnięte pod brodę, a ramiona okryte kocem.

- Dwa tygodnie temu z Ceann Gronna wypłynęła na południe łódź z tuzinem naszych ludzi. Ian, Angus i ja opuściliśmy zamek, żeby sprawdzić, czy nie wracają. Na wasz widok pomysleliśmy, że to nasza łódź rozbiła się o skały. - Na chwilę przerwała odliczanie paciorków i niemal bez zmiany intonacji zmieniła język. - Rozmawiałeś z przyjacielem o medyku na dworze. Z którego dworu przybywacie?

Marc osłupiał.

- Mówisz po francusku?

- Płynnie. Moja matka pochodziła z Antwerpii.

- Rozsądek nakazywałby zachować tę informację dla siebie.

- Jako oręż? - Na jej twarzy w kącikach ust pojawiły się urocze dołeczki.

Pierwszy raz Marc dostrzegł w niej kokietkę, jaką kiedyś z pewnością była.

- A na cóż mi oręż? Twój przyjaciel ledwie łązi, taki jest potłuczony, a ty masz obandażowane i bezużyteczne ramię. Jesteś praworęczny?

- Tak.

- Miejmy więc nadzieję, że ćwiczyłeś również drugą rękę, by móc w razie potrzeby odeprzeć atak nieprzyjaciela.

- Po co ta nadzieja? Czy nieprzyjaciel jest blisko?

- Patrzysz prosto na jednego z nich, monsieur. Jest na wyciągnięcie ręki.

Słowa te wypowiadała śmiertelnie szczerze.

- Kobietę, która dwa razy uratowała mi życie, trudno byłoby mi uznać za nieprzyjaciela.

- Najprzebieglejszymi wrogami są ci, których znasz i obdarzasz zaufaniem.

Wiedział, że kobieta mówi to z własnego doświadczenia, ale ponieważ pierwsze lody zostały przełamane, wołał o tym nie wspominać, żeby nie przerywać rozmowy.

Poza tym nocą, gdy lśnił nad ich głowami księżyc i cicho odzywały się wyrwane ze snu ptaki, poczuł dziwną zażyłość z tą kobietą. Jak z żadną inną wcześniej.

- Jak masz na imię?

To pytanie padło po długim milczeniu i Marc się zawahał. Jak wiele powinien jej wyjaśnić? Uznał, że lepiej być ostrożnym.

- James.

Powtórzyła za nim dwa razy.

- Miałam brata, który nazywał się tak samo.

Zwrócił uwagę na czas przeszły.

- Matka zabrała go z sobą, gdy odchodziła od ojca. Miałam wtedy sześć lat, a on miał trzy. Łódź, którą uciekali, zatoniła przy przylądku Kincaid. Nikt się nie uratował.

Zastanowił się, dlaczego matka nie wzięła jej ze sobą, ale zanim zadał pytanie, wyjaśniła:

- Wrogowie potrafią się maskować, udając troskę i oddanie. Przychodzi im to równie łatwo, jak nienawiść. Z mojego doświadczenia wynika, że każdy rodzic ma swoich ulubieńców.

- Boże!

W jego cichym okrzyku zawierał się chyba nie mniejszy gniew niż ten, który musiała odczuwać, gdy miała sześć lat.

- Miałaś więcej rodzeństwa?

- Zadajesz zbyt wiele pytań - powiedziała, wstała i przeciągnęła się.

Zauważył zarys piersi pod tuniką. Materiał nieco się obsunął i pozwalał dostrzec, jak szczerze wynagrodziła tę kobietę natura.

Mon Dieu, odkrywał w sobie kogoś, kogo istnienia dotąd nawet nie podejrzewał. Czyżby zakręciło mu się w głowie po nocnych zabiegach medycznych, że spoglądał pożądliwie na kobietę, która lada chwila mogła go wrzucić z powrotem do morza?

Było w niej jednak coś wyjątkowego. Sprawiała wrażenie kobiety innej niż wszystkie i bardzo impulsywnej. Nawet wśród znanych mu mężczyzn nie było żadnego, który bez wahania skoczyłby do tak zimnego i wzburzonego morza.

Zastanawiało go też, jak długo ta kobieta żyje w tak surowych warunkach, z dala od towarzystwa innych kobiet.

Jej towarzysze podróży leżeli po drugiej stronie polany, a ich chrapanie mieszało się z chrapaniem Simona. Mieli obok siebie bukłak z whisky i oparte o skałę noże i kusze, gotowe w każdej chwili do użycia.

Wrogowie. Wszędzie.

Ostatni dzień przyniósł dla niego zupełnie nieoczekiwane rozstrzygnięcia. Guy zginął, Simon się uratował, a ramię zszyła mu kobieta, która wyglądała jak upadły anioł. Z westchnieniem zamknął oczy i zasnął.

Słyszała jego równy oddech i wiedziała, że sen wziął górę nad bólem.

Leżał, trzymając zdrowe ramię pod głową zamiast poduszki. Krople deszczu osiadały mu na włosach jak małe klejnoty. Zagadkowy był ten James z czujnymi zielonymi oczami, ze złotą bransoletą, pomyślała. Słyszała, jak marynarz rozmawia z mężczyzną imieniem Simon o tym, jak zielonooki uwolnił ich z płataniny lin i żagli, gdy statek tonął, i jak wrócił, by sprawdzić, czy ktoś nie został na pokładzie. Liczne rany i sińce na jego ciele dowodziły, że zadanie nie było łatwe. Nieprzerwana czujność tego człowieka, walczącego z wielkim bólem, mogła imponować.

Zakłęła pod nosem i zaciskając pięści, posłuchała, jak mężczyzna oddycha. W nocnym bezruchu ten cichy odgłos wydawał się krzepiący. Właśnie dziwny nastrój tej nocy sprawił, że wspomniała mu o matce, chociaż przez całe życie nikomu nie powiedziała o niej ani słowa. Przez całe dwadzieścia trzy lata. Boże, westchnęła w duchu, wydawało jej się, że było tych lat znacznie więcej.

James. Nie pasowało do niego to imię. Trąciło praworządnością i było zanadto pruderyjne. Chciała, żeby się zbudził, by mogli jeszcze porozmawiać we dwoje tej nocy, gdy deszcz głużył ich głosy i nie pozwalał ich usłyszeć innym. Jednak zmęczenie w końcu go pokonało, a ona, prawdę mówiąc, cieszyła się, że znalazł spokojny odpoczynek.

Sama nie mogła zasnąć, bo w głowie kłębiło jej się zbyt wiele myśli. Wracało do niej zbyt wiele wspomnień - smutek matki i wściekłość ojca, gdy przekonał się, że jego żona uciekła podziemnym korytarzem, kończącym się w jednej z nadmorskich jaskiń w Ceann Gronna. Przez wiele godzin dosłownie szalał na murach, a gdy Isobel przyszła do niego, chcąc mu pomóc, odepchnął ją, nienawistnie krzyżąc. Takie wspomnienia wpędzały ją w melancholię. Była wtedy małym dzieckiem obwinionym o egoizm i postępkę rodziców.

Potrzebowała trochę przestrzeni, by odgrodzić się od nieznajomego i bolesnych wspomnień, które nie wiedzieć czemu obudził. Zadawał pytania skłaniające do zwierzeń, którymi

nigdy nie zamierzała się podzielić. Nie obawiała się, że Ian okaże nieposłuszeństwo i będzie chciał zabić rozbitków. Wyraźnie mu przecież wytłumaczyła, jakie poniesie konsekwencje, jeśli nie uda mu się zapewnić im bezpieczeństwa.

Uważając, by nikogo nie zbudzić, spakowała swoje rzeczy, odchyliła gałąź i znikła jak duch w mroku gęstego lasu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy się zbudził następnym razem, Isobel Dalceann nie było, za to ból głowy rozsadał mu czaszkę.

Simon wyglądał bardzo źle, miał silne dreszcze, podobne do tych, które zabrały marynarza z „Le Havre”, i przekrwione oczy.

Dwaj Szkoci siedzieli przy ognisku i rozgrzewali ręce nad płomieniami.

- Jest woda? - Marc skierował to pytanie do młodszego z nich.

- Zależy dla kogo - odpowiedział Ian i ramieniem otoczył kompana, żeby nie przyszło mu do głowy przyjść z pomocą.

Ten młody nazywa się Angus, przypomniał sobie Marc, tak zwracała się do niego Isobel. Chłopak z wyglądu bardzo przypominał Iana.

- Mój przyjaciel ma gorączkę.

- To kąpiel w oceanie na pewno dobrze mu zrobi.

Wysoki chudzielec wstał i podszedł do nich ze złośliwą miną.

- Wczoraj widziałem po drodze strumień. Na pewno byłby lepszy.

Spoglądając na nich z niechęcią, Ian zmienił temat:

- Te insygnia na bransolecie, którą ci zabraliśmy... Co oznaczają?

- Kupiłem to cacko w targowym mieście na północy Francji. Może to jakiś znak rodowy, a może symbol własności... Nie wiem.

- A może jesteś tutaj, żeby szpiegować dla króla?

- Filip, król Francji, jest zbyt zajęty swoimi problemami, żeby przejmować się Szkocją.

- Mówiłem o Dawidzie, królu Szkotów.

- Jako kupiec bławatny, który dopiero co przybył tutaj z Bretanii, zostawiam politykę tym, którzy ją rozumieją.

Mówiąc to, Marc podkreślił swój obcy akcent, a gdy zamilkł, wzruszył ramionami, żeby dodać swojemu twierdzeniu mocy. Obojętność była dobrą obroną. To właśnie subtelne szczegóły pomagały uwiarygodnić graną postać, a nie gwałtowna gestykulacja.

Z wysiłkiem wstał.

- Handlujesz takim sukniem jak to, z którego masz surkot?

Pytanie Angusa zdawało się zdradzać jego zainteresowanie.

- Owszem.

W świetle poranka czerwony aksamit pięknie lśnił.

- Gdzie jest kobieta, która mnie opatrzyła? - spytał Marc, usiłując przerwać to wypytywanie.

Nie udało się. Ian z całej siły uderzył go w twarz. Marc zachwiał się, ale jakoś ustał. Z lewej brwi zaczęła ściekać mu krew, barwiąca świat na czerwono, a w nim obudził się żołnierski instynkt.

- Isobel Dalceann nie jest dla ciebie. Zrozum to raz na zawsze. Widziałem, jak się gapisz na nią z ogniem w oczach!

Z tymi słowami Szkot wyciągnął nóż. Marc błyskawicznie przewrócił go dobrze wymierzonym kopniakiem i korzystając z zaskoczenia, poprawił drugim. Długie lata ćwiczeń sprawiły, że było to dziecinnie łatwe zadanie, właściwie mógłby to zrobić przez sen. Widząc, że przeciwnik leży nieruchomo, Marc rozejrzał się za tym młodszym, okazało się jednak, że uciekł i nawet zostawił bukłak z wodą. Położywszy związane dłonie na gładkiej ścieżce, przez chwilę nasłuchiwał oddalających się szybkich kroków. Młody prawdopodobnie postanowił wrócić do zamku, pomyślał. Isobel Dalceann powiedziała przecież, że to niecałe dwa dni drogi na zachód.

Edynburg znajdował się w tym samym kierunku, na umocnionym brzegu w głębi zatoki Forth. Potrzeba było przynajmniej czterech dni forsownego marszu, by tam dotrzeć, a to stanowczo przerastało możliwości Simona.

Marc chwycił za nóż Iana, oparł więzy na ostrzu i zaczął piłować. Gdy wreszcie udało mu się uwolnić ręce, przeciął również sznury krępujące Simona. Przy każdym ruchu ramię bolało go jak diabli, a na bandażu pojawiła się jaskrawoczerwona linia. Z palców skapywała lepka krew. Wytarł dłoń o aksamit i rozejrzał się. Zostały kusza i koc. Pokazał Simonowi, żeby zabrał te przedmioty, a sam powiązał rozrzucone kawałki sznura w jedną linę i przywiązał wciąż ogłuszonego Iana do pnia drzewa.

Wiedział, że w zasadzie powinien poderżnąć mu gardło, korzystając z tego, że nie ma świadków. Z drugiej strony Isobel Dalceann uśmiechała się do tego Szkota jak do wypróbowanego przyjaciela, a Marca też dręczyło dziwne wahanie, ożyło w nim nieznane mu dotąd pragnienie, by sprawić komuś przyjemność.

Simon kasłał w bardzo niepokojący sposób. Oddech miał płytki i przyspieszony.

- Zi-zi-zimno mi.

Marc wiedział, że powinno być wręcz odwrotnie, bo kiedy rozwiązywał przyjaciela, czuł, jak rozpalona jest jego skóra. Zdjął z Simona tunikę i koc, po czym wrócili do strumienia, który mijali poprzedniego dnia na przylądku, tuż przy plaży. Dreszcze Simona się nasilały. Ustały nieco, gdy Marc wepchnął go do wody. Ochłodzony Simon przestał się opierać.

- Boże - mruknął Marc, gdy z ramienia popłynęła mu do strumienia czerwona strużka, a Simon zaczął krzyczeć.

Isobel przygryzła wargę i dumiała o momencie, w którym jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Odruchowo podniosła dłoń do twarzy i przesunęła palcami po bliźnie, sięgającej aż po linię włosów poniżej lewego ucha. Gdyby tylko mogła cofnąć czas!

Przeklęta, niekończąca się wojna! Zapisala się u niej głębokimi bruzdami na twarzy, które dodały jej rysom surowości i postarzyły ją. Dobrze pamiętała śmierć męża z ręki jej ojca. Gdy Alisdair odchodził już z tego świata, budził litość i otrzymał jej przebaczenie. Chwilę później słowa uwięzły mu w gardle, a krew popłynęła z kącika ust. Jej ojciec zawsze był niezrównoważony, więc w dzieciństwie starała się przede wszystkim unikać jego ciężkiej karzącej ręki. Nienawidził jej. Za bardzo była podobna do zdradliwej żony, która odebrała mu jedyne syna.

Gniew, który miała w sobie, czasem wydawał się nie do opanowania, i zatruwał każdą jej myśl. Musiała odetchnąć i przysiadłszy pod drzewem, podciągnęła kolana pod brodę. Walczyła ze strachem, odkąd pamięta. Wciąż nachodziły ją bolesne wspomnienia z dzieciństwa, które niezmiennie kończyły się jednym i tym samym przerażającym obrazem. Nie było na to ratunku.

Przesunęła palcami po srebrnej obrączce na palcu. Cieszyła się, że ją ma. Na wewnętrznej stronie obrączki Alisdair kazał wygrawerować słowo „wiara”. Kiedy wkładała ją sobie na palec, zastanawiała się, czy oznacza ono wiarę w Boga, czy w męża. Z biegiem lat to słowo nabierało dla niej coraz większej wagi i nadawało jej życiu sens. Wierzyła w słuszność tego, co robi. Wierzyła w swój klan i niezbywalność jego praw do ziemi. Przysięgała pozostać w Ceann Gronna i ochraniać wszystkich tych, którzy jej nie opuszczą.

Spojrzała ku zachodowi. Chmury spowijały horyzont, a deszcz padał rześściej niż nocą. Nie ulegało wątpliwości, że drogi do domu staną się błotniste i trudne do przejścia. W takich warunkach czas powrotu wzrośnie w dwójnasób.

Nie było jej w obozowisku od czterech godzin, a tymczasem słońce już wstało. Musiała wrócić, by dopilnować, że nieznajomi znajdą się poza granicami ziem Dalceannów. Zaciśnęła zęby, wstała i zaczęła brnąć pod wiatr.

Naraz zielonookiego i jego przyjaciela zobaczyła z oddali na stoku, dobre trzy kilometry od miejsca, w którym obozowali, ale Angusa ani Iana z nimi nie było. Gdzie, u diabła, podzieli się jej ludzie? Dlaczego pozwolili im ruszyć bez straży W stronę Edynburga?

James prawdopodobnie ściągnął swój czerwony surkot i przewrócił go na lewą stronę, bo ciemny aksamit podbicia zlewał się teraz z drzewami w tle. Drugi mężczyzna, nazywany przez Jamesa Simonem, wisiał mu na ramieniu i właściwie był ciągnięty. Kulał jeszcze bardziej niż przedtem i niewątpliwie zawadzał.

Isobel schowała się w zaroślach i stamtąd obserwowała, jak mężczyźni się do niej zbliżają. James dostrzegł ją pierwszy. Białe płótno, którym zabandażowała mu ranę, kleiło się od krwi. Trzymał to ramię wysoko, przyciśnięte do piersi.

Gdy uśmiechnął się, przełknęła ślinę i zupełnie nieoczekiwanie poczuła, że pragnie go dotknąć. Trudno jej było złapać oddech.

- Gdzie są pozostali? - spytała bez ogródek, wychodząc z zarośli.

- Ten wyższy siedzi związany na polanie, gdzie obozowaliśmy...

- Żywy? - przerwała mu.

Gdy skinął głową, odczuła wielką ulgę.

- A Angus?

- Uciekł... kilka godzin temu.

Za dnia jego twarz wydawała się surowsza niż w księżycowej poświacie. Zauważyła u zielonookiego za pasem nóż Iana.

Marc zatrzymał wzrok na parze gołębi, które Isobel upolowała na zboczu Alamere Creagh, a następnie spojrzał jej w oczy. Zmarszczył czoło, a potem się odwrócił.

Isobel Dalceann była jak chwila między błyskawicą a grzmotem, kiedy cały świat wstrzymuje oddech w obawie przed tym, co zaraz się stanie. Kobieta inna niż wszystkie, trudna do zrozumienia i zaskakująca.

Chciał zobaczyć u niej choć przez chwilę jakiś przejaw słabości lub łagodności. Czekał, aż się uśmiechnie, zamyśli z niepewnością w oczach czy spróbuje dodać otuchy Simonowi.

Nie zrobiła tego jednak, tylko nakazała im jak służącym, by za nią szli. Tymczasem otaczający las gęstniał, ale za to do pewnego stopnia chronił przed deszczem. Martwe ptaki wiszące u pasa kobiety wyglądały jak złowieszczy znak.

Marca piekielnie bolało ramię, rozpalone i pulsujące, a ciężar Simona ściągał go z drogi. Nawet głupiec rozumiałby, że jeśli wkrótce nie dotrą do wsi, będzie po nim, a Isobel Dalceann głupia nie była. Zeszli po zboczu wysokich wydm do osłoniętej zatoczki, gdzie nad strumieniem kwitły kwiaty i latały motyle.

- Połóż go tutaj - powiedziała w końcu, gdy Simon pokazał, że nie ma już sił.

Wtedy rozłożyła swój koc i przyklękła obok.

Przesunęła ręką po nodze Simona i wyczuła, że rana bardzo nabrzmiała. Zaskoczyło ją, jak rozgrzana jest noga, bo to świadczyło o zakażeniu. Poprzedniego wieczoru nie zauważyła u tego człowieka żadnych oznak zranienia, wydawał jej się jedynie mocno przemarznięty wskutek długiego przebywania w wodzie. Przeklinała teraz swój brak czujności. Powinna była zająć się jego raną wiele godzin temu, kiedy złu można było łatwiej zaradzić. Szybkim ruchem noża rozcięła nogawicę od krocza aż po kolano. Opuchlizna na udzie powstała wskutek zmiżdżenia i Isobel natychmiast zrozumiała, że nic więcej nie da się już zrobić. Przyłożyła ucho do jego piersi i przez chwilę nasłuchiwała, w jakim rytmie bije serce.

- Możesz mu pomóc?

W głosie Jamesa zabrzmiał ton, jakiego jeszcze u niego nie słyszała. Troska.

- Pomoc może wyglądać bardzo różnie.

Isobel uważała, by nie dać się ponieść emocjom i nie zdradzić ich w słowach. Zaczęła zwilżać wodą drżące, spękane wargi Simona, kropla po kropli, starając się wyczekać na chwilę, gdy będzie przełykał, żeby przynieść mu ulgę. Słyszała już w jego piersi rżenie, cichego herolda nadchodzącej śmierci.

- Mój ojciec zawsze twierdził, że pomoc może być tylko materialna, ale mój mąż uważał, że jest inaczej. W ostatnim okresie życia bardzo zajmowały go sprawy duchowe. Twój przyjaciel potrzebuje jedynie wsparcia, bo wszelka pomoc udzielona drugiemu człowiekowi przy przechodzeniu w zaświaty jest dobrym uczynkiem.

W jego zielonych oczach zobaczyła przeblysk buntu, gniew wobec nieuchronnej straty. Zaciskając zęby, by nie zdradzić się ze swoim smutkiem, Isobel przyłożyła dłoń do szyi umiarkującego i poczuła, że puls słabnie i serce wkrótce przestanie bić.

Chciała, aby usłyszał muzykę ziemi, której częścią na zawsze miał stać się jego proch.

- Zapach morza w Fife będzie zawsze z tobą. Usłysz wołanie ptaków, kulików i makołagw, przysiadających wśród brzoź, buków i sosen...

Czy była kiedyś mężatką? Ta myśl nie dawała mu spokoju, nie mógł wyrzucić jej z głowy. Mimo że przed chwilą pożegnał przyjaciela. Spojrzeli sobie w oczy.

- Kim był dla ciebie Simon?

- Przyjacielem.

- A tamten drugi, którego trzymałeś, płynąc?

- To był Guy, mój kuzyn.

- Masz więc przywilej bycia kochanym przez innych.

Być kochanym przez innych! Gdyby tylko wiedziała...

Milczał jednak, a Isobel obróciła tymczasem Simona w stronę oceanu.

- Duchy spoglądają na wschód ku swojemu domowi.

- Nigdy tego nie wyczytałem w Biblii - powiedział, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

- Pewne prawdy nie zostały spisane. Po prostu się je zna.

Zaczęła czyścić drogę ku morzu, wyrywać z korzeniami paprocie i mniejsze rośliny, by można było łatwo dojść na brzeg. Począł, aż skończy, i dopiero wtedy wziął ją za rękę. Gdy spojrzał w dół, przekonał się, że Isobel ma poobgryzane do krwi wszystkie paznokcie, a na palcu serdecznym nosi obrączkę.

- Dziękuję.

Nie odsunęła się, stała nieruchomo, a jej oczy widziane z tak bliska zdawały się mieć obwódki z czystego złota. Starał się nie patrzeć na bliznę, która chyba nie budziła w niej żadnych uczuć.

- Jak długo byłaś mężatką?

Jednym gwałtownym ruchem oswoodziła rękę. Boże, czy z nią nigdy nic nie jest zwyczajne i proste? - zastanowił się. Włosy wymknęły jej się spod skórzanej opaski, a męskie nogawice opadły aż po linię bioder, więc tam, gdzie krótka tunika była nieco poddarta, odsłonił się fragment nagiego ciała.

- Ile masz lat?
- Dwadzieścia trzy.
- Wyglądasz młodziej.
- Naprawdę?

Pierwszy raz od spotkania z Isobel Dalceann zauważył u niej kobietą niepewność. Obudziło to w nim uczucie, którego nie umiał nazwać.

Ta kobieta uratowała go z fal wzburzonego morza i bez mrugnięcia okiem zszyła jego ramię. A jednak gdy obdarzył ją komplementem, zaczerwieniła się jak młódka. Była istotą pełną sprzeczności.

- Owiniemy twojego przyjaciela w koc i zostawimy go do czasu, aż nadejdzie pomoc.
- Pomoc?
- Angus sprowadzi innych.
- Dziś wieczorem?
- To możliwe.

Zebrawszy na brzegu naręczce chrustu, ułożyła stos. W świetle zmierzchu wyraźnie było widać bliznę na jej ręce. Marc zaczął się zastanawiać, kto tak dotkliwie ją zranił.

- Czy ten zamek, o którym wspominałaś, należy do twojej rodziny?

- Owszem, i to od dawien dawna. Dalceannowie władali ziemiami dookoła Ceann Gronna od stuleci.

- Zarządzasz więc lennem nadanym przez Koronę?

Na jej twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości, przez co kolor jej oczu zmienił się nagle na ciemnobrązowy.

- Nie pamiętam, skąd pochodzisz.
- Bo nie mówiłem, skąd pochodzę.
- Ale nie z Edynburga?

Za tymi słowami bez wątpienia kryła się złość.

- Nie. Z Burgundii.

Dołożyła hubkę do niedużego stosu i skrzesała iskrę, a potem przez dłuższy czas rozdmuchiwała płomień, żeby gałęzie zajęły się ogniem. Wkrótce płonęło już spore ognisko.

Isobel obdarła ptaki z piór i nadziała na gałąź, którą najpierw zaostrzyła. Oparła ten rożen na dwóch stosach kamieni, choć pod spodem był już właściwie tylko żar, nie ogień. Doło-

żyła też jakieś nieznane Marcowi jagody, których czerwone skórki pękały od gorąca. Wszystko to robiła bardzo wprawnie, widać było, że dobrze zna bogactwa okolicy.

- Co robiłeś we Francji?

- Och, niejedno.

- Byłeś żołnierzem?

Milczał. Ponieważ nie wiedział, z kim trzymają Dalceannowie. Słyszał tylko, że są klanem z pradawnym tytułem, więc musiał zachować ostrożność. Niepokoje w Szkocji odbiły się przecież echem we Francji, a władza Dawida zawsze była wątła. Edward III, król Anglii, miał poparcie frakcji Edwarda Balliola, a porządek klanowy zawsze był niepewny i nie przekładał się na proste sojusze.

Poza tym męczyły go przykre zawroty głowy. Żar bijący od ognia kazał mu się wycofać w chłodniejsze miejsce. Gdyby był silniejszy, może odszedłby w mrok i podążył ku zachodowi wzdłuż brzegu zatoki, ale dreszcze, które pokonały Simona, również jemu zaczynały dokuczać. Zacisnął zęby, odetchnął głęboko i zamknął oczy, żeby nie stracić równowagi.

Zwróciło jej uwagę, że mężczyzna rzadko odpowiada na pytania. Dostrzegła też pot gromadzący mu się na czole i niezdrową czerwień policzków wywołaną żarem ognia. Bez wątplenia przyczyną była jego rana, która zaczynała się jątrzyć. Należało zdjąć bandaże i raz po raz przemywać ją bardzo gorącą wodą z czosnkiem, którego zapasy pieczołowicie gromadziła w Ceann Gronna.

Ponieważ jednak chwilowo byli w dziczy, a ona zużyła prawie wszystko, co służy do oczyszczania ran, uznała więc, że chyba lepiej poczekać z tym do następnego dnia. Nazajutrz powinni dotrzeć do zamku.

Mimo wszystko miała jeszcze trochę koziej brody. To wyjątkowe lekarstwo z Anglii i mogła je zastosować, żeby opanować drgawki. Wiedziała, że James jest spragniony, a proszek rozpuszczony w wodzie praktycznie nie miał smaku. Wyszukała zawiniątko w kieszeni tuniki i odmierzyła dużą dawkę.

Uśmiechnęła się, wyczuwszy na sobie jego wzrok.

- Przyniosę zimnej wody ze strumienia, a potem zjemy.

Odgłos deszczu sprawiał wrażenie odległego. Marc czuł krople na twarzy, kiedy odchylił głowę, ale niebo, z którego deszcz padał, wydawało się zamazane i puste.

Isobel Dalceann siedziała i przyglądała się rannemu, a między nimi czerniało na różnie zbyt długo pieczone, zapomniane mięso. Powinien był ruszyć się i zdjąć je z ognia, ale rękę miał dziwnie ciężką, jak zresztą całe ciało.

Zamknął oczy, ale natychmiast znów uniósł powieki.

- Jak się czujesz?

Te słowa były całkiem beznamiętne.

- A jak powinienem się czuć?

- Zmęczony.

Zrozumiał.

- Wsypałaś coś do wody?

Chciał wstać, ale kolana się pod nim ugięły i bezwładnie opadł. Nawet nie mrugnęła, obserwując, jak próbuje się podnieść.

- Po co? - ledwie wyrzucił z siebie pytanie.

- Bo jesteś obcy - powiedziała. - I niebezpieczny.

Uznał, że nie warto tracić sił na mówienie, i zamknął oczy. Czy ta mikstura była zabójcza? - zastanowił się. Serce biło mu znacznie szybciej niż zwykle, a mimo chłodu czuł na skórze pot. Powinien był zachować więcej czujności. Teraz przeklinał własną niefrasobliwość.

- Nie umrzesz - powiedziała tym samym obojętnym tonem. - To jest środek z korzenia koziej brody, łagodny, pod warunkiem że nie próbujesz walczyć z jego działaniem.

Takie ciche ostrzeżenie. Omal nie odpowiedział, ale mrok wchłaniał go coraz bardziej, a świat pogrążał się w ciszy.

Podłożyła mu koc pod policzek, a drugim okryła mu ramiona. Ostrożnie przesunęła palcami pod jego nosem i z zadowoleniem stwierdziła ruch wydychanego powietrza. Nie zabiła go, a nieprzytomnego jeńca będzie dużo łatwiej chronić.

Słyszała już w lesie odgłosy zapowiadające ich nadejście. Światło na wzgórzach zauważyła już dobrą godzinę temu, i ono również było znakiem, że wkrótce tu będą.

Przyprowadzi ich Angus spragniony zemsty. Boże, spraw, żeby to była prawda, co James powiedział o Ianie. Bo jeśli nie zostawił go żywego...

Pokręciła głową i poprawiła ułożenie noża w prawym rękawie sukni. Ostatnio nie ufała już nikomu, bo po edykcie Dawida odbierającym ziemie Dalceannowie stali się nikim. Kłopotliwych wasali należało zastąpić bardziej uległymi, a na tak duży majątek jak Ceann Gronna czekało w kolejce wielu chętnych.

Może on również, zerknęła na twarz Jamesa.

Pograżony we śnie wydawał się o wiele łagodniejszy. W przeszłości musiał mieć złamany nos, bo były na nim cienka blizna i garb z boku. Jego strój wciąż wywoływał u niej niepokój - aksamitny surkot był bardzo starannie uszyty, a *bliaud* było z modnej bawełnianej tkaniny. Pierwszy raz zauważyła u mężczyzny bliznę powyżej nasady dłoni, niebezpieczne blisko żył nadgarstka.

Nie była to błaha rana. Wyobraziła sobie, jak silne musiało być krwawienie i ile wysiłku kosztowało jego tamowanie. Wyglądało to tak, jak celowe uszkodzenie ciała. Na przykład w akcie ofiarnym.

Głosy zbliżyły się. Słyszała je w tej chwili nie dalej niż kilkaset metrów od nich. Stała obok jeńca i wbiła wzrok w drogę, którą musieli nadejść od drugiej strony polany jej klanowi ziomkowie.

Andrew pojawił się pierwszy, a za nim Angus. Obaj wypatrywali Iana.

- Twój brat jest na polanie, na której cię zostawiłam, Angusie - powiedziała.

- On go zranił. Ten wyciągnięty z morza. Miał związane ręce, więc go kopnął i przewrócił. Jeśli go zabił...

- Mówi, że tego nie zrobił.

Zerknęła na Jamesa, a Angus ruszył naprzód, mając zamiar wypisany na twarzy.

- Nie.

Isobel ujęła nóż tak, żeby Angus go zobaczył. Zatrzymał się.

- Jestem Dalceannem...

- A on śpi.

- Uśpiony? - spytał Andrew, dyskretnie sugerując tonem, że coś jest nie tak.

- Tak. Doskwierała mu rana. Oczyszczałam ją i zszyłam, ale wciąż krwawi.

- A ten drugi?

- Umarł kilka godzin temu. Chłód morza przeniknął go zbyt głęboko.

W trakcie ich rozmowy kilkunastu żołnierzy z Ceann Gronna wyszło powoli na polanę. Isobel zerknęła na nich kątem oka. Płaszcz mieli ściągnięte, żeby dobrze chroniły przed zimnem.

- Chcę, żeby ten obcy pozostał przy życiu. Wyślemy go promem do Edynburga i nie będzie nam więcej wadził.

- Nie. - Angus stanął po drugiej stronie ognia. - On nie jest jednym z naszych. Zabijmy go tu, na miejscu, i wtedy na pewno nam nie zaszkodzi.

W odpowiedzi Isobel uklękła obok Jamesa. Uniósłszy rękaw, nacięła sobie dłoń, a potem przecięła w poprzek dziwną bliznę na nadgarstku mężczyzny i ułożyła rękę tak, aby oba nacięcia się zetknęły.

- Hekate, Cerridwen, Matko Ciemności, przyjmij nas. Hekate, Cerridwen, pozwól nam się odrodzić.

Przysięgę lojalności i więzy słychać było na całej polanie.

- Chcesz go już zawsze chronić? - spytał Andrew.

Pokręciła głową, wiedząc, że James jest jej wrogiem.

- Nie. Ale przysięgam na wszystkich bogów tego miejsca, że będę chronić go teraz.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Był nagi.

Wydawało mu się to oczywiste, tak samo jak to, że jest bezpieczny. Isobel Dalceann czuwała w cieniu, tuż poza kręgiem światła świecy i spokojnie obserwowała go swymi ciemnymi oczami.

- Wody.

Ledwie zdołał wypowiedzieć to słowo.

Zbliżyła się i zobaczył wtedy, że oko ma zapuchnięte, a poniżej mieni jej się siniak na policzku, przechodzący w krwawe zadrapanie.

- Kto cię skrzywdził? - spytał ledwie słyszalnym szeptem, gdy się nad nim pochyliła.

- Upadłam.

Nie uwierzył jej, nie rozumiał też, dlaczego nie dostrzegł nieufności w jej oczach ani dlaczego tak delikatnie przemyła mu pierś zwilżoną szmatką.

- Jak dobrze.

Wrażenie chłodu na ramionach sprawiło mu przyjemność. Zauważył jednak bandaż na dłoni kobiety. Jeszcze jedna rana. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć tego miejsca, ale go powstrzymała.

- Musisz odpoczywać. Rana na ramieniu zaczęła się jątrzyć. Tylko twoja siła może cię teraz uratować.

Ramię? Ach tak, zranione na morzu. Przypomniawszy sobie statek płynący do Edynburga. Pamiętał falę, która ich przewróciła uderzeniem w burtę, wielką masę zimnej, zielonej wody. Oplątany linami i żaglowym płótnem zewsząd słyszał krzyki.

Miał nóż, więc zdołał się uwolnić. Potem wyciągnął jeszcze Simona, Guya, Etienne'a i Raoula. A potem spadł na niego kawał drewna, odłamany siłą wiatru od masztu, i rozorał mu ramię.

Poczuł ból. W odrętwiałym ramieniu, które miał owinięte białym, płóciennym bandażem nasączonym czymś, co pachniało jak dziwaczna mieszanka przejrzałej cebuli i ziół. Mięśniami w ogóle nie mógł poruszyć.

- Co z moją ręką do miecza?

- Ian uważa, że kupcy bławatni miecza nie potrzebują - odparła.

- Czyli znaleźliście go na polanie?

- Ledwo zipsał w twoich więzach. Miałby powolną, straszną śmierć, gdybyśmy w porę nie nadeszli.

- Taką jak ta?

Marc zamknął oczy. Kobieta sądziła, że wkrótce przyjdzie po niego śmierć. Może nawet tego wieczoru, pomyślał, spoglądając na ozdobny złoty krzyż nad łóżkiem.

Wróciły do niego słowa i obrazy. Prastara inkantacja w blasku ognia. Isobel Dalceann unosząca dłoń nad jego nadgarstkiem, ich krew mieszająca się dla przypieczętowania ślubu. Czyżby mieszało mu się w głowie?

Blask świecy wydawał mu się przykry, a powieki miał rozpalone od gorączki.

- Gdzie jestem?

- W Ceann Gronna. W moim zamku wysoko na klifach powyżej Elie.

Morze było blisko, księżycowa poświata wlewała się do wnętrza szparami między kamiennym obramowaniem okna a zasłaniającą je skórą. Nie było już pełni.

- Jak długo?

- Trzy dni.

Ciężko odetchnął, czuł mdłości. Nawet w Burgundii, kiedy strzała przebiła mu zbroję i weszła głęboko w plecy, nie był aż tak chory.

- Czy to znaczy, że mnie pielęgnowałaś?

Świadczyły o tym miski, szmaty i flakoniki z lekarstwami, które stały na stole, Jego ubranie, wyprane i starannie złożone, wisiało na krześle z jesionowego drewna ozdobionym cynobrowymi pasami. Żałował, że nie może wstać i wziąć sprawy w swoje ręce, ale ani jeden miesiąc nie byłby mu w tej chwili posłuszny.

Bezradność. Wstrząsnęło nim, jak trafnie to słowo opisuje jego stan.

- Przez sen mówiłeś po francusku o bitwach i śmierci. Dobrze, że nikt cię tutaj nie rozumie.

Odwrócił się, żeby nie patrzeć jej w oczy, wiedział bowiem, że jest w nich pytanie, na które nie mógł odpowiedzieć. „Czy jesteś wrogiem?”

Kiedyś byłem, ale teraz? - pomyślał. Powinien był zachować milczenie, panować nad językiem nawet w malignie. Przecież ukrywał tak wiele sekretów.

- Kiedy wydobrzejesz, zostaniesz wysłany łodzią do Edynburga.

- Wydobrzeję?

Zaskoczyło go to słowo. A więc kobieta uważała, że uda mu się przeżyć i wyjść z choroby. Przejęty ulgą wyciągnął rękę i ujął ją za palce. Zwykły gest wdzięczności. Chłód jej skóry uprzytomnił mu, jak bardzo jest rozpalony.

Isobel stała nieruchomo. Nocne hałasy uspiętego zamku rozlegały się daleko od komnaty. Od jej komnaty. Czowała, jak rozluźnia się i znów zapada w sen, ale nie puściła jego ręki, choć powinna. Wciąż stała przy nim i patrzyła.

Marc. Powiedział, że tak ma na imię. W malignie powiedział również wiele innych rzeczy, cieszyła się więc, że jest przy nim sama. Zielone oczy miał szkliste od wyniszczającej gorączki, która odebrała mu świadomość.

Wojownik. Zrozumiała to teraz, widząc liczne blizny na jego ciele, układające się w historię życia. Na pewno nie było ono ani łatwe, ani bezpieczne. Zresztą gdy ciało Marca odbijało blask ognia i kładły się na nim cienie przedmiotów z komnaty, widać było, że jest wyćwiczone i zahartowane.

Majaczył o różnych sprawach, o których nie miała pojęcia, o innych jednak wiedziała dużo. Na przykład o suwerenności przyznanej Dawidowi, królowi Szkocji, i o ambicjach króla Francji Filipa. Czyżby był człowiekiem króla? Gdyby Ian lub Andrew usłyszeli cokolwiek z tych majaków, nie byłoby go już wśród żywych. Fale wzburzonego morza u podnóża murów obronnych Ceann Gronna unosiłyby jego ciało. Zostałoby po nim jedynie wspomnienie.

Dlaczego postanowiła go chronić?

Przesunęła wzrokiem po jego ciele, męskim i pięknym. Z prawdziwym żalem nakryła je cienkim płótnem. Zaskoczona falą gorąca odgarnęła do tyłu włosy. Wyczuła przy tym palcem nierówność blizny i zmarszczyła czoło.

Rozdzieleni. Przez ufność. To się więcej nie powtórzy - postanowiła w duchu.

Zakłęła szpetnie, odwróciła się od obcego i podeszła do okna, by popatrzeć, jak szkocki księżyc prószyc srebrem na powierzchnię morza.

Chwilę potem wyrwało ją z zamyślenia pukanie do drzwi. Ujrzała Andrew z cynowym kuflem piwa w dłoni i pajdą chleba w drugiej. Podeszedł do Marca, przytknął mu palec do szyi i wrócił do drzwi.

- Widzę, że wciąż nieprzytomny. Chyba będziesz potrzebować pomocy, kobieto. Jeńcowi daleko do zdrowia, a ty masz cienie pod oczami.

Stanęła przed nim, starając się ukryć z troskanie.

- Mimo wszystko dochodzi do siebie. Za dzień lub dwa powinien być zdolny do podróży.

- Do Edynburga, jak rozumiem. Czy to rozsądne?

- Zamku ani umocnień nie widział. Nie dowie się o tunelach ani o wejściu od strony morza. Zna tylko tę komnatę - dodała. - Zasłonimy mu oczy, kiedy będzie nas opuszczał, więc niczego nie zobaczy.

- Zawsze coś się zauważy, Isobel, a ja spotkałem w życiu wielu kupców i on ani trochę ich nie przypomina.

Andrew musiał bardzo się martwić o bezpieczeństwo zamku Ceann Gronna i jego mieszkańców. To była zwykła troska, a jednak...

- Jeśli zabijemy go z zimną krwią, będziemy tak samo podli jak ci, którzy chcą nas stąd usunąć.

Andrew parsknął śmiechem.

- Kiedy latem Dawid przyśle tu następnego barona i zacznie się oblężenie, możesz zmienić zdanie.

- Chcesz więc jego śmierci tak samo jak Ian?

- Nie śmierci, ale niech się stąd wynosi. Pojutrze, nawet jeśli nie będzie mu lepiej. Obiecujesz?

Gdy ścisnęła mu rękę, zapiekło ją rozcięcie na dłoni. Policzek też wciąż ją bolał tam, gdzie uderzył ją Angus, gdy na polanie złożyła śluby opieki nad obcym.

Pewnie miał rację, pomyślała. Sama była zdziwiona swoim postępowaniem, bo przez wiele minionych lat bez wyjątku każdy, który bezprawnie wtargnął na ziemię Dalceannów, był odsyłany poza ich granice.

Dlaczego tym razem zrobiła wyjątek?

Czemu nie miałyby zaraz wyekspediować go na zachód? Mógłby mimo wszystko przeżyć, tak samo jak inni, a jeśli Bóg chce obdarzyć go łaską ozdrowienia, to po co jej sprowadzać niebezpieczeństwo na własne domostwo?

Ognisko domowe w Ceann Gronna. Przypomniała sobie z wczesnego dzieciństwa, jak ojciec przebudował kominek w komnacie na górze i pod kamieniami umieścił żelazo, żeby tak je przechować.

Boże, niedługo potem czyny ojca wpędziły ich w wielkie tarapaty. Ojciec stanął przed królem w Edynburgu i zażądał, żeby ziemię wokół zamku należały na zawsze do Dalceannów. Nie przyjmował w tej sprawie żadnych argumentów, które wysuwał Alisdair. Robił wszystko po swojemu i przez to wpędził ich w pułapkę. Wprawdzie wojska ścigające ich pod sam zamek

były nieliczne i łatwo udało się je odeprzeć, ale w efekcie zostali wyjęci spod prawa. Teraz poddanie niewątpliwie oznaczałoby dla nich śmierć, trwali więc w oporze, a ona wszystkimi dowodziła.

W wieku dwudziestu lat stworzyła plan obrony zamku przed kolejnym oblężeniem, a potem przed jeszcze jednym. Wciąż trzymali się na swoim klifie, z dala od innych siedzib ludzkich, i żaden z wielkich wasali królewskich nie odważył się dotąd podnieść ręki na ich własność. Przez dwa ostatnie lata nic się nie działo.

Jak dotąd magia żelaznego kominka działała. Oczywiście nie dotyczyło to Alisdaira. Ale nawet jego doczesne szczątki spoczęły w ich ziemi, chronione wysokim murem. Zamek Ceann Gronna klanu Dalceann pozostawał niezdobyty.

- Nie możemy tkwić tu okopani bez końca, sama to wiesz, Isobel. Nowe porządki mają swoich zwolenników.

Skinęła głową, bowiem nie sposób było temu zaprzeczyć. W odpowiednim momencie część Dalceannów miała opuścić nadmorski zamek. Czekają już na nich nowe ziemie na południu. Zręczny był to fortel, możliwy dzięki złotym ozdobom i biżuterii, znalezionym we wraku francuskiego statku, który zatonął dobre dwa lata temu. Trochę tych bogactw jeszcze zostało, leżały ukryte w jej komnacie, zgodnie z pomysłem Alisdaira.

- Jeśli ten obcy jest niebezpieczny i stosuje przemoc, to miałyby sens wtrącić go do lochu i zamknąć pod kluczem, tak jak uważa Ian.

- Mówisz całkiem od rzeczy, Andrew. Przecież potrafiłabym sobie z nim poradzić, gdyby zaczął sprawiać kłopoty.

- Potrafiłabyś czy poradziłabyś sobie? To jest różnica.

Pytający ton bardzo ją zasmucił. Andrew zawsze był ojcem, jakiego sama chciałaby mieć, lecz nie miała. Hołdował twardym zasadom i kierował się zdrowym rozsądkiem.

Jęk za jej plecami sprawił, że się odwróciła.

- Pomyślę o tym, co powiedziałeś, Andrew. Obiecuję.

Ucieszyła się, kiedy ograniczył się do skinienia głową i odszedł, a ona została z obcym, by dalej go pielęgnować.

Mówiła coś o tunelach, pomyślał Marc, i o wejściu od strony morza. Ponieważ jednak Isobel znów znalazła się przy nim i położyła mu chłodną dłoń na rozpalonym czole, co w gorączce przynosiło pewną ulgę, postanowił odłożyć rozmyślenia na później.

Wciąż piekielnie bolało go ramię, a ból promieniował aż na szyję i pierś. Kobieta pomogła mu napić się wody. Wyczuł domieszkę ziół, ale nie potrafił ich nazwać.

W drzwiach był klucz, a na półce niewielkiego kredensu leżała lina. Na ścianie przy łóżku wisiała wełniana tapiseria. Wszystko to mogło mu się przydać, gdyby uznał, że musi uciekać. Ale jeszcze nie teraz. Słabość nie chciała go opuścić, a zawroty głowy utrudniały utrzymanie równowagi.

- Musisz nabrać sił - powiedziała gniewnym tonem. - Nie możesz tu długo zostać, Marc!

Marc mimo woli uniósł kąski ust w nieznacznym uśmiechu. Cała sytuacja wydała mu się wręcz niewiarygodna. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio od kogoś zależał, za to wiele razy właśnie od niego zależały losy tysięcy ludzi. Tymczasem wciąż żył tylko dzięki tej kobiecie. Poznała nawet jego prawdziwe imię. Skutek gorączki, pomyślał.

- Zabiliby mnie? Twoi ludzie?

Skinęła głową.

- Szybciej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

- A ty? Czy skompromitowałaś się w ich oczach... z mojego powodu?

Kiedy nie odpowiedziała, zaklął. Wróciły do niego wydarzenia tamtej nocy w lesie. Uniósł prawą rękę i wskazał na nacięte miejsce.

- Twoja krew i moja?

- Ducha opieki trzeba uszanować. Tak jest napisane.

- Dobrze to wiedzieć.

- Mówisz tak, jakbyś w to nie wierzył.

- Pytasz się mnie, czy wierzę?

Już od dłuższego czasu żył jedynie walką i zamętem. Najlepiej znał zapach potu i krwi. Tymczasem Isobel pachniała miętą, mydłem i czymś jeszcze, czego nie umiał rozpoznać. Zamknął oczy, żeby lepiej zapamiętać tę słodką woń.

Poczuł delikatne łaskotanie w miejscu, które przed chwilą musnęły jej włosy, miękkie jak puch.

Nadzieja!

Poczuł strach. Podczas nieustannej wojny z wrogami Francji nikomu nie mógł ufać, niczemu zawierzyć.

To pewnie choroba wywołała u niego tę słabość, pomyślał, albo krew Isobel. Ciekaw był, czy bronilaby go z taką determinacją, gdyby znała o nim prawdę.

Przed chwilą, w komnacie donżona nadmorskiego zamku, otoczonego murem z potężnymi przyporami, poznał największy sekret, który może zdecydować o losie tych ludzi. Zamknął oczy, żeby przypadkiem kobieta nie odkryła, co dzieje się w jego wnętrzu i nie wyczuła niepokoju oszusta. Odetchnął, gdy wyszła.

Isobel dostrzegła w oczach Marca zastanawiającą niepewność, jakby ukrywał coś istotnego. Nie uważała jednak, aby w jakiś sposób jej zagrażał. Czuła z nim trudną do wytłumaczenia więź.

Myśląc o tym, zeszła po schodach, a wyszedłszy z wieży, zamknęła drzwi i zabrała klucz, żeby inni nie mieli do Marca dostępu.

Zamyśliła się. Obróciła srebrną obrączkę na palcu i przywołała we wspomnieniach mężczyznę, który włożył ją na jej palec. Był delikatny i przewidywalny. Alisdair wystąpił przeciwko jej ojcu, gdy ten z wielką mocą odmówił królowi prawa do władania całym krajem i ostrzegł go, żeby nigdy nie próbował zawłaszczyć ziem Dalceannów.

Czas pokazał, że Alisdair miał rację i jego przewidywania się sprawdziły. Tyle że najpierw, próbując przekonać ojca, stracił życie.

Cicho zaklęła.

„Słuchaj głosu serca, Isobel” - powtarzał jej często, gdy leżeli w małżeńskim łóżu. - W Szkocji niebawem zajdą zmiany, a utrzymają się tylko ci, którzy będą umieli za nimi podążać.

Uderzyła dłonią o udo, wstała gwałtownie i przyłożyła czoło do zimnej, kamiennej ściany, aby się uspokoić.

Samotność.

Na miłość boską, dlaczego akurat dzisiaj wydaje jej się, że jest bardziej samotna niż zwykle? Wszystko przez tego cudzoziemca.

I wszystkie jej myśli do niego wracają. Instynktownie zaczęła go chronić. Nikomu nie powiedziała, że jego ciało nosiło ślady udziału w bitwach i wojnach ani że znalazła srebrny pierścień z godłem Bruce'ów.

Postanowiła, że następnego dnia wyprawi go do Edynburga. Dość już ryzykowała.

Isobel Dalceann wróciła do niego, gdy słońce już zachodziło. Przyniosła mu jakiś kleik z chleba rozmoczonego w mleku. Zjadł go z takim entuzjazmem, jakby był to jego ostatni posiłek w życiu, i poczuł się nieco lepiej.

- Dziękuję.

Znowu, pomyślał. Dług wdzięczności wobec tej kobiety z każdym dniem rośnie.

Zbyła jego podziękowanie machnięciem ręki i zaskoczyła go pytaniem:

- Czy jesteś jednym z ludzi Dawida?

Wiedział, że powinien był wyrzucić pierścień, ale miał dla niego wartość sentymentalną i nie chciał tego zrobić.

- Kiedyś byłem - odpowiedział.

- A teraz?

- Dość dawno już go nie widziałem.

Cofnęła się i zrozumiał, że popełnił błąd.

- Czyli znasz go osobiście, tak?

- Moja matka była z domu burgundzkich Walezjuszków. Dawid Bruce dał mi ten pierścień, gdy tam mieszkał.

- Wspierany przez króla Filipa?

A więc kobieta znała się na polityce. Skinął głową.

- To znaczy, że jesteś przyjacielem króla, tak? Zapadła cisza. Gdy Isobel ciężko westchnęła, zrozumiał, że nie chciała usłyszeć prawdy. Z prostym żołnierzem lub marynarzem byłoby dużo łatwiej, nie miałyby wątpliwości, jak postąpić.

- Wielu ludzi zginęło w Ceann Gronna wskutek ambicji Dawida.

Jej głos zabrzmiał surowo.

- Daję słowo, że nie chcę spowodować krzywdy na nikogo, kto tutaj mieszka.

Słyszając to, zaklęła siarczyście i odwróciła się. Męskie nogawice opinały jej się na pośladkach i mimo wielkiej słabości Marc poczuł przyjemny dreszczyk.

- Gdybym była dzielniejsza, raz-dwa poderznięłabym ci gardło, tak samo jak ty bez wątpienia miałeś ochotę poderznąć gardło Ianowi.

- Ale tego nie zrobiłem. A co ciebie powstrzymuje?

- To - odpowiedziała, pochyliła się i pocałowała go namiętnie.

Isobel przygryzła mu dolną wargę, a potem wsunęła czubek języka do jego ust. Wybuchło w nim wściekłe pożądanie. Ona tymczasem przesunęła mu dłońmi po twarzy, szyi i zatrzymała się na piersi.

Naraz podniosła się i otarła usta wierzchem dłoni.

- Niewiele jest przeszkód, które mogą zatrzymać kobietę, kiedy pragnie mężczyzny... - Przesunęła wzrokiem wzdłuż jego ciała i zatrzymała się na wyraźnie zarysowanej pod płóci-

nym okryciem męskości. - Czy my, kobiety, nie mamy prawa odczuwać namiętności? A mamy swoje sposoby. Tu drobna pieszczota, tam szept, ciało ujęte w zręczne palce...

Do diabła, co za czarownica! - pomyślał, ale nie odwzajemnił pocałunku. Po chwili odezwał się:

- Jak dawno temu umarł twój mąż?

- Wiosną będą dwa lata.

- Byłaś później z mężczyzną?

To pytanie ją zaskoczyło, nie chciała na nie odpowiadać, ponieważ od czasu ostatniego sztormu samotność doskwierała jej jak nigdy wcześniej. Zawstydziała się. Czy nie za dużo chce poświęcić za chwilę zapomnienia z mężczyzną?

Wspomniała obietnicę daną mężowi, kiedy umierał przebity włócznią wypuszczoną przez jej ojca. Dała słowo pozostać mu wierną i tym samym odebrała sobie nadzieję na przeżycie namiętności. Najważniejsi członkowie klanu słyszeli bowiem słowa jej przysięgi.

Odezwał się, wytrącając ją z zamyślenia:

- Jeśli pozostawię cię brzemienną, nie sądzę, żebyś pozostała tutaj bezpieczna.

Rozsądek i logika, pomyślała ze złością. Pokręciła głową z westchnieniem, bo pragnęła czegoś zupełnie innego. Chciała się zapomnieć i na chwilę dać ponieść się uczuciom.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka, kiedy Isobel znowu weszła do swojej komnaty, był już ubrany. Siedział na krawędzi łóżka i wpatrywał się w drzwi.

W świetle dnia wczorajsze zaloty wydawały jej się nierozsądne i niestosowne. Co gorsza, była zmęczona i rozdrażniona po nocy spędzonej na pryczy w komnacie na górze. Wspominała swoje zachowanie, a myślom o tym nie towarzyszył wstyd, ale pożądanie.

Pocałunki Alisdaira nigdy nie wyzwalały w niej takiej nieposkromionej namiętności, mimo że Marc wcale nie odwzajemnił jej pocałunku. Odegnęła myśli o wczorajszym wieczorze, wyprostowała się i przywołała na twarz wyraz obojętności.

- Wyglądasz lepiej.

Uśmiechnął się.

- Czyż nie wiadomo powszechnie, pani, że pocałunek jest najskuteczniejszym z leków?

Ku swojemu zdziwieniu odwzajemniła uśmiech.

- Był u ciebie rano Andrew?

- Owszem. Wyraził przekonanie, że spędzając tutaj kolejny dzień, nadużyłbym gościnności.

- To dobry człowiek... - Chciała powiedzieć więcej, ale powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- Dobry, ale wystraszony. Wszyscy tutaj zresztą się boją. Wyczuwam to, kiedy mówisz o ziemi Dalceannów i konflikcie z królem Dawidem.

- Trudno sobie wyobrazić, aby obcemu z dalekiej Burgundii zależało na naszym losie.

Podala mu wyjęty z koszyka nóż i przyglądała się, jak chowa go w fałdach aksamitnego surkotu, leżącego w nogach łóżka.

- Sama go naostrzyłam. Byłabym wdzięczna, gdyby nikt go nie zauważył.

W czasie gdy to mówiła, wstał. Znow ją zaskoczyło, jaki jest rostry. Rzadko się zdarzało, żeby mężczyzna nad nią górował.

- Na miłość boską, Isobel!

Pierwszy raz wymówił jej imię, a z jego akcentem zabrzmiało ono wyjątkowo ładnie. Wstrzymała oddech, gdy ujął ją za rękę i bardzo delikatnie przesunął kciukiem po bliźnie na jej dłoni.

- Tu w Ceann Gronna jesteś jak ptak w klatce, piękny, ale mający podcięte skrzydła. Jedź ze mną do Edynburga i przedstaw sprawę zamku Dalceannów. Będę ci towarzyszył i cię wspierał.

Serce mocno jej zabiło.

- Nie, to niemożliwe.

Pomyślała o gniewie Dawida na bezkompromisowość Dalceannów i o mężczyznach, których przysyłał, by ją poślubili. Baronowie i magnaci, przyjeżdżający później do Fife z królewskiego rozkazu, gotowi na kompromitujące, niemające nic wspólnego z miłością zaręczyny z kobietą sprawującą tam władzę, byli zainteresowani jedynie zamkiem Ceann Gronna.

- Chcę cię jednak prosić o przysługę - odezwała się po chwili milczenia. - W koszyku jest opaska na oczy. Czy mógłbyś włożyć ją bez sprzeciwów, kiedy przyjdą tu po ciebie Andrew i jego ludzie?

- Żeby sekrety tego miejsca pozostały bezpieczne?

W odpowiedzi jedynie skinęła głową. Pozostawała jej nadzieja, że nie podpisała w ten sposób wyroku śmierci na tego człowieka i że Andrew dotrzyma słowa.

- Czy jeśli powiem „tak”, będę mógł poprosić o coś w zamian? - spytał cicho, a ich spojrzenia się spotkały. - Czy mogłabyś mnie jeszcze raz pocałować?

Odwróciła się, sądząc, że stroi sobie z niej żarty.

On jednak już ją objął, zaskakująco delikatnie jak na swoją siłę. Jego biała tunika kontrastowała z ciemną, ogorzałą skórą. Ogarnęło ją miłe ciepło, gdy przywarł do jej usta.

Nie mogła go odepchnąć, nie chciała, by przestał. Pragnęła więcej. Odchyliła głowę całkowicie pochłonięta pieszczotami, oczy zasły jej mgłą i upajała się wrażeniami.

Mocno wpiła w jego ciało paznokcie, ale chciała pozostawić na nim swój znak, zanim się rozstaną. Chciała, by dobrze zapamiętał, że ją całował i jej pożądał.

Gdy wreszcie zakończył pocałunek, przytuliła twarz do jego piersi i zasłuchana w szaleńczy rytm bijącego serca pozwoliła się unieść nadziei. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą zielonooki był bliski utraty panowania nad sobą.

Przez ułamek chwili chciała go prosić, żeby został na zawsze, znalazł miejsce w jej ramionach, w tym zamku i tej komnacie. Tęskniła za życiem kobiety, z dala od polityki, wojen i przemocy. Tęskniła za zalotami prawdziwego mężczyzny.

W końcu więc uznała, że najlepiej milczeć.

Dawid stracił cierpliwość do ataków małymi siłami, bo przekonał się, że się na nic nie zdają. Przygotowywał się do ostatecznego starcia. Od bardów, zabawiających ich śpiewem podczas kolacji, słyszała plotki, które krążyły po Fife, Strathearn i Menteith.

Przyszło jej do głowy, że nawet nie wie, jak naprawdę nazywa się zielonooki, człowiek, który pojawił się niespodziewanie w jej życiu przyniesiony przez fale wzburzonego morza i został zabrany z powrotem przez zmienność woli monarchów.

Kończył się już ich czas. Wiedziała, że nadchodzi Andrew. Rozpoznawała jego chód. Słyszała też podążających za nim ludzi. Odsunęła się od nieznanego i gdy weszli, stała już w drugim końcu komnaty.

- Morag potrzebuje cię w kuchni, Isobel. Obiecałem ci to powtórzyć, gdy się spotkamy.

Rozumiała, o co chodzi Andrew. Chciał dać jej pretekst, żeby mogła opuścić komnatę, zanim założą Marcowi opaskę na oczy i go wyprowadzą. Zwróciła uwagę na sznur w rękach Andrew i nóż za pasem, wystarczająco ostry, by poderznąć człowiekowi gardło. W odpowiedzi pokręciła głową i dalej stała nieruchomo.

- Możemy potraktować cię delikatnie albo możesz nam utrudnić zadanie - zwrócił się Andrew do Marca. - Tak czy inaczej, jutro będziesz na łodzi do Edynburga, przysięgam.

- Pod warunkiem że pozostanę wśród żywych - odparł Marc. - Czy Ian będzie nam towarzyszył?

- Nie. W takiej podróży łatwo znaleźć okazję do zemsty.

- Dziękuję.

Marc włożył surkot. Noża, na szczęście, zupełnie nie było widać, co zaskoczyło Isobel. Była pełna podziwu dla jego zręczności. Niewielkie to jednak pocieszenie, skoro zamierzali mu skrępować ręce, pomyślała.

Wyjęła z koszyka opaskę i założyła Marcowi. Andrew podszedł i sprawdził, czy opaska jest szczelna. Wyszli.

Isobel stanęła potem przy oknie na podeście schodów i czekała. Z daleka dochodziły ją ich głosy. Już miała odejść od okna, gdy cudzoziemiec upadł. Potknął się o podstawioną nogę jednego z żołnierzy, a ponieważ nie mógł złagodzić upadku związanymi rękami, uderzył głową o kamień przy przejściu.

Gdy żołnierze go podnosili, bynajmniej nie przesadzając z delikatnością, Isobel zaklęła, nawet z oddali dostrzegła bowiem, że opaska się zsunęła, ale Andrew szybko ją poprawił.

Dostrzegła stróżkę krwi, spływającą Marcowi z czoła. Nie wiedziała, co ma zrobić. Tymczasem wśród mężczyzn pojawił się Ian.

Zaparło jej dech. Liczyła sekundy do zadania ciosu. Na szczęście żołnierze ruszyli, a Marc bez wahania razem z nimi. Znow trzymał rękę na przedramieniu Andrew i coś do niego mówił.

Pomyślała, że za barbakanem zniknie z pola widzenia, konie czekają między pierwszym a drugim pierścieniem. Isobel nabrała tchu i zastygła w oczekiwaniu.

Wciąż żył, choć spodziewał się, że poczuje dźgnięcie noża między żebrami, zanim uderzy go w twarz powiew wiatru i doleci go zapach koni. Prawdopodobnie uratował go autorytet Andrew. Kiedy przewrócili go na kamienie, sądził, że już nie wstanie. Z drugiej strony nie spodziewał się też zobaczyć tajemnic budowy zamku Dalceann.

Tak bezpieczne nie były nawet zamki we Francji z ich obronnymi krenelażami i grubymi, współśrodkowymi murami. Jego podziw był większy nawet od bólu, a krwawił paskudnie.

Gdy ze zgrzytem łańcuchów opadła za nimi brona, Andrew zdjął mu opaskę. Światło uderzyło go w oczy. Pierwsza chwila nie była przyjemna, oślepiony nic nie był w stanie zobaczyć.

- Obmyjemy cię, tylko musimy dojechać do strumienia. Na razie wyglądasz tak, jakbyś przez cały tydzień brał udział w bijatykach i nic innego nie robił.

Marc milczał. Był skupiony na rejestrowaniu ukształtowania terenu przed zamkiem. Zapamiętywał wilcze doły i rowy. Pierwszy raz zobaczył, jak blisko jest do morza. Krawędź wysokiego klifu znajdowała się niemal u podnóża zewnętrznego pierścienia murów.

Gdzieś niedaleko musiało się znajdować potajemne wejście od strony morza, o którym wspomniała Isobel, gdy sądziła, że leży nieprzytomny. Tunel mógł się zaczynać choćby na tym niewielkim przyładku widocznym w połowie długości muru.

Istotnie zamek nie do zdobycia! Chyba że ma się informacje o jego budowie.

Marc zauważył, że zainteresował się nim Andrew, więc odwrócił się do niego i uśmiechnął.

- Miałem szczęście, że przeżyłem w tej morskiej kipieli - odezwał się, aby odwrócić od siebie podejrzenie.

- Tu czekają konie - usłyszał w odpowiedzi.

W głosie strażnika słyhać było jedynie rozdrażnienie perspektywą długiej jazdy. Marcowi ulżyło, gdy dostał wierzchowca tylko dla siebie. Cieszyło go, że nie musi z nikim dzielić siodła.

Przypomniał sobie, jak wprawnie jeździ konno Isobel Dalceann. Równie dobrze jak pływa. I całuje!

- Boże wielki - mruknął, gdy Andrew przeciął mu więzy, ostrzegłszy go najpierw, żeby nie próbował niczego nierozsądnego.

Marc wspiął się na siodło i ujął wodze.

Isobel trzymała w dłoni pierścień z godłem Bruce'ów. Obok w kółeczku znajdował się znak wytwórcy.

Wszystko, co ten cudzoziemiec miał przy sobie, przedstawiało dużą wartość: ubranie, bransoleta ze złotej plecionki, inkrustowany klejnotami sztylet i nawet ten drobiazg.

- Dość tego! - powiedziała do siebie głośno.

Przesunęła skrzynię mniej więcej o pół metra.

Ostrożnie pchnęła odsłoniętą kamienną płytę i poczekała, aż ta się obróci. Kilka odłamków tynku i kołtunów kurzu, które przy okazji znalazły się na podłodze, starła mokrą szmatą. Dobrze pamiętała napomnienia męża, by zawsze to robić.

Za płytą, w skrytce, znajdowało się złoto, klejnoty i ułożone na skórzanej podkładce kielichy.

Francuskie złoto, a na wierzchu dwie monety, których nigdy dotąd nie widziała!

Ogarnął ją lęk, uświadomiła sobie bowiem, że złamała zasady bezpieczeństwa. Nie wolno było otwierać skrytki, gdy ktoś jeszcze jest w komnacie, nawet jeśli sądziła, że leży nieprzytomny. Klnąc pod nosem, zła na siebie, że tak łatwo ujawniła to miejsce, zajrzała do środka.

Niczego nie brakowało, a wręcz przeciwnie. Skarb się powiększył. Wzięła dwie srebrne monety do ręki i odczytała francuskie inskrypcje.

Marc. Co jeszcze o nim wiedziała? Przypomniała sobie, że gdy upadł, obsunęła mu się opaska. Poza tym rozmawiała z Andrew, gdy ten człowiek leżał nieprzytomny. Ale może tylko udawał i podsłuchiwał?

Mówiła wtedy o tunelu z wejściem od strony morza i o oblężeniu Ceann Gronna.

Sprytny. Zbyt sprytny. Człowiek dwóch królów, z licznymi bliznami na pamiątkę udziału w bitwach.

Obwiodła palcem wargi i zakłęła. Czyżby celowo odwrócił jej uwagę tą zmysłową prowokacją? Może miała węża na swojej łasce i właśnie pozwoliła mu uciec z rajcu?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Marcu, mój drogi, gdyby doskwierał ci tej nocy chłód, pamiętaj, że moje pokoje są bardzo niedaleko twoich.

Obiecujące spojrzenie zmysłowej księżnej Kinburn skłoniło Marca do cofnięcia się o krok.

- Nie mam ochoty zabić pani męża, lady Anne, w razie gdyby odkrył, dokąd pani zabłądziła - odpowiedział, stanowczym ruchem rozwierając kobiece palce, zaciśnięte na jego rękawie. - Zresztą nie mam też czasu. Król wezwał mnie na rozmowę do swojej komnaty.

- Och, panie, jesteś w Edynburgu już od miesiąca i z tego, co słyszałam od wielu osób, spędzasz noce samotnie...

Pochyliła się ku niemu tak, że przód zdobionej klejnotami sukni odsłonił znaczną część obfitego biustu, a włosy dotykały alabastrowej skóry.

Piękne, stwierdził Marc, ale pomysł spędzenia nocy z księżną nie podniecił go ani trochę. Nicco go to zafrasowało i dumał nad tym jeszcze chwilę później, gdy szedł energicznym krokiem przez antykamerę do królewskiej komnaty.

Minęły cztery tygodnie, odkąd przyплыł promem do Edynburga. Cztery tygodnie, odkąd ostatnio widział Isobel Dalceann. Miała wtedy trwoję w oczach i drżącą ręką podała mu opaskę.

Nie wspomniał nikomu o czasie, który spędził w zamku Ceann Gronna, ponieważ w Szkocji polityka była wyjątkowo zawiłym labiryntem, a on odkrył, że Dawid jest gotów posunąć się bardzo daleko, byle stłumić opór baronów, którzy odmówią złożenia przysięgi lojalności.

A klan Dalceannów nie chciał być lojalny.

Wystarczyło mu, że pobyl na dworze godzinę, a już usłyszał imię powszechnie znienawidzonej pani na zamku Ceann Gronna.

„Isobel nie do wyswatania, ze szpetną blizną na twarzy”.

Zastanawiało go, z jak bliska widział ją ten, kto rozpowszechniał te plotki, bo przecież mimo blizny Isobel pozostawała piękną kobietą o uwodzicielskim spojrzeniu.

Zatrząsał się z wściekłości na tę niesprawiedliwość i głupotę. Przesunął palcem po ranie przy nadgarstku. Ślub opieki obowiązywał także jego. Czasem nawet miał wrażenie, że ją widzi, kiedy spaceruje po dworskich korytarzach, śmiejąc się z napuszonych dworzan, a wiatr rozwiewa jej piękne włosy.

Była dla niego bardziej realna jako wspomnienie niż te wszystkie narzucające się mu dwórki i szlachcianki. I to go naprawdę martwiło.

- Sir Marc!

Król Dawid II Bruce siedział przed nim na krześle zdobionym złotym haftem. W dłoni trzymał rulon, oparty o kolana. Widać było piękną kaligrafię dokumentu.

Obok niego zajmowali miejsca hrabia Huntworth i lord Glencoe. Obaj popijali wino z kosztownych kielichów ze szkła łączonego ze srebrem. Kiedy przechodzący sługa również jemu podał podobny kielich, Marc wiedział, że wino będzie reńskie, a do tego przedniej jakości.

- Wasza wysokość! - skłonił się głęboko.

- Właśnie mówiłem do Glencoe i Huntwortha, że prawo feudalne a patriarchalne czasem są sprzeczne.

- Jak często się zdarza, gdy w grę wchodzi podwójna lojalność - odparł Marc.

Własność ziemską jako źródło konkurencyjnej władzy była ciągłym tematem rozmów na dworze, gdzie skupiano się na egzekucji praw króla rządzącego z nadania Boga. Marc poczuł głęboki niepokój, gdy przypominał sobie historię Dalceannów. Od czasu jego przyjazdu cały Edynburg mówił o Isobel Dalceann i jej zamku. Według niektórych ta kobieta była czarownicą albo wiedźmą i że odbiera rozum mężczyznom. Marc słyszał niejedno o kampaniach przeciwko Ceann Gronna i nieskuteczności oblężeń.

Kiedy kolejny dowódca wrócił z niczym, poszeptywano, że to diabelska sprawka. Lady Dalceann była w przymierzu z ciemnymi mocami. Pochowała już jednego męża, a powszechnie wiadano, że jej ojciec nigdy nie był przy zdrowych zmysłach. Megiera i czarownica. Niektórzy twierdzili, że nie kto inny jak sam diabeł napiętnował ją którejs nocy, wydrapując gwoździem na policzku znak własności. Podobno zresztą nosiła na szyi jego poźółkły od starości zęb. Inni mówili, że ten ząb to jej talizman i źródło mocy i gdyby udało się go zabrać, nie zostałoby nic z jej ziemskiej powłoki. Ulotniłaby się jak dym i powróciła do królestwa ciemności, które ją wydało.

Pomyślał, że to nic dziwnego, że Isobel Dalceann, odsądzona od czci i wiary nienawiścią i zabobonami, była nieufna i osamotniona. Marc nie wspominał o niej królowi ani słowem.

Kłamstwa i sekrety.

W Burgundii wychowywał się w głębokim zakłamaniu, więc ukrycie takiego szczegółu nie było dla niego trudne. Nie pamiętał, kiedy ostatnio zdarzyło mu się, że okazał szczere uczucia.

Zacisnął dłoń na kruchej nóżce kielicha, mocno, ale tak, by nie pękła.

- Winowajcy muszą, rzecz jasna, dostać nauczkę. Za tak rażące nieposłuszeństwo karą jest konfiskata dóbr.

Dawid przybrał minę ciężko urażonego monarchy.

- I śmierć - dodał Archibald McQuarry, którego słowom myśl o zemście nadała szczególnie złowieszczy ton.

Marc słyszał, że dwa lata temu brat hrabiego Huntworth zginął podczas oblężenia Ceann Gronna. I nagle zdał sobie sprawę z tego, że w obecnym sporze chodzi o coś więcej niż tylko o wyegzekwowanie prawa. Ostrożnie odstawił kielich na stół.

- Mówicie o klanie Dalceannów, jak rozumiem?

Nadał swoim słowom dokładnie taką intonację, jak zamierzał.

- Zaiste, właśnie o nim - przyznał król. - Wasali z Ceann Gronna nie można zostawić ich własnemu losowi, ponieważ również baronowie na północy burzą się i zaczynają występować ze swoimi żądaniami. Musimy pokazać, że nasza władza jest silna i wszelkie nieposłuszeństwo zostanie ukarane.

Mechanizmy równowagi politycznej, pomyślał Marc. Na dworze szkockim Dawid, a na francuskim Filip z powodzeniem sprawowali władzę, stosując zasadę „Dziel i rządź”, skłócali więc jednych, a łączyli sojuszami innych.

Chciwość, ciągle niezadowolenie ze stanu posiadania, czy to aby na pewno cecha prawdziwego rycerza?

Bolała go blizna po głębokiej ranie na plecach, pamiątka z dawnych lat, a wciąż gojące się ramię piekło niewiele mniej.

Szykowała się dla niego nowa wojaczka, tym razem w imieniu słabego i zdesperowanego monarchy. Dawid był gotów udzielić mu wszelkiej pomocy, byle mieć pewność, że tym razem zamek Dalceannów zostanie splądrowany.

Nawet naturalne umocnienia Ceann Gronna tym razem nie uratują zamku. Trebuszów i onagrów będzie w tej wyprawie tyle, że Korona Szkocji po prostu nie może wyjść z tego starcia pokonana.

- Wyruszysz wiosną na czele dwustu ludzi, de Courtenay. Poprowadzisz wojska jako naczelny wódz, a ci dwaj będą twoimi dowódcami. Taka jest nasza wola.

Kwaśna mina Huntwortha powiedziała Marcowi, że decyzji króla daleko do oczekiwań hrabiego.

- Zrozumiałem. - Marc uniósł kielich. - Wobec tego za zwycięstwo - powiedział.

- I za śmierć tej wiedźmy Dalceannów - dodał McQuarry.

Opróżniając swój kielich, Marc się uśmiechnął.

Isobel stała na murach i obserwowała przedpole. Po drugiej stronie fosy srebrzyła się zatoka. Nadchodziła wiosna. Jarzębiny wokół drzwi do kaplicy już miały pąki, a na białych brzożach wisiały kotki przypominające jagnięcy ogonek.

Jeszcze kilka tygodni i przybędą ludzie Dawida. Dwustu, jeśli plotki się potwierdzą, z najlepszymi dowódcami, jakich król miał do dyspozycji. Isobel zacisnęła usta.

Mimo wszystko zamek Ceann Gronna wciąż skrywał swoje sekrety, a przygotowania do bitwy były długie i wyczerpujące. Nie sposób było zatruć zapasów wody, bo czerpali ją z podziemnego źródła, a nadmorskie położenie uniemożliwiało otoczenie zamku. Były jednak i słabe punkty, które zręczny przeciwnik na pewno mógł zauważyć. Dzwonnica umożliwiała atakującym bezpośredni atak na mury, a na stoku łatwo było spuścić z fosy wodę. Nawet morze mogło zadziałać przeciwko nim, gdyby wrogowie odkryli tunele.

Marc!

Była nazbyt nieostrożna, ale nie miała pewności, czy podzieli się on swoją wiedzą i wyjawia tajemnicę o podziemnych tunelach. Nie wiedziała nawet, czy wciąż jest w Szkocji.

Z dołu dochodziły ją radosne krzyki bawiących się dzieci. Czy i tym razem zdoła obronić swoich ludzi?

Isobel Dalceann. Głowa klanu Dalceannów od dnia śmierci jej męża do czasu, aż uda się znaleźć nowego kandydata.

Marc. Mimowolnie przypomniała sobie o niebezpiecznym przybyszu z Burgundii.

- *Merci aux saints.*

Te słowa wydały jej się trafne. Uniosła przed sobą dłoń, by poczuć chłodny wiatr między palcami.

Zima, dzięki której byli bezpieczni, kończyła się. Nadchodziły cieplejsze i dłuższe dni a wraz z nimi zagrożenie. Wiedziała, że wojska Dawida nadejdą. Pojawią się od południa i prze-

kroczą zatokę w Queensferry. Stamtąd pomaszerują na wschód przez Largo, Drumeldrie i Kalconquhar, by dotrzeć aż do Ceann Gronna.

Nikt nie przyjdzie im z pomocą. Nikt!

Zostali buntownikami. Jej ojciec był porywczy i lekkomyślny, a teraz to oni płacili cenę za jego błędy w ocenie sytuacji. Wiedziała, że już za późno na rozmowy i układy.

Dwa lata temu, kiedy jej ojciec i Alisdair odeszli z tego świata, mogła spróbować to zmienić, podnieść białą flagę i poddać się.

Wszystko albo nic, tak krzyknęli jednak jej żołnierze, kiedy przedstawiła im taką ewentualność.

Wszystko albo nic, powtórzyła w myślach, wiedziała jednak, że najbliższej bitwy nie wygrają i do następnej zimy niewiele z zamku zostanie.

Z pietyzmem nosiła na łańcuszku monetę, której srebro promieniowało ciepłem. Marc zostawił ją dla niej, a ona kazała zrobić w jej środku otwór i nosiła od czasu jego wyjazdu. Często jej dotykała, wodziła palcami po inskrypcji i wizerunku monarchy, którego nie chciała uznać.

- Pomocy! - szepnęła, wznosząc oczy ku górze, a potem dodała jeszcze: - Proszę, pomóż mi.

Wiedziała, że to bezcelowe, ale przyniosło jej ulgę. Naraz usłyszała swoje imię, obróciła się i ujrzała zbliżającego się Andrew. Rzednące włosy przykrył kapeluszem, a na nadgarstku miał bandaż.

- Angus powiedział, że tu cię znajdzie. Dał mi to, żebym ci przyniósł. Będzie ci cieplej.

Podał jej wełniany koc i poczekał, aż Isobel okryje nim ramiona.

- Taka pogoda nie potrwa długo i przez zatokę będzie można przetoczyć nawet najcięższe maszyny wojenne.

Spojrzała mu w oczy niewzruszona, ale bardzo nie spodobała jej się prawda zawarta w jego słowach.

- Cristina, Euen i Donald przygotowali mi miejsce na górze, Isobel. Jestem gotów na wszystko, co przyniesie los.

Wzmianka o jego żonie i dzieciach, zabitych ogniem greckim podczas drugiego oblężenia, na nowo obudziła gniew Isobel i przypomniała o jej stracie.

Od czasu śmierci Alisdaira nie była z mężczyzną. Żyła jak żołnierz. Wyrzekła się w swoim życiu wszystkiego, co kobiecie i kobietom przysługuje. Nigdzie nie podróżowała, nikogo nie poznała. Nie chciała jeszcze umierać!

Blizna na policzku zapiekła ją. Wiedziała, że Andrew to dostrzegł, nie dał jednak po sobie niczego poznać. Odczekała chwilę, aż się uspokoi, i znowu się odezwała.

- Jesteśmy przygotowani, tak jak zawsze. Ian codziennie ćwiczy z ludźmi strzelanie do celu, a oni rzadko chybiają.

- Zapasy też mamy zgromadzone. Solonego mięsa jest na dobre trzy miesiące, w piwnicach są też warzywa.

Trzy miesiące. Nijak tyle nie wytrzymają, jeśli pogłoski o napastnikach rzeczywiście się potwierdzą. Wiedziała jednak, że chodzi o coś więcej niż zwycięstwo. Spojrzała na zakrwawiony bandaż, o którym nie wspomniał ani słowem.

- Co się stało?

- Zawsze lepiej uciąć gadanie o porażce, gdy tylko się zaczyna.

- Zrobiłeś to?

- Starzeję się, Isobel, a te lata, które poświęciłem na radości życia, obracają się teraz przeciwko mnie. Są tu młodzi ludzie głodni wrażeń, którzy nie dostaną swojej szansy, jeśli...

Urwał. Następne słowa porwał wiatr, odleciały z chłodnym powiewem w ciszę.

Czyż i ona nie marzyła o następnych zwycięstwach i przyjemnościach życia?

- Co z ludźmi wysłanymi do Lindsayów? Wrócili już?

Pokręcił głową.

- Szansa na zawarcie sojuszu w ostatniej chwili jest znikoma, Isobel, nawet mimo twojej zachęty.

Uśmiechnęła się.

- Gdyby złoto mogło pomóc...

- Wciąż jeszcze dzięki skarbowi niektórzy mogą wyjechać. Łodzie czekają.

- Oczywiście. Kobiety i dzieci muszą odpłynąć. Jeśli zostanie jeszcze miejsce... może starsi będą chcieli je zająć.

- A ty, Isobel? Co z tobą?

- Ceann Gronna jest moim domem. Nie mogę wyjechać.

- A jeśli cię schwytają, ale nie zabijają? W Edynburgu jesteś znienawidzona, a kary dla buntowników są okrutne.

- Nie wezmą mnie żywcem. O to się nie martw. Zaklął głośno, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

- Przysięgam na Boga, że nie uda im się łatwo zająć zamku. Każdy z nas wysłę na tamten świat przynajmniej dziesięciu!

Skinęła głową i skrzyżowała z nim spojrzenia.

- Ja też chcę być na murach. Chcę walczyć razem z wami.

Poprzednio tego nie robiła. Podczas poprzednich oblężeń dowodziła obroną na tyłach. Andrew nauczył ją jednak walczyć i nie ustępowała umiejętnościami mężczyznom, więc i ona chciała dostać szansę na bohaterską śmierć z mieczem w dłoni.

Ulżyło jej, gdy Andrew wyraził zgodę. Nie musiała dłużej ukrywać swoich zamiarów. Zdążyła już zamówić u płatnerza hełm i kolczugę. Miała wspaniały cisowy łuk, prawie tak wysoki jak ona sama, a do niego strzały z lotkami z gęsiego puchu ufarbowanymi na żółto i czerwono.

Jeśli wróg nie dostanie się do tunelu od strony morza, wciąż mieli szansę, ponieważ współśrodkowe mury Ceann Gronna były grube i mocne, a te na górnym poziomie zbudowano tak, by można było z nich bronić tych położonych niżej.

Isobel poczuła, że serce zabiło jej szybciej. Czyżby naprawdę śmiała wierzyć w to, że mogą przeżyć oblężenie?

Dwustu ludzi! Czasem marzyła sobie, że przyjeżdża emisariusz króla, żeby przedstawić warunki łaski. Czy jeśli wytrzymają jeszcze ten jeden raz, coś takiego może się zdarzyć?

Zobaczyła na horyzoncie obłok kurzu. To wracali ludzie wysłani do naczelnika klanu Lindsayów. Chorąży trzymał wysoko sztandar Ceann Gronna.

- Wyjdiesz razem ze mną im na spotkanie? - spytała Andrew i obróciła się ku schodom, prowadzącym do wielkiej sali.

Sir Marc de Courtenay siedział w komnacie jadalnej wielkiego zamku na bazaltowym wzgórzu w Edynburgu i obserwował rozgrywającą się przed nim scenę. Dziesiątki lordów i ich dam, ubranych w najrozmaitsze uroczyste stroje, posilało się przy stołach bankietowych przykrytych białymi obrusami.

Król zajmował miejsce obok sir Marca. Właśnie w całej komnacie rozległ się jego dudniący śmiech, gdy lord Glencoe opowiedział historię o dwóch giermkach i ich psach. Marc nie słuchał jednak anegdoty.

Ostatnia wieczerza. Ostatni wieczór przed wymarszem do Fife przeciwko buntownikom z Ceann Gronna.

Na stole przed nim stały zupa, pieczone łabędzie, węgorze i minogi, pieczona gęś, bażanty i pasztety. Talerz, na który nakładał sobie potrawy, był z czystego złota, a jego kielich przez cały czas był dopełniany winem.

Mimo to trudno mu było zaznać spokoju. Nie potrafił się śmiać z żartów i przechwałek, co triumfujące wojska lojalistów zrobią z tą suką Dalceannów.

Poczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa niepokoiło go jak nigdy przedtem.

- Są szanse, że wrócimy i będziemy mogli się cieszyć podobną ucztą jeszcze przed końcem lata. - Archibald McQuarry, hrabia Huntworth, wydawał się absolutnie pewny swego i chyba w ogóle nie dopuszczał możliwości niepowodzenia, mimo że właśnie w takich okolicznościach stracił życie jego brat. Hrabia był zgorzkniałym człowiekiem pozbawionym poczucia humoru, więc Marc nie czuł do niego ani krzty sympatii.

- Widzę, że masz doświadczenie w takich wyprawach - zwrócił się do hrabiego, choć doskonale wiedział, że jest całkiem odwrotnie.

Hrabia pokręcił głową i odstawił kielich.

- Twojej wiedzy o prowadzeniu wojny nie dorówna nikt w całym świecie chrześcijańskim, zresztą jesteś królewskim ulubieńcem.

Marc wiedział, że te słowa nie są szczerze. Hrabia bowiem nie znosił nikogo, kto swoją pozycję zawdzięczał ciężkiej pracy i wytrwałości.

Nie lubił i nie szanował hrabiego. Uważał go za aroganta i tchórza, który stawiał się ponad innymi tylko z powodu swojego urodzenia. Mimo że i w Marca żyłach płynęła błękitna krew, lata spędzone na wojnie nauczyły go doceniać także ludzi z pospólstwa.

Pochwycił spojrzenie Dawida, który w odpowiedzi chwycił go za rękaw, położył mu dłoń na przedramieniu i wysoko uniósł kielich.

- Za sir Marca de Courtenay, jednego z najwybitniejszych rycerzy, którzy kiedykolwiek walczyli pod moim sztandarem.

Rozległy się huczne wiwaty.

- I za Filipa, króla Francji, za którego zgodą, panie, mogłeś do nas przybyć.

Znów odezwały się okrzyki pozdrowienia i radości. Tłum kipiał entuzjazmem, póki Dawid nie uciszył ludzi uniesieniem ręki.

- Człowiek, który zedrze z szyi Isobel Dalceann diabelski ząb, zostanie szczerze wynagrodzony. Wspomnijcie moje słowa, panowie. Chcę, żeby jej krew wsiąkła w ziemię Ceann Gronna jako ostrzeżenie dla wszystkich, którzy buntują się przeciw mojej woli.

Na te słowa cała królewska świta wzmogła aplauz i ponownie rozległy się okrzyki zwycięstwa.

Promienie słońca wpadające przez oszklone okna rozświetlały komnatę ciepłym blaskiem. Panowała atmosfera świętowania i radości. Marc jednak znowu poczuł niepokój i złość. Zostało jeszcze tylko kilka godzin...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaczęło się!

Ku Ceann Gronna, przez zieleniejące się pagórki, szło wojsko liczne jak rój pszczół. Nad odległym płaskowyżem Isobel widziała królewskie sztandary powiewające na lekkim wietrze: czerwone lwy na złotym tle.

Dwustu ludzi! Nigdy nie widziała tak wielkiej armii, tylu jednakowo uzbrojonych ludzi w jednym miejscu.

Za nimi dostrzegła wozy z machinami oblężniczymi: trebuszami i onagrami, ciągniętymi przez cztery rosłe woły. Nazajutrz miały rozpocząć ostrzał zamku. Gdy tylko dowódca ułoży taktykę i wybierze słabe punkty.

Omiotła wzrokiem okolicę i spróbowała się postawić w sytuacji wrogów. Potężne mury i dzwonnica były mocnymi punktami, ale poterna w pobliżu donżonu wydawała się słabo chroniona.

Na szczycie wzgórza wznoszono już pasiaste namioty, ponad którymi trzepotały sztandary z godłem Bruce'ów. Drzewa u podnóża wzniesienia chroniły je przed silnym wiatrem od strony morza i deszczem.

Naraz powietrze tuż ponad horyzontem przecięła gruba wstęga dymu. Wszystkie chaty nad rzeką stanęły w ogniu.

- Do popołudnia będziemy otoczeni - stwierdził Angus. - Przynajmniej nie musimy obawiać się niebezpieczeństwa od strony morza.

- Dziękujmy Bogu za klify - powiedział Andrew i zrobił znak krzyża.

Isobel wiedziała, że rozmów o okupie nie będzie. Zamek Ceann Gronna będzie oblegany do skutku, a później splądrowany. Cieszyła się, że kobiety i dzieci już odpłynęły. Mieli przeczekać oblężenie w Anglii, przy granicy, a ich zabezpieczenie stanowiła większa część francuskiego złota.

Po drugiej stronie doliny zauważyła grupę jeźdźców obserwujących zamek.

Dowódcy, pomyślała. Słyszała, że ma być ich trzech. Krążyła też po Fife plotka, że głównodowodzący jest najbardziej doświadczonym rycerzem w całej Europie. Przyjrzała się bacznie konnym, ale z tej odległości nie sposób było dostrzec ich twarzy. To nawet lepiej, powiedziała do siebie w duchu. Woląla jak najpóźniej poznać swoich wrogów, którzy przybyli, by zabijać. Jeszcze się na nich napatrzy.

- Mamy ludzi na ich tyłach - powiedział Ian. - Po zmroku przyjdą tunelem z brzegu i opowiedzą o wszystkim, co widzieli.

Wsunął miecz w szczelinę strzelniczą między deskami hurdycji i przekrzywił go tak, żeby słońce odbiło się w głowni.

Kiedy odpowiedział mu podobny błysk, Andrew przesunął nogą po deskach pod ich stopami.

- Chodź tu bliżej, chłopcze, i zobacz, co dla ciebie mam - zakpił.

Grupa żołnierzy na koniach zjechała ścieżką nad rzekę, przez cały czas trzymając w gotowości lance, by w końcu zniknąć w zaroślach. Ostatecznie zasłoniła ich chmura dymu płynąca z nad morza.

- Znaleźli stodołę na dziesięcinę - powiedziała cicho Isobel, po kierunku wiatru zorientowawszy się, gdzie wzniecono pożar.

W powietrzu zawirowały drobiny popiołu.

- Godzina do zmierzchu - powiedział Andrew. - Wybiorą miejsca i do świtu się okopią.

- Albo uderzą od razu, pod osłoną nocy - zwrócił mu uwagę Ian.

Isobel pomyślała o naczyniach z wodą, ustawionych przy zewnętrznych murach. Jeśli woda zacznie drgać, to znaczy, że wrogowie kopią tunel. Przy takiej ich sile spodziewała się, że prędzej lub później do tego dojdzie.

Wszyscy odmówili im pomocy. Lindsayowie przysłali umyślnego z wiadomością, że rozumieją trudne położenie Dalceannów, ale nie mogą być stroną w sporze z królem. Woodowie i Wemysowie byli tego samego zdania.

Prastary patriarchalny porządek w Szkocji odszedł w niepamięć, Korona nie uznawała systemu klanowego. Jedynym wyjściem było poddanie się woli władcy i dostosowanie się do nowych warunków. Że też ojciec nie zrozumiał tego wcześniej i jako pierwszy odrzucił królewski edykt. Prastare rody przekonały się o sile królewskich żołnierzy i skapitulowały i do tego właśnie w swoim czasie namawiał ojca Alisdair.

Jeśli nawet to oblężenie się nie powiedzie, następne na pewno będzie skuteczne. Prawdę mówiąc jednak, oceniając siłę wrogiego wojska, Isobel przeczuwała, że klęska Ceann Gronna jest tylko kwestią czasu.

Zawiodła. Wszystko stracone.

Przemknęło jej przez myśl, żeby po prostu wyjść przed zamek i zaproponować kapitulację w zamian za łaskę dla wszystkich jej ludzi, ale już wcześniej odbyli z Andrew rozmowę na ten temat i uznali zgodnie, że żadna umowa nie będzie honorowana.

Pogardzała tymi sługusami króla, którzy za nic mieli pradawne prawo. Nie rozumiała, jak można występować przeciwko pobratymcom, zabijać kobiety i dzieci.

Po drugiej stronie doliny rozległy się złowieszcze dźwięki rogu. Zapewne wróg przegrupowywał oddziały, a może była to tylko zapowiedź ponurych zdarzeń.

Z tego miejsca Marcowi mury wydawały się znacznie węższe, niż to zapamiętał. Gdy ruszył za dźwiękami rogu, zastanawiał się, w jaki sposób ten zamek przetrwał już dwa oblężenia. Huntworth i Glencoe byli pełni pomysłów i sugestii co do tego, jaką metodę ataku zastosować.

Przyglądali się ludziom stojącym w drewnianych hurdycjach u szczytu wewnętrznego pierścienia murów. Jego uwagę zwrócił przed chwilą błysk miecza. Prawdopodobnie ktoś celowo ich prowokował. Marc wiedział od swoich wywiadowców, że wcześniej wielu członków klanu Dalceann odpłynęło łodziami ku Anglii. Miał szczerą nadzieję, że była wśród nich Isobel, która w ten sposób ucieknie przed królewskim gniewem i pozostanie cała i zdrowa. Instynkt podpowiadał mu jednak, że właśnie w tej chwili Isobel obserwuje go z murów i układa strategię obrony. Za każdego zabitego członka Dalceannów niewątpliwie zapłaci krwią własnych ludzi. A także swoją.

Usłyszał świst strzały. A potem następnej od strony lasu.

Gdyby nie schylił się poprawić strzemię, zapewne by go trafiła w głowę. Tymczasem strzała uderzyła w obrzeże tarczy i przebiła dwie warstwy skóry i jedną drewna.

Odlamał część z lotkami i obejrzał znaki. Królewska strzała! Mariner, jego zastępca, zauważył, co się stało, i nadjechał galopem z pytającą miną.

- Nie wypuszczono jej z zamku - powiedział chłodno.

- Czyli jest wśród nas ktoś, kto życzy mi śmierci - stwierdził Marc.

- Do diabła. Trudno jest prowadzić oblężenie, jeśli cały czas trzeba się oglądać za siebie.

Callum Mariner wydawał się zatroskany.

- Miejmy nadzieję, że niepowodzenie zniechęciło tego człowieka do następnych prób.

Później tego samego dnia po powrocie do namiotu Marc zobaczył, że Huntworth przygląda mu się ze szczytu wzgórza w bardzo podejrzany sposób. Archibald McQuarry miał w sobie coś takiego, co musiało budzić nieufność. Uchodził za człowieka zawistnego i kłamliwego. Czyżby McQuarry'emu nie podobało się, że podczas wyprawy jest zaledwie drugi w hierarchii dowodzenia? Był lordem i z pewnością z trudem przyjmował rozkazy od przybysza z innego kraju, poddanego obcego króla.

Może to właśnie Huntworth próbował go zabić? Postanowił go obserwować i mieć się na baczności.

Oblężenie rozpoczęło się. Marc był znużony widokiem onagrów miotających pociski w stronę niszczących umocnień Ceann Gronna, wciąż powtarzającym się skrzypieniem drewnianej konstrukcji i łomotem padających kamieni.

Boże, modlił się w duchu, spraw, żeby Isobel skryła się bezpiecznie za murami. Wolał nie myśleć, co zrobiłby, gdyby zginęła. Nie przestawał wypatrywać wśród załogi zamku postaci z długimi czarnymi włosami. Wiedział, że na pewno włożyła zbroję i hełm i nie mógłby jej odróżnić, ale obawa sączyła się do jego serca. Strach z każdą godziną narastał.

Dlaczego po prostu się nie poddadzą? - zachodził w głowę. Obrońcy mogliby przecież podnieść białą flagę i zdać się na łaskę króla. Tak czy inaczej, zamek upadnie. To kwestia tygodni.

Naraz zapaliły się dachy kilku umocnień, ogień i dym przeniknęły w głąb zamku.

Gdzie ona jest, u diabła? - coraz bardziej nerwowo zadawał sobie w duchu to pytanie. Czy to możliwe, żeby uciekła tunelami, o których przy nim wspomniała? Nie. Był przekonany, że Isobel będzie walczyć do samego końca, ramię w ramię z towarzyszami broni. Nie podda się, choćby miała umrzeć za swój ukochany zamek i klan, które ceni wyżej niż swoje życie.

Nie miał też nadziei, że Andrew lub Ian skłonią ją do ucieczki. Isobel Dalceann będzie walczyć do końca. Tego był absolutnie pewien i to budziło w nim niewyobrażalny lęk. Zupełnie nowe uczucie w jego ryzykownym życiu.

Minęły dwa tygodnie od rozpoczęcia ostrzału zamku i zewnętrzny pierścień murów był już osłabiony na tyle, że przy dzwonnicy lada chwila mógł powstać wyłom. U podnóża muru leżało twarzą do ziemi wielu poległych żołnierzy. Wśród zabitych znajdował się Angus.

- Jeszcze dzień albo dwa i po nas - mruknął Andrew.

Ian skrzywił się na te słowa, ale nie mógł zaprzeczyć.

- Jeszcze nie polegliśmy. Nie możemy odłożyć broni. Nie czas, aby załamywać ręce - odparł, wypuścił strzałę i sięgnął do kołczanu po następną.

Isobel spojrzała na wzgórza za obozem wrogów. Och, gdyby ktoś przyszedł nam z pomocą, pomyślała. Gdyby udało jej się zobaczyć choćby jeden błysk zbroi nadchodzących sprzymierzeńców.

Próżne nadzieje.

Odliczała godziny, które jej pozostały. Mieli coraz mniej czasu, o czym świadczyła zniszczona dzwonnica, obłożona zmoczonymi zwierzęcymi skórami, żeby nie zajęła się ogniem.

Bitewny zgielk nieco ucichł. Tego dnia nie atakowano tak zajadle, więc w zamku nie powstało więcej szkód. Było jednak jasne, że niebawem forteca padnie.

Mimowolnie ujęła w dłoń monetę zawieszoną na szyi.

Marc wybrał piętnastu najlepszych ludzi i dał znać, by za nim poszli. Ruszyli nadmorską ścieżką i okrążyli podnóże stromego klifu wznoszącego się aż po białe mury Ceann Gronna.

Znał drogę, już drugiego dnia odszukał właściwą ścieżkę. Drzwi, do których prowadziła, nie stanowiły przeszkody i bez trudu sforsował zamek.

Drabiny prowadzące w górę bardzo go zaskoczyły. Zbudowane z kamienia i oszlifowanego drewna wyrzuconego przez morze wspinały się na klif, mając za poręcz mocne, zaopatrzone w węzły liny.

Pokazał swoim ludziom, że droga wiedzie w górę i sam zaczął się wspinać jako pierwszy. Złość na sytuację, w jakiej się znalazł, pomagała mu szybko pokonywać wysokość. Choć Huntworth i Glencoe byli głupcami, niewiele im brakowało do zrobienia wyłomu w murach zamku. Nie wolno mu było czekać dłużej, bo jeśli to oni pierwsi dostaną w swoje ręce Isobel Dalceann...

Odpędził te myśli. Teraz musiał skupić się na zadaniu.

Jeszcze sto metrów. Słyszał u góry bitewne odgłosy i triumfalne okrzyki. Dotarł na szczyt i ruszył ku południowej bramie. Okazała się niestrzeżona i słaba, tak że wyłamał ją bez problemu i weszli do kamiennej piwnicy.

Mijali zapasy, aż w końcu dotarli do schodów dla służby. Po drodze napotkali opór, ale wątki. Zaskoczeni ludzie Dalceannów nie byli w stanie zagrozić im drogi.

Przez witrażowe okna widział już w górze, na murach, ludzi w barwach Glencoe. Nagle poczuł panikę. Boże, ocal ją, proszę. Podpowiedz, gdzie ona jest - modlił się w duchu.

Mijali grupę służących, które stłoczyły się pod stołem. Kobiety miały przerażone twarze. Dał znak swoim ludziom, żeby nie robić im krzywdy.

Za wielką salą usłyszał podniesione głosy i tupot. Prywatne komnaty w Ceann Gronna były obwieszane wielkimi tkaninami, przedstawiającymi jednorożce i inne czarodziejskie zwierzęta. Pod ścianami stały dębowe skrzynie z mosiężnymi okuciami. Okna podzielone listwami wpuszczały niewiele światła.

Komnatę Isobel poznał od razu, bowiem nie tak dawno w niej spędził kilka dni. Teraz wydawała się skromniejsza niż pozostałe. Nigdzie jej jednak jak dotąd nie widział.

Naraz usłyszał kobiecy krzyk i wtedy dostrzegł ją między Andrew a Ianem. Stała oparta plecami o ścianę i odpierała ataki żołnierzy w zbrojach, którzy wdarli się przez dzwonnice.

Lśniący głownia jej miecza sprawnie wykonywała skomplikowane figury. Światło wpadające przez otwarte wielkie drzwi rozświetlało jej związane kruczoczarne włosy.

Zawahał się. Wstrzymał oddech i znieruchomiał. Rozumiał, że trzeba uważać, bo nawet najdrobniejszy błąd może oznaczać dla niej śmierć. Sztandary Dalceannów jeden za drugim wpadały w ręce wrogów. Marc zobaczył, że jej ramiona słabną. Widać było odsłonięty kawałek szyi...

- Niiieee! - krzyknął.

Ich spojrzenia się spotkały. Oczy miała przekrwione, nie wiadomo, czy ze strachu, czy ze zmęczenia. Po twarzy spływały jej drobne kropelki potu.

Poznała go mimo zbroi, a w jej oczach przez moment pojawił się wyraz niedowierzania, który po chwili ponownie zastąpił gniew.

Rękę trzymającą miecz Isobel miała brudną od krwi, spod rozerwanej powyżej łokcia kolczugi widać było jej nagie ciało, a resztki cienkiej białej szaty nasiąkły krwią.

Nie miała rękawic ani hełmu, żadnej dodatkowej ochrony.

Poczuła za plecami chłód gładkich kamieni. Czyżby to miało być jej ostatnim doczesnym doświadczeniem?

Bolało ją ramię, a rana utrudniała trzymanie miecza. Isobel wiedziała, że nie należało zdejmować rękawic...

Wróg wdarł się do zamku właśnie wtedy, gdy udała się na chwilę odpoczynku. Nie miała czasu z powrotem włożyć hełmu ani rękawic. Musiała stanąć do walki na podeście schodów prowadzących do komnaty na górze, mając przeciwko sobie tylu wrogów, ilu tylko mieściło się w wąskim przejściu.

Należało od razu pobiec do tunelu i spróbować uciec drogą morską. Słyszała przecież, że śmierć na morzu nie jest taka straszna.

Teraz jednak już było na to za późno. Postanowiła, że wrogowie przynajmniej nie wezmą jej żywcem. Nagie główne mieczy przecinały powietrze coraz bliżej jej głowy. Pomyślała, że jeśli przestanie się bronić i odsłoni szyję na cios...

- Niiieee!

Przeraźliwy krzyk przyprawił ją o dreszcz. Spojrzała i zobaczyła człowieka, którego spodziewała się nigdy więcej nie spotkać.

Marc!

Stał w zbroi i barwach króla Dawida, z mieczem unurzonym we krwi.

Zdrajca i wiarołomca, pomyślała. Wrócił dwa miesiące później i wykorzystał swoją wiedzę przeciwko tym, którzy okazali mu dobroć. Za opiekę odpłacił się śmiercią i zniszczeniem.

Gdy się zbliżył, poczuła od niego zapach morza. Patrzył chłodno, świadom, że zdrada pociąga za sobą karę. Uniosła miecz i chciała zadać mu cios, Andrew był jednak szybszy. Doskoczył do niego z zamachem, ale Marc odbił cios i zamarkował kontrę.

Andrew był bez szans. Nabrał się jak dziecko. Srebro zabłysło w słońcu, gdy Marc wykonał zamach i uderzył Andrew w głowę płaską stroną głowni. Może nawet Andrew by to przeżył, gdyby nie żołnierz, który wyskoczył zza pleców Marca i dokończył dzieła.

Isobel nie zdążyła zareagować. Wszystko działo się zbyt szybko. Zobaczyła krew, która ściekała na kamienne płyty i zbierała się w kałużę.

Jej smutek ustąpił miejsca trwodze, a gdy Marc znowu uniósł miecz, pogodziła się z losem.

I na nią przyszedł czas.

Nie próbowała się bronić ani nawet nie myślała stawiać oporu. Król Dawid Bruce zwyciężył.

Potem wszystko zaczęło dziać się jakby w zwolnionym tempie. Marc szarpnął ją z całej siły i wciągnął za siebie, a zaraz potem głowa nieznanego jej żołnierza potoczyła się po kamieniach jak piłka, która nie chce się zatrzymać.

Nic wydawało się nie mieć sensu.

Ian też poległ, ale wkrótce na ziemię opadli i jego napastnicy. Wszyscy zginęli z ręki tego wiarołomcy.

Zapewne to jego wojsko, pomyślała, próbując zrozumieć, dlaczego ona jeszcze żyje, a dookoła wszyscy są martwi z wyjątkiem żołnierzy, z którymi nadbiegł Marc. Może chciał odzyskać złoto?

Na podeście zapadła cisza, słychać było tylko ciężki oddech mężczyzny w kolczudze, który znieruchomiał, by posłuchać odgłosów tarana. Napastnicy właśnie wyłamywali frontową bramę. Marc otarł z twarzy pot.

Z każdą minutą w zamkowych murach było znacznie więcej żołnierzy Dawida. Dębowe drzwi do wielkiej sali runęły i morze ludzi w barwach złota i burgunda wlało się do środka.

- Ona jest moja. Mam do niej prawo.

Marc trzymał w dłoni nóż i podrzucał raz za razem, zupełnie tak jak robił to wcześniej w lesie na północ od Kirkcaldy.

Nie był to jednak gest opiekuńczy. Isobel wyczuwała w nim jedynie nienawiść.

Gdy obróciła się, by stawić opór, szarpnął za kolczugę przy jej szyi i zacisnął palce na monecie, jakby wiedział, że ją tam znajdzie.

- Czarownica Dalceannów jest moja. Ogłaszam to w imię króla Dawida Bruce'a.

Rozległy się głośnie, przeciągłe wiwaty. Isobel poczuła, że zapada się w otchłań, gdy Marc ucisnął obnażoną część jej szyi mocnymi palcami wojownika.

Była nieprzytomna, kiedy Marc niósł ją do komnaty, w której nie tak dawno leżał, odzyskując siły po pamiętnym sztormie. Gdy się tam znalazł, położył Isobel na łóżku, potem otworzył skrytkę i wręczył swoim ludziom złoto, by zanieśli je do komnaty, którą zamierzał zająć.

- Strzeżcie go dobrze - zapowiedział. - Część z was ma zostać tu w korytarzu i pilnować również tej komnaty.

Skinęli głowami na znak, że przyjęli rozkaz. Zamknął za nimi drzwi i zablokował je ciężką antabą.

Odetchnął, kiedy wreszcie został sam. Zyskał trochę, zanim zaczął zadawać pytania. Bo jeśli wszystko miało się udać, musiał postarać się, żeby Isobel Dalceann szczerze go znienawidziła. Jej życie bowiem wisiało na włosku. Musiał zachowywać się w każdej chwili tak, jakby była jego jeńcem wojennym.

Potrząsnął nią, żeby się ocknęła, i puścił, gdy wybuchnęła wściekłością. Była silna, musiał oddać jej sprawiedliwość. Rzuciła się na niego gotowa wydrapać mu oczy, krzycząc:

- Ty... ty... bękarcie!

Ledwie wyrzucała z siebie słowa, tak że z trudem wypowiedziała to krótkie oskarżenie. Zaraz potem rzuciła się na niego, ale zrobił unik i ostrzegawczo uniósł dłoń.

- Nie zbliżaj się.

- Dlaczego? - Głos jej się łamał. - Bo chcesz mnie zabić? A może zamierzasz mnie pojąć?

Ostatnie słowa znów wykrzyczała. Jej pierś wznosiła się i opadała pod ciężką kolczugą.

- Nie uznaję gwałtu - odparł.

Podobało mu się, jak raptownie się wyprostowała. Wiedział, że będzie mu dużo łatwiej chronić walczącą lwicę niż przestraszoną kobietę.

- A więc jakieś zasady wyznajesz? - warknęła.

- Zdziwiłabyś się, lady Dalceann, ile szczerości jest w tym, co robię.

Nagle nóż przeciął powietrze. Świsnął Marcowi tuż koło ucha. Centymetr w lewo i ostrze zebrałoby śmiertelne żniwo. Isobel ciężko upadła na stołek przy oknie i uderzyła głową o parapet.

- Nienawidzę cię.

- Dobrze.

Odpowiedział, podszedł do drzwi i po drodze zabrał nóż. W złości, która go opanowała, musiał jak najszybciej wyjść z tej komnaty, która tak bardzo kojarzyła mu się z oszustwem, a tak mało ze szczerością.

Gdy był już na zewnątrz, przekręcił klucz w zamku i schował go do kieszeni, a na straży w korytarzu zostawił ośmiu swoich ludzi.

- Nikomu nie wolno tam wejść ani stamtąd wyjść - zapowiedział. - Wrócę za niecałą godzinę.

Prawie wybiegł na zewnątrz, znalazł mały występ murów osłonięty ze wszystkich stron i tam oparł się plecami o twarde kamień. Wiatr znad zatoki wiał mu prosto w twarz, świeży i trzeźwiący, a on jeszcze odchylił głowę, żeby lepiej go czuć.

W dłoni ścisnął monetę, którą wcześniej Isobel nosiła na szyi. Wciąż była ciepła jak wtedy, gdy ją zrywał z jej szyi. Rozłożył palce, by na nią spojrzeć.

Lady Dalceann zrobiła sobie z monety wisiorek, przedziurawiła ją i zawiesiła na srebrnym łańcuszku. Czyżby na pamiątkę? Tysiąc myśli zaczęło mu się kłębić w głowie. Dlaczego, u diabła, Isobel miałaby nosić po nim pamiątkę?

Uniósł drugą rękę i z całej siły uderzył nią w kamień, aż łzy napłynęły mu do oczu. Andrew nie żył, podobnie jak Ian i kilku innych mężczyzn, których pamiętał z leśnej polany. Nie mógł uratować Isobel i ich wszystkich, ale ona nigdy tego nie zrozumie.

Wszystko dookoła spowijał ostry odór dymu.

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dreszcze zaskoczyły ją, rzadko bowiem zdarzało się, by pozwalala uczuciom zapanować nad nią w taki sposób jak teraz. Miała silne drgawki i nijak nie mogła ich powstrzymać.

Opierając się na stołku, wstała i przeniosła na łóżko. Bolała ją głowa, a z pulsującej wargi, którą przygryzła, sączyła się teraz krew.

Wciąż myślała o swoich ludziach. Co się działo na zewnątrz? Czy napastnicy wszystkich pozabijali? Czy pochowają Andrew? - w jej głowie kołatało się tysiące myśli.

Lęk sprawiał, że w ustach czuła przykry smak żółci. Zdradzona i zapomniana nie miała pojęcia, co przyniesie jej przyszłość. Słyszała, że takich jak ona zdrajców wiesza się w publicznych miejscach i żywcem patroszy.

Mimo woli dotknęła szyi, chcąc zacisnąć palce na srebrnej monecie, ale nie było śladu po talizmanie. Tak samo jak po jej marzeniach. Teraz nie mogła uwierzyć w to, że śniła o miłości, rodzinie i zgodzie. Kiedyś wyobrażała sobie, że Marc wróci galopem we mgle, aby ją ratować, ale teraz...?

Był dowódcą królewskich wojsk, które oblegały Ceann Gronna, a został nim, ponieważ poznał sekrety tego miejsca. Wystarczyły dwa tygodnie, by zamek padł. Przysięgła sobie, że Marc gorzko pożałuje swoich postępów.

Nie wiedziała tylko, jak do tego doprowadzić.

Gorączkowo zastanawiała się nad zemstą, ale właśnie w tej chwili uderzyła ją inna myśl. Podeszła do skrytki i panicznym ruchem okręciła kamienną płytę. Wszystko zniknęło!

Była pewna, że to sprawka Marca. Wartość skarbu musiała być silną zachętą.

Nie dość, że wiarołomca, to jeszcze chciwiec! Rozczarowanie, które zaczynało przema-gać jej złość, było wystarczająco duże, by cisnęła stołkiem o ścianę, a przy okazji stłukła dzbanek. Skorupy naczynia upadły na podłogę, a jej podobał się chrzęst porcelany pod stopami, gdy chodziła po pokoju.

Marc wrócił dopiero o zmierzchu. Obowiązki triumfatora okazały się bardziej czasochłonne, niż przewidywał.

Monetę, którą zdjął jej z szyi, zastąpił zębem, który znalazł na zapleczu u mało znanego złotnika podczas wędrówek po Edynburgu. Kiel wyglądał właśnie tak, że kojarzył się z talizmanami czarownic: był pożółkły, a na oprawie wyryto słowa w jakimś pradawnym języku. Ot,

jeszcze jeden środek zapobiegawczy i dodatkowy dowód. W razie potrzeby zamierzał go ujawnić. Na dworze Filipa długo uczył się sztuki pozorów.

Gdy wszedł, Isobel spała, jej kolczuga leżała w nogach łóżka, a na podłodze zobaczył dziesiątki kawałków niebieskiej porcelany. Butem zamiótł je pod łóżko, a potem ją zbudził.

Oczy otworzyła natychmiast i biła z nich nienawiść. Marc nie rozpałił ognia, więc w komnacie panował taki chłód, że widać było parę lecącą z ust przy wydechu.

Do diabła, zaklął w myślach. Przez ten kominek najbardziej gryzło go sumienie. Bez wahania sięgnął jednak za pazuchę i wyciągnął sznur.

Na ten widok Isobel natychmiast się wyprostowała, ale zareagowała zdecydowanie zbyt późno. Ani się obejrzała, jak miała skrępowane nadgarstki za plecami. Leżała na plecach, odychając ciężko.

- Lady Dalceann, jesteś pani moim jeńcem i królewskim wrogiem. Jeden fałszywy ruch, a...

Omal nie dokończył: „...a nie będę mógł cię ocalić”.

- A zginę - dokończyła za niego i zwilżyła wyschnięte wargi.

Jej długa szyja w świetle gasnącego dnia była bardzo jasna, żyła na jej skroni pulsowała. Marc przyłożył dłoń do rozgrzanego czoła Isobel i pokręcił głową. Następnie obejrzał zranione ramię. Ile godzin czekało już na opatrzenie?

Nie poszło mu tak łatwo, jak się spodziewał. Rozdarł do końca rękaw koszuli i nałożył na ranę maść, którą zawsze nosił przy sobie.

Wstał, zdjął okrycie wierzchnie i tunikę i został tylko w nogawicach. W jej oczach dokładnie wyczytał, co pomyślała o jego zamiarach. Łatwo było odgrywać łotra przy tak wyglądającej kobiecie.

- Mogę cię zawsze przywiązać do łóżka, jeśli tego chcesz - ostrzegł.

Mimo woli wyobraził sobie, że Isobel jest w ten sposób skrępowana w znacznie miłszych i bardziej zmysłowych okolicznościach. Natychmiast poczuł przypływ pożądania. Isobel jakby to wyczuła, ponieważ zaczęła się szarpać i krzyczeć:

- Nie! Nie!

W tym słowie było tyle lęku, że aż zaklął. Nie był pewien, czy gdyby jego ludzie wdarli się do środka i zobaczyli ją w tym stanie, potrafiliby powstrzymać ich zapędy. Isobel Dalceann była po prostu piękna.

Ucieszyło go, że w końcu znieruchomiała, bo koszula zsunęła jej się już niemal poniżej linii piersi, a ponieważ ręce miała związane, nie mogła nic na to poradzić. Z każdym jej ruchem piersi stawały się coraz bardziej widoczne.

- Leż spokojnie.

Złościła go moc, jaką miało jej ciało. Zarzucił więc na nią koc, który leżał na skrzyni, żeby odciąć się od pokusy.

Nawet skrepowana więzami i urażona była prawdziwą czarownicą. Wszystkie historie, które słyszał na jej temat, wydawały się zdumiewająco prawdziwe.

Dziś w nocy zapewne mnie zgwałci, pomyślała Isobel z obrzydzeniem. Zdjął już z siebie część ubrania, a okazała wypukłość pod nogawkami zdradzała, w jakim kierunku wędrują jego myśli.

Spróbowała poluzować więzy, ale szybko zrozumiała, że to na nic. Co gorsza, każdym szarpnięciem jeszcze mocniej je zaciskała. Wyobraziła sobie, jak Marc zdejmuje spodnie i bierze ją od tyłu, tak żeby nie widziała jego twarzy. Zatrzęsa się z przerażenia.

Nie mogła pojąć, dlaczego kiedyś o nim marzyła i nawet miała nadzieję, że przyjedzie z wojskiem jej na ratunek.

Spróbowała zapanować nad oddechem, żeby nie było słyhać, jak bardzo jest przerażona. On tymczasem zerwał ze ściany tapiserię i położył ją na podłodze przy drzwiach. Spojrzały na nią żółte oczy jednorożca. Przypomniała sobie, jak haftowała tę tkaninę, gdy była młodsza, zanim jeszcze zamek Ceann Gronna znalazł się w ogniu wojny.

Co Marc z tym zamierza zrobić? - zastanowiła się. Widziała, że obok położył miecz i nóż, obie bronie oczyszczone i zakonserwowane. Były z pewnością piekielnie ostre. Obok leżał jeszcze sznur z uprzednio zrobionymi pętlami. On tymczasem starannie złożył tunikę i po prostu się położył. Ramiona wsunął za głowę zamiast poduszki i zamknął oczy. Mimo półmroku widziała jego umięśnione ciało. Po lewej stronie żeber ciągnęła się duża blizna, którą zauważyła już poprzednio, gdy leżał złożony chorobą.

Czyżby miał to być jakiś podstęp? Obróciła się tak, by lepiej go widzieć. Szmer sprawił, że skrzyżowali spojrzenia. W półmroku dostrzegła błysk jego oczu.

- Nie wstawaj z łóżka, Isobel - ostrzegł ją.

Na surowej twarzy Marc wciąż nosił ślady bitwy. Wydawał się zmęczony i starszy ponad swój wiek. Miała wrażenie, że zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się.

Wyglądało na to, że Marc jednak nie zamierza spać, ale nie zamierza też zażądać tego, czego wszyscy zwycięzcy oczekiwali od kobiet.

Koc, pod którym leżała, otaczał ją miłym ciepłem, łóżko miała wygodne, a miękka poduszka obiecywała łatwy sen, nawet mimo więzów. Marc nie miał na sobie niczego, odkąd ściągnął przybrudzoną tunikę, by się nią przykryć.

W komnacie panowała cisza, ciężka i wymuszona. Dolatujące z zewnątrz głosy żołnierzy, wypoczywających na murach, odbijały się złowrogim echem.

To nie byli jej ludzie ani sojusznicy! Tknięta myślą o plądrowaniu jej domu odwróciła się do ściany. Andrew nie żyje, pomyślała. I choć nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, łzy płynęły jej po policzkach i wsiąkały w poszwę poduszki.

Widział, że Isobel płacze, i nie dziwił się.

Tak wielu ludzi zginęło! Ostatnie spojrzenie jednego z nich, tego imieniem Andrew, wracało do niego nieustannie. To był dobry człowiek. Mądry i sprawiedliwy. To dzięki niemu bezpiecznie powrócił do Edynburga.

Gdyby Marc mógł go ocalić, zrobiłby to na pewno, ale spieszył się na ratunek Isobel.

Miał nadzieję, że zrozumie, gdziekolwiek przebywa teraz jego duch.

- Przyszedłeś tunelem, prawda? - jej pytanie przerwało głuchą ciszę.

- Owszem.

- Jak cię zwą na dworze króla Dawida?

- Marc de Courtenay.

- A James? Czy to też było kłamstwo?

- Nie. To jest moje drugie imię.

- Nie powinnam była wyciągać cię z morza, Marcu Jamesie de Courtenay - powiedziała smutnym głosem. - Andrew błagał mnie, żebym zrzuciła cię z murów po wschodniej stronie zamku. Powiedział, że jesteś niebezpieczny i nie ma dla ciebie miejsca w Ceann Gronna. Gdybym go posłuchała, może jeszcze byłby wśród żywych.

- Gdybym to nie ja cię pojmał, zrobiliby to inni, i nawet jeśli mi nie wierzysz, wykazaliby znacznie mniej troski o twoje potrzeby niż ja.

Marc pomyślał o Glencoe i Huntworie i o rozmowie, którą przeprowadził z nimi tego wieczoru. Obaj uważali, że wszystkie bez wyjątku łupy należy podzielić równo na trzy, a Isobel Dalceann także jest wspólną zdobyczą. Marc mógł sobie wyobrazić, jak triumfujący dowódcy dzielą się nią jak kością. Tylko dzięki jego autorytetowi tłumił wszelkie sprzeciwy w zarodku.

Nie wiedział jednak, jak długo zdoła zapewnić Isobel bezpieczeństwo. Następnego dnia musiał przynieść nowe problemy, a on miał znacznie mniej ludzi niż dwaj pozostali dowódcy razem. Nikt z ludzi McQuarry'ego na podejście nie został oszczędzony, ale przez okna ktoś mógł widzieć, co naprawdę zaszło. Ewentualni świadkowie mogli podważyć oficjalną wersję zdarzenia.

- Czy jest woda?

To pytanie oderwało go od niepokojących rozmyślań. Ton Isobel wydawał się przesycony lękiem i poczuciem klęski.

Wstał i podał jej skórzany bukłak, który przedtem napełnił.

- Usiądź.

Zrobiła to z pewnym wysiłkiem, a zsuwająca się bawełniana szata odsłoniła jej kobiece wdzięki. Gdy zauważyła, gdzie zawędrował wzrok Marca, spojrzała mu w oczy. Z bukłaka Isobel wypila ledwie kilka małych łyków. Gdy skończyła, uniosła dumnie głowę.

- Rozwiąż mnie, Marcu. Proszę. - Powieki miała półprzymknięte, wargi rozchylone, kilka razy zmysłowo poruszyła ramionami. - Może wtedy uda się nam nacieszyć tą nocą, gdyby jutro miało dla mnie nie być. Przecież kiedyś zdawało mi się, że mnie lubisz...

Wyraz jej oczu omal go nie omamił. Isobel wyprężyła ciało, zdawało się, że przeskakują między nimi iskry.

Obietnica wypisana na jej twarzy wydała mu się jednak zwodnicza. Niemal czuł palce Isobel na rękojści swojego sztyletu i zimno stali zatapiającej w jego piersi.

Wstał i odsunął się od łóżka, a potem zdjął zasłonę z okna z małymi szybkami, żeby wpuścić trochę chłodnego powietrza i odświeżyć umysł.

- Boże, niewiele brakowało, a dałbym się przekonać. - Wbił paznokcie w obnażoną skórę ramion i z zadowoleniem powitał ból. - Popęłniłbym poważny błąd.

Oczy Isobel ciskały gromy.

- Zdrajca - powiedziała bez cienia niepewności. - Zabiję cię, gdy tylko nadarzy mi się okazja. Przysięgam, że to zrobię, Marcu Wiarołomco.

Roześmiał się, choć wcale nie chciał. Z dołu dobiegał ich ryk bezkresnego morza, rozbijających się o skały wielkich fal. Chmury nadciągające z północy były gęste i niosły chłód. Jutro należało spodziewać się deszczu, pomyślał.

Unieruchomiona w niedużym zamku oblężnicza armia zaczęła odczuwać znużenie, cierpliwość ludzi zostanie wystawiona na poważną próbę.

Lady Isobel Dalceann należało więc trzymać w jej komnacie, póki pogoda się nie zmieni. To jednak znaczyło, że przez większość czasu i on będzie uwięziony razem z nią. Sama myśl o tym wywoływała u niego zmęczenie.

- Śpij - powiedział i wrócił na swoje posłanie. - Będziesz potrzebować dużo siły, żeby przetrwać następny dzień.

Myślała o swoim ojcu, o Alisdairze i o pewnym lecie, kiedy nie wiedziała jeszcze, jak zabić człowieka ani jak udawać dziwkę.

Nie mogła zasnąć. Była na siebie zła, że spróbowała go uwieść. Pomysł wydał jej się teraz zupełnie niedorzeczny. Jak mogła mu się spodobać z tą szpetną blizną. Bez przerwy czuła tępe pulsowanie w zranionym ramieniu, którego, co gorsza, nie mogła wyprostować. Znowu poczuła pragnienie.

Marc głęboko oddychał. Nasłuchiwała jego oddechu co najmniej przez godzinę. Zasnął. Broń leżąca u jego boku stanowiła niemałą pokusę, blask ostrej stali wciąż był widoczny w ciemności.

Przesunęła się do krawędzi łóżka i znieruchomiała. Zsunęła następnie na bok koc i pozwoliła usiąść na łóżku. Opuściła nogi tak, że prawie dotknęła nimi podłogi.

- Czy naprawdę chcesz, żebym cię przywiązał do łoża?

Aż podskoczyła, słysząc te wypowiedziane półgłosem słowa, które w ciszy zabrzmiały bardziej złowieszczo niż krzyk.

Postanowiła zrezygnować z ciepłego, wełnianego sukna na ramionach. Skuliła ramiona, żeby zatrzymać resztki ciepła. Dreszcze jednak przybrały na sile i nie pozwalały nawet spokojnie mówić:

- C-c-co się ze mną stata-ta-tanie? Ju-u-u-tro?

- Miejmy nadzieję, że to samo co dzisiaj. W tej komnacie powinnaś mieć trochę wytchnienia.

- Od czego?

- Twój klan nie chciał podporządkować się woli króla. O ile wiem, zdrajcy z zasady nie mają okazji do poprawy.

- Mimo że dałam ci...

W jego obojętnym dotychczas tonie wybuchł silny gniew.

- Lady Dalceann, wspomnienie o czymś tak osobistym poza tą komnatą sprawi, że nie będę już mógł powstrzymać tych ludzi. Zabiją cię, pani.

- Chciałbyś tego?

- Sprawiedliwość wyklucza morderstwo z zimną krwią.

- A co ze zdradą?

- Czy mówisz o moim postępowaniu, czy o nowym prawie? W moim odczuciu jedno jest powiązane z drugim.

- Jesteś w Szkocji bardzo krótko. Czyżbyś sądził, że znasz całą wielowiekową historię Fife?

Z tymi słowami dziarsko wstała.

- Wracasz do Ceann Gronna ze swoim fałszywym rozumieniem pojęć wartości i wiary jako człowiek gryzący rękę tych, którzy ją do niego wyciągnęli, czy tak? Nie, nawet gorzej... - dodała, bo złość zaczynała brać u niej górę nad logicznym myśleniem. - Rozbijasz głowę dobremu, życzliwemu człowiekowi pod pozorem działania w słusznej sprawie... - Urwała.

Widziała, jak wstaje i odkłada dalej od łoża nóż i miecz. Pierś miał naga, a nogawice nisko osunęły mu się na biodra.

Nie był mężczyzną znajdującym upodobanie w beczynności albo przesadnym korzystaniu z uciech życia. Był piękny, i to nie podlegało dyskusji. Isobel była jednak na siebie wściekła, że tak uważa i że pozwala, by osłabiało to jej gniew i nienawiść. Chciała odnaleźć w sobie furię.

Nagle pomyślała, że są do siebie podobni. Oboje tak samo trzymają się tego, co jest już nie do obrony. W walce o ten zamek nie mogło być zwycięzcy. Ceann Gronna już w zasadzie należy do króla.

Poczucie bezsilności rodzi beznadzieję. Czternaście dni zaciętej walki doprowadziło do sytuacji bez wyjścia. I sprowadziło konflikt o stary porządek do banalnego konfliktu osobistego. Andrew i inni stanowczo nie powinni byli zginąć w tak bezcelowym buncie.

Głośno westchnęła.

- A może jakoś się ułożymy?

- O twoje życie?

Roześmiała się, tak banalne wydało jej się to pytanie.

- Moje życie już się skończyło. Chodzi mi o życie pozostałych mieszkańców Ceann Gronna, to o łaskę dla nich błagam.

- A co możesz zaoferować?

- Złoto. Dużo więcej, niż umiesz sobie wyobrazić.

- Tutaj?

- Znacznie więcej, niż było w skrytce.

- Są inne skrytki?

Skwitowała to pytanie milczeniem. Przyglądała się, jak Marc wyteżęza umysł.

- Może... Król ma długi.

- Ocalisz wszystkich mieszkańców Ceann Gronna?

Skinął głową.

Boże, pomyślał Marc. To naprawdę mogłoby zadziałać. Złoto ma siłę perswazji, a jeśli będzie go dużo...

- Gdzie są moi ludzie, którzy przeżyli bitwę?

Skrepowana sznurem mała dziewczynka jak za sprawą magii przemieniła się nagle w kobietę, która wyciągnęła go ze wzburzonego morza. Wystarczyło, że zwróciła ku niemu okaleczoną część twarzy.

- W lochach, pod strażą moich ludzi.

- Kim są ci dwaj, którzy z tobą tu przybyli?

- Huntworth i Glencoe.

Wyraźnie zbladła i Marc zrozumiał, że skojarzyła nazwiska, nie chciał jednak jej okłamywać.

- Huntworth? To jeden z tych, którzy dowodzili poprzednimi wyprawami, prawda? - spytała.

- Nie, jego brat, Archibald McQuarry. Przecież poprzedniego lorda sama zabiłaś.

- Czyli on nie ma powodów, by traktować mnie życzliwie.

Usiadła na łóżku. Na szacie miała rdzawe plamy z zaschniętej krwi. Zbliżał się świt. Na tle szumu fal słychać było pierwsze pokrzykiwania ptaków. Włosy opadały jej aż do bioder. Przywodziły mu na myśl jedwabistość nocy, a pełne wargi i lekko zadarty nos Isobel przypominały mu pewne malowidło, które widział kiedyś w królewskim pałacu Filipa. Przedstawiało zmysłową syrenę, uwodzącą i nakłaniającą mężczyzn do tego, czego wcale nie zamierzali robić.

Żałował, że nie może jej po prostu rozebrać i posiąść, zapomnieć o polityce i ich sporze. Gdyby tylko Isobel zrozumiała niebezpieczeństwo, dostrzegła nadzieję i pojęła, że on może ją chronić tylko, póki żyje.

Wyobrażał sobie, że głaszcze ją po brzuchu, przesuwa dłoń coraz niżej, wabiony obietnicą kobiecości. Wyobrażał sobie jej ciepło i krzyki, kiedy by się kochali, zaspokajając potężną potrzebę, jaką czują przecież obydwójce.

- Isobel.

Wypowiedział jej imię, a ona spojrzała na niego. Patrzyli sobie w oczy poruszeni wspomnieniami pierwszego i jedyne jak do tej pory pocałunku.

Isobel ramiona miała wyprostowane, lekko odchylone do tyłu. Bez kłopotu mógł ją wziąć, a ona chyba wyczuwała, co się dzieje, bo jej oddech stał się wyraźnie szybszy i urywany.

W końcu miał do tego prawo. Powstrzymały go jednak łzy płynące po jej policzkach i ściekające na pobrudzone odzienie. Isobel nawet nie starała się ich ukryć. W głębi jej ciemnych oczu Marc zobaczył ból, którego on sam był sprawcą.

Zaklął pod nosem, zabrał broń i opuścił komnatę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marc pomyślał, że zachowuje się jak młodzieniec, który pierwszy raz poczuł pożądanie. Sensu nie było w tym ani trochę, mógł tylko wiele przez to stracić. Wypił piwo z cynowego kufla, a potem jeszcze jedno.

Czy Isobel Dalceann zrobiła to celowo? - zastanowił się. Czyżby posłużyła się zakłęciami, na których, jak wieść głosiła, bardzo dobrze się znała, aby przekonać go, że jest syreną mogącą dać mu upragnione spełnienie?

Pusta obietnica budząca równie pusty śmiech. Na twardej drewnianej ławie, na którą się przeniósł z posłaniem, wciąż czuł silne podniecenie.

- Poskromiłeś tę arogancką dziwkę Dalceannów, de Courtenay? - spytał Huntworth, gdy usiadł obok niego przy stole podczas śniadania. Z jego twarzy można było wyczytać, że przez całą noc pił. - Czy już wie, że jej życie tutaj się skończyło?

- Wie dobrze.

Marc rozumiał, że musi bardzo uważać, co mówi, bo Archibald McQuarry był znany z upodobania do przemocy i brutalności.

- Przeprowadź ją więc do wielkiej sali i daj nam okazję trochę się zabawić. Nie sądzę, żeby Dawida obchodził jej los, nawet jeśli zdarzy jej się umrzeć w czasie zabawy.

- Owszem, moglibyśmy ją zabić. Łatwa sprawa, a Bóg mi świadkiem, że zasłużyła sobie na to. Słyszałem jednak pogłoski o bogactwach Ceann Gronna, których jeszcze nie znaleźliśmy. Może zatem byłoby więcej pożytku z utrzymania jej przy życiu, póki się czegoś nie dowiemy.

- Co to za bogactwa?

- Złoto.

Przyniósł z sobą garść klejnotów wyjętych ze skrytki w jej pokoju i wyłożył na stół niczym obietnicę. I Huntworth, i Glencoe wstali, żeby obejrzeć skarb. Bez końca obracali w palcach złote cacka, rozkoszując się ich ciężarem. Marc wiedział, że udało mu się ich omotać, kiedy miejsce żądzy zajęła w ich spojrzeniach chciwość, czyli coś znacznie bardziej przewidywalnego i łatwiejszego do opanowania.

- To znaczy, że ona wie, skąd to jest? - spytał McQuarry.

- Moim zdaniem musi wiedzieć. - Marc przez chwilę ostentacyjnie delektował się wybornym kawałkiem wołowiny, przeżuwał go ze smakiem i zbierał chlebem sos, aż wreszcie odezwał się znowu: - Jeśli dacie mi ją jeszcze na kilka dni...

- Załatwione - powiedział Glencoe w imieniu ich obu. - Ale tylko część dla Dawida, a część dla nas, zgoda?

Pochód kształtnych dziewcząt, niosących potrawy z kuchni, bardzo pomógł jego sprawie. Dwie pochwyciły zresztą spojrzenie Marca i zaofiarowały mu coś więcej niż tylko chleb i mięso. Oddalił je niezainteresowany, widział jednak, że w tym samym czasie ręka McQuarry'ego znikła pod spódnicą najładniejszej, którą potem hrabia posadził sobie na kolanach i namiętnie pocałował.

Marc uśmiechnął się pod nosem, ponieważ takie zachęty należało popierać. Było mało prawdopodobne, by zajęci chętnymi kobietami, pamiętali o śmiałej i mniej uległej lady Dalceann.

Nawet tutaj, gdy znajdował się o sto metrów od jej komnaty, miał wrażenie, że słyszy, jak Isobel go przyzywa, widział jej pełne, zmysłowe wargi, obiecujące spełnienie.

Westchnął cicho, wiedział bowiem, że stąpa po cienkim lodzie. Złoto pozwalało zyskać na czasie, ale lady Dalceann będzie bezpieczna dopiero w Edynburgu.

Największe zagrożenie w jego ocenie stanowił Huntworth. Nie ulegało wątpliwości, że hrabia pofolguje swoim chuciom, gdy tylko ją ujrzy w świetle dnia i dostrzeże jej urodę.

Rozejrzał się dookoła, szukając wśród żołnierzy swoich ludzi. Jedna grupka siedziała w głębi sali, druga natomiast z boku. Żołnierze McQuarry'ego zgromadzili się przy długim stole ciągnącym się od podwyższenia i zachowywali się bardzo hałaśliwie. To też był powód do niepokoj! - ocenił w myślach.

Na zewnątrz ulewa łomotała po dachu i bębniła o wysokie okna. Zapanował półmrok. Marc miał nadzieję, że koc, który zostawił Isobel, okaże się dostatecznie ciepły.

Postanowił przydzielić dodatkowych ludzi do jej pilnowania i zaplanował objazd okolicy, żeby sprawdzić, czy uda mu się znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie w razie potrzeby będzie mógł się ukryć.

Isobel czekała, aż Marc wróci. Gdy jednak wciąż się nie pokazywał, usiadła na łóżku. Bardzo bolały ją ramiona, wiele wysiłku wkładała bowiem w to, by uchronić nadgarstki przed wrzynającymi się w skórę więzami.

Dziwiło ją, że jeszcze żyje i że de Courtenay nie zmęczył się napięciem, jakie między nimi powstało, i nie próbował położyć mu kresu. Pożądanie nie było dla niej nowością, znała podobne spojrzenia mężczyzn. Nawet przez ostatnie lata w Ceann Gronna musiała zachowywać ostrożność. Jednak nigdy jeszcze nie reagowała w taki sposób jak teraz. Gdy Marc patrzył na

nią spojrzeniem pełnym namiętności, traciła oddech. Mimo że szczerze nienawidziła tego wiarołomcy, jej ciało wciąż pragnęło jego dotyku.

Zastanawiała ją, że wciąż jej nie skrzywdził. Przespał noc na podłodze. Dał jej wody, kiedy o to poprosiła, słyszała też, że gdy wyszedł, nakazał swoim ludziom, by nikogo do niej nie wpuszczali.

Chronił ją.

Było to coś zadziwiającego w okolicznościach, w jakich się znalazła.

Przytknąwszy ucho do ciężkiej płyty drzwi, zaczęła nasłuchiwać. Po drugiej stronie rozlegały się głosy strażników, których zostawił Marc. Przynajmniej teraz rzeczywiście była bezpieczna. Odetchnęła z ulgą i wróciła do łóżka, a tam zrobiła z koca coś w rodzaju namiotu, żeby bronić się przed zimnem.

Dręczyły ją wspomnienia śmierci Andrew i krzyków Iana, któremu miecz wroga przebił brzuch. Nie miała pojęcia, jaki los spotkał innych, ale wszystko zostało stracone. Osiemdziesięcioro mężczyzn i kobiet stanęło w obliczu siły, której nie sposób było się oprzeć. Powinna odebrać wszystkich i spalić wartościowe przedmioty, gdy tylko dowiedziała się, że z Edynburga wyruszyły tak liczne wojska.

Zawiodła swoich ludzi, a teraz również i jej przyjdzie umrzeć. Może powolna śmierć byłaby dla niej właściwą karą za poświęcenie dla przegranej sprawy życia tylu ludzi. Ogarnął ją tak wielki smutek, że wtuliła twarz w poduszkę i zaczęła szlochać.

Wczesnym popołudniem zbudziły ją głosy za drzwiami, głośne i gniewne. Rozległ się łomot i szcęk walki na miecze, a drzwi zaczęły się trząść, jakby ktoś próbował je wyważyć.

Isobel zerwała się z łóżka i zaczęła rozglądać za czymś, czym mogłaby zabarykadować drzwi. Spozrzęła wielką skrzynię i nadludzkim wysiłkiem przesunęła pod drzwi.

Tymczasem na zewnątrz rozległy się kolejne krzyki, a potem pukanie. Stłumiła naturalny odruch i nie odpowiedziała. Wiedziała, że gdyby to był Marc, po prostu wszedłby do środka. Sznury na nadgarstkach wrzynały jej się w skórę, gdy gorączkowo próbowała się ich pozbyć.

- Lady Dalceann?

Nie знаła tego głosu. Wstrzymała oddech. Czas jakby stanął w miejscu. Naraz ciszę przerwało ogłuszające uderzenie topora. Ostrze przebiło się przez drzwi. A potem napastnik ponowił uderzenie. Dębowe drzazgi wlatywały aż pod sufit.

Cofając się, natrafiła na nogę od stołka, którą odłamała poprzedniego dnia, rzucając nim o ścianę. Grube deski antaby po tej stronie drzwi wciąż jeszcze się trzymały, ale ich koniec niewątpliwie był bliski.

- Czego chcecie? - spytała.

Napastnicy przestali rozbijać drzwi. Przez sporą już dziurę usłyszała, jak ktoś nakazuje swoim ludziom spokój i milczenie.

Gdzie jest Marc? Dlaczego nie przychodzi? - zastanowiła się.

- Chcemy z tobą porozmawiać, pani.

- O czym? - spytała, opanowując drżenie w głosie.

- O żołnierzach Dalceannów w lochach. Chcesz, żeby żyli? To zależy od ciebie.

- Kim jesteście? Przedstawcie się.

Czuła w tej chwili tylko gniew, przypomniała sobie bowiem o śmierci jej najbliższych. Z jej oceny wynikało, że ma jeszcze kilka chwil, zanim przebiją się przez drzwi. Podeszła do okna i spojrzała w dół. Dziesięć metrów niżej znajdował się dziedziniec... to byłaby szybka śmierć, lepsza od tego, co czekało ją z rąk ludzi Dawida.

Oparła łokieć na drewnianym parapecie i sprawdziła, czy daje oparcie. Tymczasem rozległo się ponowne uderzenie topora.

Teraz! Musiała skoczyć teraz, póki jeszcze nie wdarli się do komnaty, póki mogła wybrać to, jak umrze.

Drzwi z hukiem otworzyły się. Napastnicy wdarli się do komnaty. Zobaczyła naprzeciwko siebie pięciu żołnierzy, którzy przystanęli i gapili się na nią.

Ich przywódca, niewysoki i żyłasty, dzierżył w lewej ręce nóż.

- Lady Dalceann, jesteś pani rzeczywiście piękna. Nic dziwnego, że de Courtenay nie chce się tobą dzielić.

Powiedział to łagodnie, choć treść tych słów całkiem nie pasowała do tonu. Uśmiech na twarzy mężczyzny był niewątpliwie fałszywy.

- Nie ważcie się podejść bliżej, bo skoczę.

Tym razem już się nie wahała. Wołała szybką śmierć.

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie. Rzemień bata okręcił jej się wokół kostki. Straciła równowagę i ciężko upadła na podłogę. Rzucili się na nią, zanim zdążyła wstać. Rozdarli jej koszulę.

Próbowała walczyć. Ugryzła rękę napastnika który uderzył ją pięścią w twarz. Jednocześnie ktoś dobył noża i rozciął jej nogawice. Poczowała chłód powietrza na pośladkach. Mężczyźni siłą rozchylali jej nogi, wbijając przy tym paznokcie w jej ciało.

Nie miała żadnych szans.

Gdy wiała się, próbując wyswobodzić, żyłasty człowieczek wstał, i zdjął nogawice. Zobaczyła nabrzmiałą męskość, która zdradzała jego zamiary.

Ostatnim wysiłkiem krzyknęła, ale zatkali jej usta i zaczęli ciągnąć do łóża.

Marc spędził wczesne popołudnie na powietrzu. Pomagał przenosić ciała martwych żołnierzy do szopy, która jakimś cudem nie została zrównana z ziemią i wciąż stała niedaleko namiotów. Był spocony i nie w humorze, jak zawsze gdy musiał patrzeć na twarze zabitych towarzyszy i rozmyślać nad bezsensownością straty. Boże, jego życiu od tak dawna towarzyszyła śmierć. Ile razy odmawiał już modlitwę nad ciałami żołnierzy poległych w bitwie i ile razy jeszcze będzie to robił? Szedł w ulewnym deszczu, stawiając ciężkie kroki, z powrotem do Ceann Gronna i czuł, jakby na karku miał znacznie więcej niż swoje dwadzieścia dziewięć lat.

Gdy wchodził po spiralnych schodach, zgiełk na górze zaalarmował go i nappełnił niepokojem. Popędził ile sił w nogach, a w biegu dobył miecza, usłyszał bowiem głośny, ochryply krzyk kobiety.

Resztki drzwi do komnaty Isobel kołysały się smętnie na zawiasach. Z boku leżał jego porucznik cięty w skroń. Jeden z jego ludzi klęczał i próbował mu pomóc, a trzech inni walczyli w korytarzu z ludźmi Huntwortha.

W komnacie Marc ujrzał Archibalda McQuarry'ego i jego kamratów. Wszyscy znajdowali się wokół łóżka i mieli mniej lub bardziej niekompletną garderobę. Isobel Dalceann leżała na łóżku bez odzienia i miała podbite oko. Resztki koszuli wepchnięto jej do ust jako knebel, ręce wciąż miała skrupowane z tyłu. Ze spuchniętej dolnej wargi leciała jej krew, a czerwone ślady na ramionach świadczyły o brutalności mężczyzn, którzy zaciągnęli ją do łóżka. Marc wpadł w furję.

- Do diabła, McQuarry, co ty robisz?

- To samo, co ty robiłeś zapewne ubiegłej nocy, de Courtenay. Korzystam z łupów wojennych.

- Ja jeszcze z nią nie skończyłem.

- To ustaw się w kolejce.

- Nie podoba mi się to!

Jednym mocnym ruchem przewrócił skrzynię tak, że częściowo zatarasowała dziurę po drzwiach.

Miał przeciwko sobie pięciu ludzi. McQuarry nie stanowił problemu. Miecz Marca przeciął jego chudą szyję, zanim hrabia zdążył jeszcze coś powiedzieć, a wyeksponowany dowód chutliwych tęsknot hrabiego wyglądał w tej chwili doprawdy groteskowo.

Wielki chłop uzbrojony w topór był następny. Sparował pierwszy jego cios i rzucił się do kontrataku. Marc przyjął uderzenie na głównię miecza, ale toporem nie walczyło się wygodnie, dlatego zanim jego posiadacz zdążył się ponownie zamierzyć, było po nim. Dołączył do swego dowódcy na podłodze.

Zostało jeszcze trzech, wszyscy z obnażonymi mieczami. Marc powoli odsuwał się od łóżka, chcąc sprowokować ich do pościgu. Kątem oka zauważył, że Isobel się podnosi. Oczy miała okrągłe z przerażenia.

Szczęknęła stal, ale Marc zdążył zająć strategiczną pozycję w kącie, gdzie miał zabezpieczone plecy. Wykonywał wyćwiczony taniec. Pchnięcie, odskok, parowanie, kontra. Sprawdzona technika i łatwe zwycięstwo.

Wkrótce w komnacie zapadła cisza.

Odłożywszy miecz, wyjrzał na dwór, gdzie na dole zgromadził się tłum. Na szczęście byli tam również jego ludzie.

- Powiedzcie lordowi Glencoe, że hrabia Huntworth nie żyje - krzyknął, unosząc topór. - I powiedzcie mu też, że od tej chwili tylko ja dowodzę tym zamkiem.

Wypatrzwszy drugiego ze swoich poruczników, wyrzucił przez okno topór i przez chwilę patrzył, jak broń spada, wirując w powietrzu. To była zapowiedź jego zamiarów.

- Mariner, odbierz broń każdemu, kto próbowałby się przeciwstawić nowemu porządkowi, a potem przyślij kilku wiarygodnych ludzi pod moje drzwi. - Tu zwrócił się do zebranych żołnierzy. - Ci z was, którzy przejdą pod moją komendę, zostaną szczerze wynagrodzeni. Przysięgam to w imieniu króla Dawida, który dał mi władzę. Huntworth zawiódł pokładane w nim przez króla nadzieje, próbując ukraść coś, co nie należało do niego. Za tę zdradę musiał zapłacić.

Uniósł miecz.

- Ci, którzy są ze mną, miecze do góry.

Rozległ się głośny okrzyk i wszystkie ręce się podniosły.

- A kto jest przeciw? Cisza.

Pierwszy raz od dziesięciu minut Marc odetchnął z ulgą.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział do Isobel.

Gdy skinęła głową, podszedł, by wyjąć jej knebel.

Przez chwilę chciwie łapała ustami powietrze.

- Obróć się.

Posłusznie stanęła plecami do niego, nędzne resztki jej szat niczego już nie zakrywały. Gdy przeciął jej więzy, wyprostowała ramiona. Paskudne czerwone ślady na skórze obwieściły nowo odzyskaną przez nią wolność. Dumnie się wyprostowała, okryta od tyłu jedynie zasłoną kruczoczarnych włosów.

Najchętniej objąłby ją i pocieszył, nie był to jednak odpowiedni moment, bo niebezpieczeństwo wciąż czyhało i mogło nadejść z każdej strony. Podniósł końcem miecza koc z podłogi i podał go Isobel.

- Okryj się - nakazał, gdy głosy na zewnątrz stały się głośniejsze i usłyszał nawoływania swoich ludzi. - I idź za mną, bo jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Wciąż żyła, nie stało się też to, czego nieuchronności była już pewna. Przełykając, poczuła w ustach smak krwi z rozciętej wargi. Była jednak zadowolona, że okrywający ją koc jest duży, gruby i ciepły.

Odkąd do komnaty wpadł Marc, jej strach nieco zelżał, chociaż właśnie teraz musiała przytrzymać się wezglowia, bo świat nagle zawirował jej przed oczami.

- Tylko nie zemdlej.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że Marc ją obserwuje.

- Nie zrobię tego.

Ogarnęło ją zakłopotanie, mimo to dumnie się wyprostowała.

- To dobrze. Weź ten nóż z rogu komnaty i schowaj go dobrze pod materacem. Gdyby ktoś jeszcze próbował cię nachodzić, zabij go.

- Nawet jeśli będzie to jeden z twoich ludzi?

- Każdego!

Rozumiała, co ta odpowiedź musi dla niego znaczyć. Ich spojrzenia się spotkały. Stali blisko siebie, więc wyraźnie widziała, że Marc ma rozciętą skórę przy uchu, a krew nadała jego blond włosom w tym miejscu różowawy odcień. Szybko się jednak odwrócił, bo skrzynia w drzwiach zaczęła niebezpiecznie podskakiwać.

Do komnaty wpadli kolejni ludzie, wszyscy z obnażonymi mieczami. Pierwszy z nich z szacunkiem skłonił przed Markiem głowę i zameldował:

- Glencoe czeka na ciebie, panie, w wielkiej sali. Zapewnia, że on i jego żołnierze pozostaną ci lojalni.

- A ludzie Huntwortha?

- Część zawróciła do Edynburga. Inni czekają na twoje rozkazy, panie. Huntworth nigdy nie cieszył się popularnością.

- To dobrze.

- Moi ludzie właśnie porządkują pokój McQuarry'ego. Tam nadal są normalne drzwi. I całe.

- Wobec tego lady Dalceann i ja natychmiast się tam przeniesiemy. Prowadź.

Rosły żołnierz skinął głową i odsunął się na bok, by mogli przejść. Marc wziął Isobel pod ramię i nie wypuszczając z drugiej ręki miecza, wyprowadził ją na schody.

- Przenieście też skrzynię - polecił jeszcze najmłodszemu żołnierzowi, wskazując mebel.

Weszli po schodach do dawnej komnaty matki Isobel, której ostatnio rzadko używano. Przed drzwiami leżał okazały arsenał. Isobel pomyślała, że to broń ludzi McQuarry'ego, i wołała jej się nie przyglądać.

Gdy znaleźli się w komnacie, Marc poczekał, aż jego ludzie wyjdą i założył antabę, a potem oparł się plecami o drzwi. Światło wpadające przez okno odbiło się w ostrzu jego miecza i stworzyło małą tęczę na sklepieniu. Marc wciąż milczał. Głęboko oddychał i widać było, że stracił przed chwilą wiele sił. Widząc jego zmęczenie, Isobel powiedziała:

- Dziękuję za pomoc.

Raptownie zamrugał.

- Braterstwo krwi, które łączyła nas na polanie pod Kirkcaldy... Pamiętasz?

Nic nie odpowiedziała, zaczęła się bowiem zastanawiać nad jego słowami. Miał rację. Byli wrogami, połączonymi przysięgą o wzajemnej trosce. Była to dziwna sytuacja.

- W Edynburgu wyznaczono dużą nagrodę za twoją głowę, więc każdy z obecnych tu ludzi chciał cię pojmać, by się po nią zgłosić. Musisz o tym pamiętać i mieć się na baczności.

- Każdy... z tobą włącznie?

Czuła gniew wobec swojej bezsilności. Zanim Marc się odwrócił, zobaczyła w jego oczach odpowiedź i poczuła się głęboko urażona.

- Jeśli nagroda ma zostać wypłacona w złocie, to moim zdaniem dostałeś już nadto.

- Mówisz bez wątpienia o skarbie ukrytym w twojej komnacie? - Odczekał, aż Isobel potwierdzi skinieniem głowy, i ciągnął: - Nie zabrałem go, tylko schowałem. Dla ciebie. Od tego może zależeć twoje życie.

- Przy takim podejściu nie ma się co dziwić, że władza Dawida jest taka wątła.

- Wystarczająco mocna, by jego ludzie opanowali zamek Ceann Gronna, lady Dalceann.

- Tylko dzięki twojej zdradzie. Chwycił ją za nadgarstek.

- Pamiętaj. Czasem nierozważne słowa mogą być tak samo niebezpieczne jak ostrze miecza.

- Jakich słów należy więc używać?

- Wyrażających wdzięczność i wsparcie.

- Możliwe, że śmierć jest łatwiejsza. Zaklął po francusku.

- Myślisz, że jeśli masz okaleczoną twarz, to mężczyźni opętani żądzą nie zapragną cię posiąść? Czy nie rozumiesz, że kształty twojego ciała kuszą, a niektórzy są słabi i ulegają żądzy. Zwłaszcza kiedy są daleko od domu i swoich kobiet.

- Banda brutali. Zamek Ceann Gronna został splądrowany, a członkowie mojego klanu, z którymi całe życie tu mieszkałam, nie żyją albo są w niewoli. Dlaczego miałabym ci teraz wierzyć, że możesz mnie ochronić?

- Bo właśnie to zrobiłem.

Puścił ją, jakby jej ciało parzyło, a Isobel targały sprzeczne uczucia. Chciała go jednocześnie zranić i tulić. Jej ciało przykryte kocem tęskniło za delikatnym dotykiem, który ukoiłby jej strach i złość.

- Dopilnuję, aby nic ci się nie stało, lady Dalceann. A przynajmniej zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Te słowa zabrzmiały uczciwie, nie było w nich sztuczności ani fałszu. Tak mówił człowiek u kresu cierpliwości, który mimo wszystko chciał jej dobra.

Swoją deklaracją Marc nieco uśmierzył jej gniew, rozpałił za to inne pragnienia. Poczwała w swym wnętrzu żar, jakiego Alisdair nigdy nie rozniecał. Czwała się rozdarta.

- Masz żonę?

Nachmurzył się, mimo że zaprzeczył ruchem głowy.

- Kiedyś miałam męża, który mnie kochał. Nazywał się Alisdair. - Nagle zrozumiała, że bardzo chce to powiedzieć, by dać świadectwo prawdzie. - Był moim kuzynem i porządnym człowiekiem. Myślałam, że nasze małżeństwo będzie trwać wiecznie.

Te słowa jednak, choć uczciwe, nie stępiły bólu frustracji, jaki wywoływało u niej coraz silniejsze pragnienie. Była dla Alisdaira dobrą i wierną żoną, ale życie toczyło się naprzód, więc starała się żyć dalej, tak jak umiała.

- Nie chcę znowu tego, chyba rozumiesz. Nie miłości szukam dziś wieczorem.

- Czego więc szukasz?

Stał nieruchomo, co zwracało uwagę tym bardziej, że dookoła niego w ostatnich popołudniowych promieniach słońca wirowały drobiny kurzu.

- Chcę, by ktoś mnie przytulił tak mocno, że rozwieje obawy i wypędzi demony z mojej duszy. Chcę być dotykana z uwagą i szacunkiem i... czuć się bezpiecznie - dodała, widząc błysk ognia w jego oczach.

Chciała prawdy, szczerości i uczciwości. Chciała, by zapanował nad jej strachem. Wciąż był wrogiem, ale zarazem człowiekiem, który z narażeniem życia uratował ją z rąk swoich żołnierzy przed pohańbieniem.

- Tego chcę - zakończyła i upuściła okrywający ją koc.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marc dopiero teraz dostrzegł na jej ciele ślady brutalności, prowadzące prosto do najintymniejszych miejsc. Z oczu biła mu furia i przez chwilę sądziła, że po prostu się odwróci. A jednak nie zrobił tego.

Mimo że omal nie została zgwałcona, czuła coraz silniejsze pożądanie i nie miała już siły oddalać tego, co nieuniknione.

- Nie mam zwyczaju gwałcić swoich więźniów.

- Nie mówię o gwałcie - odparła i dotknęła powolnym ruchem piersi.

Jej sutki stwardniały. Z triumfalną miną dostrzegła, jak budzi w nim namiętność. Jego ciało zareagowało natychmiast, a oczy pociemniały.

- Rozkosze cielesne mogą w cudowny sposób dać zapomnienie, i o to proszę cię dzisiejszego wieczoru - ciągnęła. - Chcę zapomnieć o tym, co się stało... i co mogło się stać, gdybyś nie nadszedł i nie stanął do walki, jeden przeciw wszystkim.

Nadal stał niewzruszony, więc postanowiła powiedzieć mu wszystko.

- Marzyłam o tobie, odkąd stąd odjechałeś, Marcu de Courtenay. Leżąc w ciemności, zastanawiałam się, jak będę się czuła, dotykając cię i czując twój dotyk. Czasem przed świtem, gdy nie mogłam spać, właśnie to sobie wyobrażałam.

Cokolwiek go powstrzymywało, przestało działać. Zobaczyła, jak w urażonych zielonych oczach rozpala się żądza.

Odłożył miecz, zbliżył się do niej i ujął ją za rękę. Ciepło jego dłoni natychmiast ją rozgrzało. Była wysoka, ale on jeszcze wyższy. Pierwszy raz w życiu musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mężczyźnie w oczy, a gdy Marc delikatnie powiódł palcem wzdłuż blizny na jej policzku, zaparło jej dech.

- Powiedz, kto cię skrzywdził.

Tym tonem całkiem ją rozbroił. Tak niewielu ludzi umiało mówić o jej krzywdzie, a nikt dotąd nie odważył się dotknąć miejsca, w którym miecz głęboko rozciął skórę policzka.

Czy powinna mu wyjawiać to, czego nigdy nikomu nie powiedziała? Czy powinna mu wytłumaczyć, że do splądrowania zamku doprowadziła nie tylko polityka, lecz również zwykła ludzka chciwość? Tak było. Złoto całkiem ogłupia chciwców.

- Mój ojciec - powiedziała. - Zdobyliśmy złoto z francuskiego okrętu rozbitego na skałach kilka kilometrów na zachód od zatoczki, nad którą stoi zamek Ceann Gronna, i on postanowił zachować to złoto dla siebie.

- Żeby walczyć z królem?

- Nie. Żeby zniknąć bez śladu. Kiedy próbowaliśmy go powstrzymać, zwrócił się przeciwko nam. Gdybyśmy już nie żyli, nikt by o tym nie wiedział.

- Co stało się potem?

- Ian skręcił mu kark i wrzucił go do morza u wylotu jaskini niedaleko przylądka Kincraig. Wcześniej jednak ojciec śmiertelnie ranił z łuku mojego męża.

- Boże, Isobel.

Pokręciła głową, starając się zachować obojętność.

- Nie lituj się nade mną. Niczego mniej od ciebie nie potrzebuję niż litości.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się i poczuła na ciele ciepło męskiej dłoni. Marc odsunął jej rękę i ujął pełną pierś. Dłoń wojownika była ciężka i twarda. Gdy przesunął kciukiem po wrażliwej brodawce, głośno nabrała powietrza i przytrzymała je.

Teraz mogła myśleć tylko o jego dotyku i przyjemności, jaką jej dawał.

Nie chciała łagodności ani delikatności. Pragnęła czegoś gwałtownego i pierwotnego. Chciała zapomnieć o złości, samotności i przerażeniu.

- Weź mnie teraz, Marc. Spraw, żebym zapomniała - szepnęła i oddała się rozkoszy, której tak bardzo potrzebowała.

Obnażona Isobel była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek miał przyjemność oglądać. Jej dotyk parzył. Męskość pulsowała obietnicą przyjemności. Pozwolili się porwać żądzy. Czystej, nieskrępowanej żądzy.

Wiedział, że powinien to przerwać, ale nie mógł tego zrobić. Gorąco bijące od jej ciała przyciągało go z neodpartą siłą. Pochylił więc głowę nad pierś i ciasno otoczył wargami słodki sutek. Usłyszał spragniony jęk Isobel, gdy przeciągnęła się i objęła go za szyję, by go zatrzymać w tej pozycji.

Nie posłuchał jej jednak. Zaczął schodzić niżej, ku jej kobiecości, całując po drodze każdy centymetr ciała. Smakowała zapomnieniem. Zadrzał, gdy w gorączce żądzy mocno pociągnęła go za włosy i oplótła nogami, domagając się czegoś więcej. I wcale nie była delikatna.

Uniósł głowę. Jej oczy wyrażały czyste pożądanie.

- Nie skrzywdziłbym cię za nic.

- Wiem - odszepnęła, zwilżyła językiem wargi, a potem je rozchyliła, gdy połączyli się gnani siłą nie do okiełznania.

Przez całe życie w kontaktach z kobietami miał pełną kontrolę nad sytuacją. To on dyktował co i jak. Teraz musiał podzielić się władzą. Przenikała ich jednakowa moc, rozpalająca do białości, niepowstrzymana.

Wszystko wokół przestało istnieć. Pozostały tylko doznania. Nie było nic poza pocałunkami i pieszczotami. Zapomnieli, że otaczają ich wrogowie, czyhający na najdrobniejszy błąd.

Tymczasem Marc położył dłonie na pośladkach Isobel. Poczul wpijające się w plecy paznokcie w niemym ponagleniu, a on miał zamiar spełnić jej życzenie.

Uniósł ją bez wysiłku i położył na łóżku przykrytym pozszywanymi zwierzęcymi skórami. Na ich tle jej mleczna skóra zdawała się lśnić zachęcająco. Czul piękną woń jej ciała.

Nie wyglądał ani trochę jak Alisdair. Jej mąż był drobny i chudy, a jego chęć do pieszczot nawet w najlepszym okresie wydawała się udawana. Nie pamiętała ani jednej nocy, której Alisdair naprawdę jej pożądał. Wolał raczej bez końca ssać jej pierś, aż sprawiał jej ból swoją natarczywością.

Kiedy czasem udało jej się go namówić na coś więcej, wolał kończyć sprawę najszybciej, jak to możliwe, obróciwszy ją tak, że nie mogła go widzieć. Zresztą i tak gasił wszystkie świece.

Nigdy nie spojrzał na nią tak, jak teraz patrzył na nią Marc, z żądzą i podziwem. Gdy zwilżył palce śliną i dotknął jej brodawki, poczuła, że budzi się w niej demon rozpusty.

Uda miał bardzo muskularne, pokryte ciemnymi włoskami. Wyciągnęła rękę i zaczęła go dotykać, ciesząc się twardością mięśni, aż wreszcie przeniósł jej dłoń na swoją męskość. Marc nie tylko brał, lecz również dawał, a świadomość tego, jak bardzo jej pożąda, wywoływała u niej silne doznania.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko i złożyła na jego męskości pocałunek. Opuścił ręce w geście poddania, a ona zaczęła go poznawać językiem.

Tak łatwo było zniewolić mężczyznę, pomyślała. Marc oddychał teraz płytko i nierówno, pierś gwałtownie mu falowała, gdy starał się dostroić do jej rytmu. Z jękiem odrzucił głowę do tyłu.

Nigdy dotąd tego nie robiła, nigdy nie zaspokajała mężczyzny ustami, chociaż marzyła o tym w łóżu każdego wieczoru, gdy Alisdair kończył swe szybkie zabiegi. Chciała spróbować jego smaku.

Tymczasem Marc wycofał się, choć sądziła, że wypełni jej usta sobą.

- Boże - powiedział schrypniętym głosem. - Boże - powtórzył, rozgarniając dłonią włosy.

Nie była pewna, czy dostrzegła w jego oczach niepewność, czy nieufność. Nie zastanawiała się jednak nad tym. Za bardzo pragnęła poczuć go w sobie. Wierzyła, że w ten sposób odzyska swoją dawną siłę i pewność siebie. Chciała brać i dawać.

- Proszę...

Wcale nie zamierzała tego powiedzieć, gdy odchyliła głowę i uniosła biodra. Palce wpiła w materac jak szpony.

Jeśli teraz wyjdzie, znenawidzę go! - pomyślała.

Nie wyszedł. Szeptał czule słówka, pochylony nad jej talią. Prawą dłonią chwycił jej włosy.

Już nie mogła się wycofać. Właśnie tego potrzebowała: panowania i zręczności. Nie sprawiał jej bólu, ale jednocześnie nie okazywał litości. Podobało jej się, że nie ukrywał swoich zamiarów.

- Oblężenie Ceann Gronna potoczyło się tak, jak Bóg chciał, Isobel, ale może jednak coś z łupów można ocalić, jak sądzisz?

- Tak! O, tak!

Ledwie poznała swój głos, był schrypnięty od tęsknoty. Szarpnęła ciałem, gdy poczuła, że palce Marca zagłębiają się w jej ciele i poruszają coraz głębiej.

- Marc?

- Popatrz na mnie - powiedział nagle. - I powiedz, że właśnie tego ode mnie chcesz.

- Tak, chcę tego.

Całym jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, jękiem wyraziła ból nieznośnego oczekiwania.

Wyzbyli się gniewu i nienawiści. Zapomnieli o urazach i pogardzie. Kontynuował tę doskonałą pieśń, aż Isobel szarpnęła biodrami.

Boże, co on jej robi? - pomyślała ledwie przytomnie. Skąd to wie? Marc tymczasem przyspieszył rytm i przeniósł jej ciało w sferę, gdzie nie było już nic z wyjątkiem odkryć, które zapowiedział w jej wnętrzu. Porwały ją fale cudownych doznań.

Wstrząsana dreszczami, czuła się całkiem bezwolna, gdy Marc wygrywał na jej ciele ostatnie nuty swojej słodkiej muzyki, a wywołane doznania rozchodziły się aż po palce u nóg.

A potem wszystko znieruchomiało i zostało tylko gorzko-słodkie wspomnienie bólu.

Łzy płynęły jej z oczu, ale ani ich nie otarła, ani nie uniosła powiek. Jeszcze nie chciała go zobaczyć, nie chciała, żeby świat wtargnął i zakończył tak doskonałą chwilę.

Czuła oczywiście, że Marc zsuwa się z łóżka i idzie do drzwi. Oddała się od niej. Obserwowała go spod przymkniętych powiek, usiłując go zrozumieć, ale gdy wkładał nogawice i podnosił broń, twarz miał całkiem bez wyrazu.

Nie zadowolila go. Nie pomogła uciszyć demonów, które dręczą mężczyznę.

Przesunęła dłonią po swoim brzuchu, a potem przeniosła ją niżej i poczuła wilgoć między nogami. Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie doświadczyła. Nawet nie wiedziała, że jest tak rozpustna. Może Marc tak o niej pomyślał i dlatego wyszedł? Nawet teraz, gdy minęło ledwie kilka chwil, pragnęła go znowu, chciała, by znów czarował palcami.

Słyszając głośne trzaśnięcie drzwi, wtuliła twarz w poduszkę, żeby odgradzić się od opustoszałej komnaty.

Gdy szedł korytarzem na mury, jego wściekłość przeistoczyła się w zimny gniew. Potrzebował świeżego powietrza i chłodu, by stłumić to wściekłe pożądanie, które okazało się silniejsze niż jego umiejętność panowania nad sobą i w dodatku obudziło w nim tęsknoty, które powinny były zostać głęboko uśpione.

Za rodziną. Za żoną, z którą mógłby się zestarzeć. Za domem i życiem w pokoju.

To on, sir Marc de Courtenay, naczelny dowódca wojsk królewskich. Uchodzący na dwóch dworach za sukinsyna, a zarazem za człowieka, który zna dość sekretów obu królestw, by niszczyć monarchie.

Nie miał nadziei na to, o czym marzył, nie miał szansy, by zaznać spokoju i cieszyć się ciepłem rodzinnego domu. Wszystko to odebrano mu już dawno, kiedy matka, rodząc go, nie przeżyła rozwiązania, i później, gdy został wysłany na nauki do człowieka, który nic sobie nie robił z tego, że bije dziecko do nieprzytomności.

Bitwy i wojny pozwoliły mu znaleźć swoje miejsce, stanął przed szeregiem żołnierzy gotowych zrobić wszystko, co im powie, nawet w chwilach całkowitego rozbicia. Zorientował się, że prawą rękę trzyma zupełnie odruchowo na rękojeści miecza. Jeszcze jedno przyzwyczajenie.

Tymczasem przypomniał sobie miękką skórę Isobel i jęki, gdy dawał jej największą rozkosz.

Powinien był zostać, ale zawstydzila go.

W żyłach Isobel Dalceann płynęła gorąca krew, miała pełne piersi, aksamitną kobiecość i wspaniałe, długie nogi, jakich nie widział u żadnej kobiety, z którą wcześniej był.

Pokręcił głową. Znowu uległ jej zdumiewającemu czarowi, który sprawiał, że na jej widok szalał z pożądania. Oparł się o ścianę i zaczął rozważać, czy nie wrócić i nie wziąć jej bez najmniejszej delikatności.

Isobel i jej złociste oczy pałające żądzą i przyzwoleniem. To byłoby bardzo łatwe! Nie mógł jednak bardziej jeszcze jej zniewolić.

Odetchnął głęboko i ruszył ku wielkiej sali, zdecydowany wypić dużo przedniej whisky, którą przyniesiono tam w dębowych beczkach z piwnic Ceann Gronna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Miała na sobie niebieską suknię wierzchnią i *bliaud* w kolorze szarym jak smutek, gdy przyszedł do jej komnaty następnego ranka. Była przepasana różańcem. Włosy ukryła pod barbetem z welonem, a na nogach miała trzewiki z miękkiej skóry.

Ciasno otulona w coś w rodzaju habitu wyglądała prawie jak zakonna nowicjuszka albo cnotliwa i bardzo jeszcze młoda panna. Wbrew wszystkiemu Marc uśmiechnął się na jej widok, przez całe swoje życie nie spotkał bowiem nikogo równie nieprzewidywalnego jak Isobel Dalceann.

Jej postawa, sposób pochylenia głowy i frasunek wypisany na czole - wszystko to razem tworzyło wizerunek pobożnej kobiety.

- Śniadanie zostanie przyniesione na górę. Uznałem za rozsądne, abyś nie pokazywała się publicznie, przynajmniej dziś przed południem.

Stanęła przy oknie. Kilka czarnych pasemek wyswobodziło jej się spod pasa tkaniny związanego pod brodą. Promienie wschodzącego słońca rozświetliły komnatę ciepłym światłem.

- Dziękuję.

Nie podniosła wzroku, by spojrzeć mu w oczy, przez cały czas patrzyła w podłogę. Ogarnął go niepokój.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Jedyną oznaką wskazującą, że coś jest nie w porządku, były jej palce, zaciskające się na fałdzie *bliaud*.

- Bardzo dobrze.

Ta odpowiedź mocno go rozdrażniła. Sam spędził noc na próbach upicia się jak bela, a co gorsza, zupełnie mu się to nie udało.

Jednak gdy lepiej jej się przyjrzał, zauważył cienie pod oczami, a siniak w miejscu, gdzie uderzył ją McQuarry, przybrał barwę intensywnie fioletową.

Zauważył też, że zdjęła z palca srebrną obrączkę. Ten szczegół wydał mu się ważny. Z jego licznych doświadczeń z kobietami wynikało, że rzadko robią one coś pod wpływem kaprysu, a choć mężczyźni często wyśmiewali kapryśność płci przeciwnej, to on sam nigdy nie znalazł podstaw, by wierzyć w trafność tej opinii.

Co to, to nie, pomyślał. Kobiety robią wszystko po długim namyśle i deliberacjach.

- Zamek jest teraz dla ciebie bezpiecznym miejscem, lady Dalceann. Nikt tutaj nie waży się podnieść na ciebie ręki.

Dopiero wtedy podniosła wzrok. Czuł, że była na niego zła.

- Co więc się ze mną stanie?

W jej głosie zabrzmiała nuta beznadziei.

- Zostaniesz przewieziona do Edynburga i staniesz przed królem.

- Rozumiem. - Nawet nie drgnęła, słysząc te słowa. - A moi ludzie?

- Pozostaną tutaj, póki dalsze losy zamku nie zostaną rozstrzygnięte.

- Rozstrzygnięte - powtórzyła i wyprostowała się a tkanina jej gołębioszarego habitu zaczęła się opinać na piersiach.

Odwrócił wzrok od krągłości niemal zakłopotany, gdy Isobel zauważyła, czemu się przyglądał. Krzyż na zapince, którą nosiła przy talii, wyglądał tego dnia jak ostrzeżenie przesłane przez bóstwo, które rozumie potrzeby mężczyzn.

Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek będzie w stanie patrzeć na nią, nie pożądam jej. Czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć, jak wyglądała, wijąc się w ekstazie oświetlona blaskiem świec, gdy jego palce poruszały się głęboko w niej. Odwrócił głowę.

- Król Dawid mnie zabije - powiedziała. Znów na nią spojrział.

- Nie. Przebacz ci i pozwoli bezpiecznie wrócić do twoich włości.

„Ponieważ będę przy tym obstawał, twierdząc, że to część jego obietnicy, jaką mi dał, zanim wyruszyłem do Fife” - pomyślał. To było dla niego najważniejsze. Przysiągł przecież, że nie pozwoli, by Isobel spadł choćby włos z głowy.

- Ułaskawi cię w zamian za złoto - dodał.

- Zapominasz, panie, że skarb nie znajduje się już w moich rękach.

- W tej chwili nie, ale kiedy będziesz go potrzebować, wszystko otrzymasz z powrotem.

- Rozumiem.

Niespodziewane pukanie do drzwi postawiło ich oboje w stan gotowości. Isobel natychmiast ukryła się za jego plecami i dobyła noża, którego Marc nie mógł wcześniej zauważyć. Nadal stał nieruchomo, ale pilnował, by zasłaniać ją swoim ciałem przed niebezpieczeństwem, które mogło się pojawić.

- Kto tam?

- Mariner. U bram stoi królewski emisariusz. Glencoe uznał, że powinniście go przyjąć razem.

- Już idę.

Kiedy znów się odwrócił, w ręce Isobel nie było już noża. Nic zatem nie zakłócało pobożnego wizerunku lady Dalceann. Z zadowoleniem stwierdził, że akurat gdy wychodził, służąca przyniosła chleb, mięso i dzban miodu.

Słuchała jego oddalających się kroków, kiedy szedł na spotkanie królewskiego posłańca, który mógł przywieźć dla niej wyrok śmierci.

Przebaczenie było tylko sztuczką, pustą obietnicą, taką samą, jak wcześniej składał jej ojciec, Alisdair, król, matka. A teraz on.

Po nieudanej poprzedniej nocy między nimi nie mogło być już mowy o uczciwości. Tego była pewna. Żadna szlachetnie urodzona kobieta nie położyłaby się z mężczyzną tak jak ona i nie pozwoliłaby sobie na taką rozwiązłość jak ona poprzedniej nocy.

Na pewno uważa ją teraz za dziwkę, równie nieczystą jak te, które za pensa albo skórkę od chleba sprzedają się w miastach portowych na całym wybrzeżu. Zdesperowane biedne kobiety.

Usłyszała powitalne okrzyki przy zewnętrznym pierścieniu murów i westchnęła. Spojrzała przy okazji na pasek bladej skóry na palcu w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się ślubna obrączka.

Alisdair nie poznałby jej w kobiecie, którą się stała. Sprzeniewierzyła się obietnicy, więc zdjęła obrączkę. Cieszyła się też, że nie ma przy niej Iana, Angusa albo Andrew, bo wciąż pożądała Marca de Courtenay i tylko podsycaniem złości była w stanie nad swoim pożądaniem zapanować. Niewiele brakowało, by poszła do niego błagać o to samo, co sprawiło jej taką rozkosz ubiegłej nocy.

Uświadomiwszy sobie, o czym myśli, zaczęła nerwowo chodzić po komnacie. Niewątpliwie postradała zmysły. Czy jeśli zostanie oddana królowi, to wciąż będzie pragnęła Marca?

Kręcąc głową, wzięła ze stołu skórkę chleba. Przez ostatnie dni prawie nie jadła, a chleb był świeży, jeszcze ciepły. Najważniejsze, że wciąż żyła i dostawała dość jedzenia. Doświadczyla też radości pieszczot z mężczyzną, który był delikatny, a przy tym doświadczony. Jej ludziom nic nie groziło, mimo że siedzieli w zamkowym lochu, a zamek wciąż niewzruszenie stał, tak samo jak przez ostatnie sto lat. Marc dał jej również słowo, że kobiety, które pozostały na miejscu, nie muszą obawiać się gwałtu.

Nie wszystko zostało więc stracone. Teraz tylko od niej zależało, żeby zmienić swój los. Wpadła na pewien pomysł i zaczęła nad nim pracować.

Mężczyźni byli niewolnikami doznań zmysłowych i Marc de Courtenay nie stanowił wyjątku. Może gdyby zręcznie rozegrała swoje karty, chroniłby ją, a może nawet spełniał jej prośby? Gdyby obiecała mu swoje ciało na każde życzenie, może pozwoliliby jej żołnierzom nieopstrzeżenie się wymknąć? Powiedzieliby, że zginęli albo zostali wykupieni.

Przesunęła palcami po krawędzi dekoltu i uśmiechnęła się. Czula, jak wraca do niej dawna moc. Nie, wcale jeszcze nie przegrała tej wojny, powiedziała do siebie. Z pełnym żołądkiem i świadomością nowo podjętego postanowienia podeszła do okna i zaczęła obserwować oba pierścienie murów, patrolowane teraz przez ludzi króla.

Rozpacзлиwa sytuacja wymaga zastosowania wyjątkowych środków. Z każdą minutą jej nadzieje rosły. Nie była ani młódką, ani dziewicą. Jeśli mężczyźni toczą bitwy i w ten sposób oddają swoje ciała w ofierze, podobnie mogą postępować ze swoimi ciałami kobiety.

Dziś wieczorem zacznie swoją grę. To postanowienie przyszło do niej łatwo. Marc nie będzie się tego spodziewał, więc przestanie się strzec. Tym razem jednak przyjemność będzie nie tylko dla niej, bo jeśli cały plan miał zadziałać, musiała sprawić, by Marc de Courtenay pragnął jej tak, jak jeszcze nigdy nie pragnął żadnej kobiety.

Ta śmiała myśl wywołała intensywny rumieniec na jej policzkach. Isobel zaczęła się wachlować dłonią. Ale czy podoła zadaniu? Czy uda jej się odegrać rolę tak przekonująco, że Marc nie poda w wątpliwość jej motywów?

Tak! Przesunąwszy dłonią po powierzchni płytki z gładzonego rogu, stojącej na gzymsie kominka, poczuła wiarę w swoje wdzięki.

Marc opierał się pokusie, by wrócić na górę do komnaty zajmowanej przez Isobel, póki nie zaczęło się robić ciemno. Wtedy nie miał już innego wyjścia, bo gdyby spróbował zrobić co innego, wzbudziłby podejrzenia.

Pierwszy raz w życiu czuł się... tak niepewnie. Królewski wysłannik był bardzo stanowczy. Poleciał Marcowi niezwłocznie dostarczyć panią zamku Ceann Gronna do Edynburga, by tam poniosła konsekwencje buntu. Marc był dostatecznie doświadczony, by wiedzieć, że monarcha nie potraktuje buntowniczkę łaskawie. Nawet jeśli ma ona twarz anioła.

Nie wykluczał, że Isobel nie myliła się, mówiąc, że w Edynburgu może ją spotkać jedynie śmierć. I miał coraz mniejsze pole manewru. Aby ją uchronić, musiałby narazić siebie, a chociaż potrafiłby znaleźć sojuszników na dworze króla Szkocji, to wątpił, czy jego znajomości wystarczą. We Francji byłoby inaczej.

W rozmowie uczestniczył również Glencoe, będący wiernym poddanym Dawida. Wyglądało więc na to, że jutro z rana rzeczywiście będą musieli wyruszyć do Edynburga. Król przysłał również posiłki wojskowe, aby mieć pewność, że jego rozkazy zostaną wypełnione co do joty. Żołnierze pilnie obserwowali zamek.

Wyglądało na to, że cenę za opór może zapłacić własną krwią córka człowieka, który nie miał dość mądrości, by zrozumieć, do czego takie nieposłuszeństwo może prowadzić.

Stojąc u drzwi komnaty zajmowanej przez Isobel, Marc głęboko odetchnął. Wiedział, że czeka na wieści, i zastanawiał się, ile prawdy może jej wyjawiać.

Wszedł po cichu i zostawił miecz na półce przy drzwiach, ale rękojeść ułożył w taki sposób, by łatwo móc za nią chwycić w razie najmniejszego niebezpieczeństwa. Isobel ucieszyła się z dźwięku klucza przekręcanego w zamku i szurania stóp na zewnątrz, jakby warta została odesłana na noc na posterunek bardziej oddalony od drzwi.

Im więcej dyskrecji, tym lepiej dla niej.

Idąc ku niemu, czuła pod stopami miękką krawędź dywanu. Zieleń w jego oczach na moment ściemniała, gdy Marc zauważył zmianę, jaka zaszła od poranka w jej stroju. Szary stanik *bliaud* był teraz rozchylony, bo od kominka było miłe ciepło. Isobel dopilnowała, by widać było również wążutki paseczek miękkiego płótna koszuli w miejscu, gdzie zaczynały się piersi. Po barbecie i welonie nie było śladu. Włosy miała rozpuszczone, więc opadały jej swobodnie na ramiona, a z tyłu zakrywały całe plecy.

- Mam nadzieję, że dzień minął ci pomyślnie, panie.

Wyraźna, choć maskowana ostrożność Marca wskazywała, że mimo twierdzącej odpowiedzi wcale tak nie było.

- Jesteś głodny?

Gdy skinął głową, pokazała mu, by usiadł, a potem postawiła na stole dużą porcję kurczęcia i wieprzowiny, a na tacy podała świeżo upieczony chleb. Gdy na nią spojrział, uśmiechnęła się tak, jak zrobiłaby poczciwa i układna kobieta. Wiedziała, że pochwycił aromat olejku fiołkowego, którym szczerze skropiła odkryte części ciała. Rozpuszczone włosy, zgodnie z jej oczekiwaniami, zamiotły blat stołu. Zaobserwowała tę sztuczkę u służących, które następnie odgarniały włosy, by wzbudzić tym zainteresowanie. Isobel żałowała tylko, że nie mogła umyć włosów w wodzie lawendowej, którą bardzo lubiła zamkowa ochmistrzyni, ale niestety, przyniesiono do jej komnaty jedynie małą miskę całkiem zwyczajnej wody.

Mimo niedoskonałości jej zabiegów, musiały one wywrzeć wrażenie na Marcu, ponieważ przyglądał jej się dokładnie w taki sam sposób, jak poprzedniego dnia. Wyraz zainteresowania na jego twarzy był naznaczony pożądaniem.

- Byłam tu przez cały dzień... bardzo samotna.

O nie, czyżby przesadziła? Mars na czole Marca podsunął jej myśl, że to możliwe, więc następne zamierzone zdanie nieco zmieniła.

- Przypuszczam jednak, że ty, panie, byłeś bardzo zajęty.

Czasem podsłuchiwała, jak służące w kuchni rozmawiają o kochankach, a one zawsze podkreślały, jak ważne jest, by spytać mężczyznę o przebieg dnia i uważnie wysłuchać odpowiedzi.

Znów chciała przeczesać palcami rozpuszczone włosy, tym razem jednak Marc ją powstrzymał uniesieniem dłoni. Znieruchomiła.

- Nie chciałbym widzieć w tobie fałszu, Isobel.

- Fałszu?

Nie spodobało jej się, że jej głos sam z siebie zabrzmiał piskliwie.

- Wydajesz się inną kobietą niż ta, którą zostawiłem tutaj rano.

- Miałam cały dzień na to, by zastanowić się: nad losem Ceann Gronna i skutkami procesów i kar, które król wymierzy Dalceannom. Wątpię, czy skończy się to dobrze.

Pomyślała, że kierowanie rozmowy na politykę jest jak najgorszym sposobem uwodzenia. Chcąc zatrzeć złe wrażenie, usiadła na stołku naprzeciwko niego i uniosła rąbek szaty tak, by dokładnie mógł obejrzeć jej kostki.

- Jedziemy jutro do Edynburga.

Podciągnęła spódnicę wyżej i ucieszyła się z efektu, gdy zmierzył spojrzeniem widoczną część jej nóg, którą odsłoniła pod pozorem skurczu. Przestał jeść, światło świec pogrążało komnatę w nastrojowym półmroku.

Jutro! Tak mało czasu zostało!

- Jak długo byłaś mężatką? - spytał z wyraźną nieufnością,

- Dwa lata i trzy miesiące. Alisdair zginął tuż przed drugą królewską kampanią.

Zimny, zgiełkliwy dzień, który za wszelką cenę chciała wyrzucić z pamięci, nagle do niej wrócił. Usłyszała krzyk męża, który chwilę potem umarł w jej ramionach, i krzyki ojca, który zapłacił życiem za zdradę.

To zresztą była jej wina, że Alisdair w ogóle tam się znalazł. Chciał się pomodlić w zamkowej kaplicy i prosić Boga o wsparcie dobrą radą. To ona nalegała, by poszedł razem z nią na rozmowę z ojcem przy jaskiniach na przylądku Kincaig.

Załamana śmiercią męża, którego powinna była chronić, lecz przed niczym nie uchroniła, nie opowiadała o tym nikomu.

Wstała i podeszła do okna. Mimo wczesnego lata poczuła przeszywający chłód. Rozluźniony stanik sukni i pachnidło wydały jej się nagle niedorzeczne, więc pocierając nadgarstkiem o skórę, próbowała zetrzeć z siebie nieco fiołkowego aromatu, po czym ściągnęła troczki *bliaud*. Przecież nazywała się Isobel Dalceann i była naczelnikiem klanu, dowodziła obroną zamku. Nie było dla niej innej drogi niż działanie.

- Marcu de Courtenay, jeśli możesz ocalić mieszkańców Ceann Gronna przed gniewem króla Dawida, to przysięgam, że będę z tobą spała zawsze i wszędzie, gdy tylko sobie zażyczysz.

Spojrzała mu prosto w oczy. Bez żadnych wybiegów wyłożyła kawę na ławę. Nie widziała sensu dłużej odgrywać trzpiotki, jeśli sama myśl o flircie budziła jej głośny sprzeciw.

Kiedy ta kobieta przestanie go zaskakiwać? - zastanowił się w pierwszej chwili Marc. Widział gwałtowne pulsowanie żyły na jej szyi, gdy czekała na jego odpowiedź po przedstawieniu propozycji. Prawdziwa Isobel wróciła w całej okazałości, jej oczy zdradzały nieufność, chyba podobną do tej, która budziła się również w nim.

Wspaniale wyglądała w tym szarym stroju podobnym do habitu zakonnicy, gdy proponowała mu swoje wdzięki. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, a dłonie zaciśnięte w pięści, na wypadek gdyby spróbował odmówić.

Wszystko w nim dosłownie krzychało, by powiedzieć „tak” i wziąć ją natychmiast w tej komnacie na szczycie zamku Ceann Gronna, ale taka szczerłość zmuszała do najwyższego szacunku.

- Jestem rycerzem, Isobel. Dawid przysłał mnie tu, do Fife, pod przysięgą, że będę mu służył.

- Czyli jesteś człowiekiem króla.

Z jej tonu przebijał gniew, lecz słysząc było również rozczarowanie.

- Nie. Raczej zwolennikiem praktycznych rozwiązań. Jeśli nie staniesz przed edynburskim sądem, nigdy nie będziesz bezpieczna. Ani tu, w Szkocji, ani nigdzie indziej na świecie, ponieważ łowcy głów są wszędzie, a nagroda za sprowadzenie kogoś takiego jak ty jest zwykle duża. Poza tym jeśli nie pojedziesz z nami, żeby stanąć przed królem, to wątpię, czy twoi ludzie ci za to podziękują.

- Król każe ich zabić... Wzruszył ramionami.

- Twój klan nie jest jedynym, który odmówił uznania nowego prawa. Podejrzewam, że baronowie z północy chętnie usunęliby go z tronu, gdyby zauważyli choćby najmniejszy objaw słabości.

Widząc jej narastający gniew, postanowił złagodzić nieco wymowę swoich słów. - W każdym razie błędna ocena sytuacji przez twojego ojca nie musi być również twoim udziałem, a przy tak silnej wrogości rozsądnie jest okazać przynajmniej namiastkę skruchy. Jestem zdania, że Dawid przyjmie szczerą przeprosiny.

- Traktujesz to jako grę? - spytała. - Z jednej strony udzielasz mi rad, jak przekonująco udawać, a z drugiej przysięgasz niewzruszoną lojalność swojemu monarsze? Gdzie tu miejsce dla honoru, pytam.

- Tutaj. - Przejechał dłonią po szyi. - Wciąż jeszcze mam głowę na karku i wciąż oddycham.

- Kosztem prawdy i sprawiedliwości?

Roześmiał się na całą komnatę.

- Sądzisz, że opór Ceann Gronna może zmienić bieg historii, jeśli wszyscy tutaj zginą?

Pokręciła głową. Jej włosy pięknie zajaśniały w migotliwym blasku świecy.

- Dawid to uzurpator. Nie jest wysłannikiem Boga!

- Isobel. - Pierwszy raz Marc zrozumiał niektóre opinie zasłyszane na jej temat w Edynburgu. Zmartwił. - Jeśli jedno słowo z tej rozmowy wyjdzie poza ściany komnaty, będziesz sądzona za zdradę stanu. I nawet ja nie będę mógł cię ocalić.

Te słowa odbijały się echem w coraz bardziej napiętej ciszy. Patrzyli na siebie i oboje uświadamiali sobie, że wszystko, co powiedzieli, zaczyna nagle znaczyć coś innego. Marc nigdy nie rozmawiał z nikim w taki sposób jak z nią. Wiele razy leżał nocą w sąsiedztwie pola bitwy zasłanego ciałami młodych ludzi i zastanawiał się nad kapryсами monarchów i ich nieuzasadnioną wszechwładzą. On, człowiek króla, w zasadzie nie miał żadnego wyboru, mógł jedynie zginąć.

Tak było aż do teraz, dopóki nie poznał Isobel. Podobała mu się od pierwszej chwili.

- Nazwisko Dalceann zobowiązuje. Wiem o tym. Nie umiał ukryć szczerego podziwu.

- Pomóż mi więc.

Ujął jej lewą dłoń i dotknął nasady palca serdecznego.

- Nie mogę obiecać ci wolności, Isobel, ale mogę obiecać ci rozkosz dziś w nocy.

Pochylił się nad jej dłonią i koniuszkiem języka powiódł po paseczku jaśniejszej skóry, który został po obrączce. Uśmiechnął się, gdy nie cofnęła ręki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jej ciało natychmiast zareagowało na obietnicę, choć wiedziała, że należy odmówić. Oto nieodrodna córka swego ojca, przecież nie miała żadnych racjonalnych argumentów za takim postępowaniem, które mogło tylko ją upokorzyć. Pamiętała przecież o poglądach Marca, który za nic nie zawiódłby zaufania swojego monarchy.

- Byłoby mi miło - powiedziała szeptem.

Sprawiło jej satysfakcję, że odebrało mu mowę. Jemu. Temu rycerzowi, który służy królom i walczy w wojnach, ma bliznami wypisaną na ciele historię swoich walk i skryty za maską opanowania rzadko okazuje jakiegokolwiek uczucia. Przecież sama widziała go w walce i wiedziała, że jego znajomość sztuki wojennej jest podziwiana na całym świecie. Nie spotkała dotąd człowieka, który tak wspaniale władałby mieczem. Marc uważał się za człowieka króla, ale miał też swoje zdanie. Kiedy mówił o polityce i życiu dworskim, nie kierowała nim ślepa lojalność i umiał postawić właściwe pytania.

Pomyślała, że do pełnego obrazu tego, jakim jest człowiekiem, jeszcze czegoś jej brakuje. Marc rozproszył ją jednak, głaszcząc po uchu. Pozostała więc z przekonaniem, że pod maską wszystkiego, czym on jest, kryje się jeszcze inna prawda, tyle że on nie chce o niej mówić.

- Czy możesz mi coś obiecać, Isobel? Coś, co pewnie jest w tej chwili trudne do zrozumienia...

Isobel poczuła strach. Czuła, że w Edynburgu go straci. Nie może konkurować z dobrze urodzonymi damami, obytymi na królewskim dworze.

- Czy obiecasz, że w Edynburgu będziesz mi ufać, nawet nie rozumiejąc od razu przyczyn mojego zachowania? - Urwał. - Mogę ci pomóc tylko pod warunkiem, że mi zaufasz.

Milczała, a Marc wciąż czekał na odpowiedź.

- Andrew zawsze mi mówił, że Edynburg jest siedliskiem kłamstw. Czy twoja prośba o zaufanie jest jednym z nich?

Mocniej zacisnął palce na jej dłoni.

- Nawet nieprawda, jeśli będzie przekonująca, może wystarczyć, by cię ocalić.

- Przed Dawidem?

Zmarszczył czoło i wziął ją w ramiona.

- Dwór to nie tylko jeden potężny człowiek. Musimy znaleźć sojusznika.

- I pomożesz mi w tym?

- Sama sobie pomożesz, jeśli zrozumiesz, że królowie wymagają przede wszystkim lojalności.

- Wydajesz się doświadczony w dworskich sztuczkach.

Nie odpowiedział, tylko przycisnął ją do wełnianej czerwono-żółtej tapiserii z pasmami fioletu.

- Pragnę cię, lady Dalceann. Tym razem chcę cię całą, ale nie jako zakładniczkę ani głowę klanu, która poświęca się i oddaje mi ciało, żeby ocalić swoich ludzi. - Naparł na nią mocniej całym ciałem. - Chcę cię dzisiaj bez względu na wojnę, chcę, żebyś leżała naga w księżycowej poświacie wyczerpana gorączką pieszczot.

- Tak - szepnęła, a świat jakby znieruchomiał.

Ciemne godziny między zmierzchem a świtem niosły radosną obietnicę.

Gdy zdjął tunikę, ukazała się jej oczom wspaniała gra mięśni. Z podziwem powiodła palcami po imponującej piersi.

Był piękny. Pochyliła się nad nim i skubnęła zębami skórę na jego ramieniu. Smakował solą, dymem i bezpieczeństwem.

- Kiedy wyciągnęłam cię z morza, wydawało mi się, że jesteś bogiem w tym surkocie przetykanym złotem - wyznała. - Zastanawiałam się, czy jesteś prawdziwy.

Lekko dotknął jej policzka, a po chwili przyłożył do twarzy całą dłoń.

- Teraz już wiesz, kim jestem.

Drugą rękę położył jej na pośladkach, czym wywołał u niej podobne wrażenia jak wcześniej. Wróciły do niej wszystkie myśli, które miała, leżąc w łóżku, i wszystkie wizje, które ją natchnęły, kiedy nie chciał przyjąć sen.

Poczuła miłe pulsowanie w podbrzuszu, topniała w nadziei na powtórzenie niedawnych doznań. Wstrzymała na chwilę oddech, zastygła w bezruchu i czekała. Widziała pożądanie w jego oczach i czuła, jak jego męskość nabrzmiwa.

Znowu znalazła się w raju, którego tak długo szukała. Czuła, jak ich dusze dążą do połączenia.

Zastanowiła się, czy było to możliwe, że kieruje nimi coś więcej niż tylko żądza, coś więcej niż chęć zaspokojenia.

Pokręciła głową. Nic jej to nie obchodziło. Miała za sobą tysiąc bitewnych dni i przed sobą szansę na coś pięknego, więc musiała z niej skorzystać. Dlatego rozchyliła uda przed jego delikatnymi palcami i odchyliła głowę do tyłu, gdy poprosił, żeby go wpuścić.

Jej włosy opadały mu na ramiona ciemną zasłoną, która miejscami była zupełnie czarna, gdzie indziej czarnogranatowa, a miejscami lśniła płomiennymi pasmami. Cieszył się jej ciepłem.

Nawet syreny spod wyspy Kirke nie mogłyby dorównać jej żywiołową zmysłowością. Isobel była w jego ramionach jak woda i ogień zarazem, wiała się pod jego ciężarem, a gdy pieścił ją dłonią, jej biodra wyrywały mu się na spotkanie i zapraszały go głębiej.

Zaklął w myślach, bo nie mógł dłużej się powstrzymać. Postanowił, że tej nocy Isobel jednak będzie jego.

Uniósłszy ją, oparł jej nogi na swoich udach, a potem energicznie ją opuścił. Gdy wypełnił ją sobą, otworzyła oczy i patrzyła na niego z podziwem. Brał ją i chciał w niej być, dopóki starczy mu tchu i wszystkie demony jego duszy ucichną.

Teraz istniała tylko Isobel i jej jęki, gdy się w niej poruszał szybciej i szybciej. Stopniowo zbliżał się do spełnienia, aż wreszcie eksplodował bezprzytomnie.

Zamknął oczy. Wciąż nie mógł zrozumieć, co przed chwilą się stało, ponieważ panowanie nad sobą, którym zawsze się chlubił, opuściło go niemal całkowicie. Potem była już tylko rozkosz. Serce nadal biło mu w rwanym rytmie, a z ust wyrwało mu się jedno, jedyne słowo:

- Dziękuję.

Ledwie mógł je wypowiedzieć, gdy bezsilnie opadli na łóżko wtuleni w swoje ciepło.

Zamknęła oczy, wciąż mając go w sobie. Prawie znieruchomiał, czuła jeszcze tylko delikatne drżenie, a jej ciało zrobiło się ospałe od rozkoszy, jaką przyniosło połączenie.

Ziemia się zatrzęsała. Isobel pamiętała, że zaledwie trzy tygodnie temu, kiedy królewskie wojska wlewały się szerokim strumieniem na ziemię Ceann Gronna, martwiła się, że może już nigdy nie zaznać rozkoszy spełnienia.

- Powinienem z ciebie wyjść - wyszeptał.

Jego oddech załaskotał ją w policzek.

- Nie...

Zatrzymała go, ściskając uda, więc nie miał innego wyjścia, jak pozostać w środku, a tymczasem chłodne powietrze studziło żar.

- Jeśli będziesz tak robić, Isobel, nie odpowiadam za siebie.

Położył dłoń na jej nodze, powstrzymując ją przed poruszaniem udami. Isobel zauważyła bliznę przy nadgarstku, więc dotknęła jej kciukiem.

- Jak to się stało?

- Byłem dzieckiem, którego nikt nie pilnował - odpowiedział i zmienił pozycję, tak że blizna znikła.

- Chciałabym wiele się o tobie dowiedzieć.

Podniósł się spojrzał jej w oczy.

- Przecież już wiele wiesz, kochanie.

Od jego uśmiechu zrobiło jej się ciepło na sercu. Kochanie? Ciekawe, czy powiedział to tak sobie, czy miało to być szczere czułe słowo?

Gdy tak leżał przed nią, urzekł ją czar jego męskości. Znów wsunęła go w siebie i poczuła, że rośnie w jej wnętrzu.

- Tak - powiedziała cicho. - Tak - powtórzyła, gdy nakręcił sobie pukiel jej gęstych włosów na palec i wziął ją w ten sposób do niewoli.

Jej ciało było wprost stworzone do miłości, a ponętność kobiecych kształtów budziła pragnienie graniczące z bólem. Kiedy dłonią odnalazł jej pierś, Isobel przestała się wstrzymywać i krzyknęła.

- Nie przerywaj, Marc. Nie waż się przerwać!

Zaczęła drzeć, gdy uniósł jej biodra. Kurczowo go obejmując, Isobel wbiła mu paznokcie w plecy.

Zaparło jej dech. Czowała się bezcielesna i wyczerpana. Gdyby wróg wyłamał w tej chwili drzwi, nawet nie miałyby siły unieść powieki. Mimo to czekała z zainteresowaniem, co może przynieść następna lekcja kochania.

W tej chwili Isobel Dalceann była jego. Pragnęła go i była mu uległa przez całą tę noc na dzikim wybrzeżu zatoki Forth powyżej Elie, w miejscu gdzie wieżyczki zamku Ceann Gronna rysują się na tle morza, rozlewającego się aż po wybrzeża kontynentu.

Czuł jej oddech na skórze, czuł, jak wyciąga ku niemu rękę, obejmuje jego męskość i znowu w siebie wprowadza.

Po chwili komnatę wypełniały ciężkie oddechy i urzekający zapach miłosnego zbliżenia.

Chciał zostać tutaj na zawsze, na zawsze być z Isobel.

Szarzejące cienie panoszyły się w pokoju, gdy leżała przygnieciona jego słodkim ciężarem.

W jej prawym oku pojawiła się łza i potoczyła po policzku, spadła i wsiąkła w poduszkę. Czowała się szczęśliwa. Dał jej z siebie wszystko i wziął wszystko.

Kiedy Marc zsunął się z niej, odwróciła się twarzą do niego, aby podtrzymać tę cudowną więź między nimi. Odszukała jego dłoń i splótła z nim palce.

- Alisdair nie zachwycił się moim ciałem - powiedziała.

Roześmiał się i zacisnął dłoń.

- To znaczy, że musiał być eunuchem, skoro nie skorzystał z szansy, by się nim nacieszyć.

- Chyba po prostu był zbyt wstydlivy, by w pełni korzystać z rozkoszy małżeńskiego łóżka.

Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedziała. Czekwała w napięciu na odpowiedź.

- Czy był dobrym mężem pod innymi względami?

- Tak. - To jedno krótkie słowo uwolniło ją od wszelkich wyrzutów sumienia. - Był moim przyjacielem.

- Miałaś więc szczęście.

Zmiana warty w zachodniej wieży odwróciła ich uwagę. Przez chwilę nasłuchiwali padających komend. Gdy nowa warta objęła posterunek, zamek był gotowy do wieczornego spoczynku, wszystkie bramy zamknięto.

- Co stanie się z Ceann Gronna?

- Zamek przejdzie w ręce jednego z baronów lojalnych Dawidowi. Przypuszczam, że za odpowiednią sumę, która zasili skarbiec królewski.

- Nie będzie dalej należeć do Dalceannów?

- Niewiele rodów pozostaje przez wieki w swoich pierwotnych siedzibach, Isobel. Ciesz się, że zamek nie został zrównany z ziemią i że większość ludzi wciąż żyje.

- Cieszę się. - Oparła się na łokciach i spojrzała mu prosto w oczy. - Muszę ci za to podziękować, Marc.

Pokręcił głową.

- W Edynburgu możesz nie być w nastroju, by dziękować mi za cokolwiek.

- Nie odpowiadasz przecież za postępowanie mojego ojca.

- Raczej nie. Ale za twoje zdrowie i bezpieczeństwo tak.

- Czy dlatego, że jestem twoim jeńcem? Roześmiał się znowu.

- Och, jesteś kimś znacznie ważniejszym. Objął ją za szyję, pochylił się i musnął jej wargi.

- Teraz tylko to - szepnął, widząc, że Isobel chce jeszcze coś powiedzieć.

Zaraz potem ich języki rozpoczęły igraszki. Gdy okazało się, że Isobel rzeczywiście nie zamierza już się odzywać, Marc ułożył ją pod sobą i wszystko to, co piękne, rozpoczęło się od nowa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jechali trzy dni i przez cały ten czas Isobel mało widywała Marca.

Otaczali ją ludzie króla, ubrani w inne barwy niż pozostali żołnierze. Wóz, którym ją wieziono, był wygodny.

Na towarzyszkę podróży wybrano jej Margaret, jedną ze służących z Ceann Gronna. Isobel siedziała naprzeciwko niej z szeroko otwartymi oczami i raz po raz podglądała przez dziury w skórzanej budzie wozu, co się dzieje na zewnątrz.

Czyżby ukrywano ją przed ludzkim wzrokiem? Uwadze Isobel nie umknęły spojrzenia, którymi mężczyźni omiatali jej bliznę na policzku, gdy prowadzono ją przez wielką salę w Ceann Gronna.

Marc czekał z grupą żołnierzy w wielkiej sali przy kominku. Pierwszy raz zobaczyła go w pełnym rynsztunku, w otoczeniu podkomendnych. Trudno jej było znieść tę odmianę. Przyglądał jej się surowym wzrokiem jak obcy człowiek. Miniona noc jakby odpłynęła w niepamięć.

Prowadzący ją ludzie króla podeszli do Marca. Czekaając, widziała, jak wielki szacunek mu okazują, i to ją zaskoczyło. Przekazywał podwładnym plan przejazdu do Edynburga, a na nią nie spojrzał przy tym ani razu.

Wcześniej uparł się, by włożyła swój szary habit i do tego niebieską suknię wierzchnią, tak jak poprzedniego dnia. Irytował ją ten strój, odkąd wyszła z komnaty, nie była bowiem przyzwyczajona do długiej spódnicy, płaczącej się wokół nóg.

Powinna była włożyć nogawice i tunikę, włosy dokładnie zapleść i przykryć czepek. Tymczasem pozwoliła służącej, by ułożyła jej fryzurę, bo poprosił ją o to Marc. Co gorsza, musiała włożyć nietwarzowy okrągły kapelusz, zawiązywany na wstążkę pod brodą.

Wszystko wydawało jej się obce. Nawet wielka sala Ceann Gronna wyglądała inaczej, gdy usunięto z niej klanowe sztandary Dalceannów i przestawiono meble. Nie zauważyła ani jednej znajomej twarzy z wyjątkiem chłopca, stojącego niedaleko kuchennych drzwi. Miał z troskaną minę, wywołaną bez wątpienia przez jej widok - kobiety wiezionej na śmierć. A

śmierć miała ją spotkać po nocy w niewyobrażalnym raju. Na samo to wspomnienie czuła przenikające ją dreszcze i chciała, by rozkosz zaczęła się od nowa. Od tej tęsknoty oblała się rumieńcem, choć gdy pochwyciła obojętne spojrzenie Marca, odwróciła głowę.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, pomyślała. Marc tymczasem dał jej znak, by wyszła na zewnątrz.

- Będziesz jechać, pani, wozem ze swoją służącą, a dookoła pojedzie konna straż złożona z żołnierzy Dawida. Późnym popołudniem rozbijemy obóz i ruszymy w dalszą podróż jutro o brzasku, bo król niecierpliwie wyczekuje twojego przyjazdu do Edynburga.

Ponieważ nie ufała swojemu głosowi, po prostu skinęła głową. Była przekonana, że królowi spieszno jest do skrócenia jej o głowę jako pokazowej kary dla buntowników.

Czuła się wykorzystana do cna.

- Wyprowadzić ją - rozkazał Marc bez cienia współczucia w głosie.

Żołnierz ujął ją pod łokieć i wykonał rozkaz, a gdy wierzchem dłoni dotknął jej piersi, nie cofnął ręki.

Wzięta do niewoli zdrajczyni. Prawa takich kobiet były ograniczone. To właśnie spotkało lady Isobel Dalceann, ostatnią głowę klanu Dalceannów, która nie chciała się podporządkować królewskim rozporządzeniom.

To wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby wyglądała inaczej, pomyślał Marc, z największym wysiłkiem powstrzymując się, by nie ugodzić nożem w plecy żołnierza, który prowadząc Isobel, przekroczył wszelkie granice przyzwoitości.

Z wydętymi wargami, ciemnymi oczami i czarnymi włosami Isobel Dalceann wyglądała jak księżniczka sprowadzona z Andegawenii, tak delikatne miała rysy. Żałował, że nie trafił na kobietę o bardziej pospolitej urodzie, mniej hojnie obdarzonej przez naturę.

- Nigdy nie słyszałem pieśni, która opiewałaby urodę Isobel Dalceann - powiedział idący obok niego Glencoe, czym prawdopodobnie wyraził powszechną opinię.

- Jest piękna, jeśli nie liczyć tej blizny - przyznał Mariner, towarzyszący Marcowi po lewej. - Chociaż blizna może dodawać tajemniczości. Isobel wkroczy do sądu w Edynburgu jak królowa i król będzie urzeczony. Wspomnicie moje słowa, bo czy widzieliście kiedyś kobietę podobną do niej?

Wszyscy, którzy słyszeli tę wymianę zdań, pokręcili głowami, a Marc poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Sądził, że tylko on jest nią tak zachwycony, tymczasem nawet zaprawieni w bojach wojownicy ulegli jej urokowi.

Zaraz potem przysłała mu do głowy nowa myśl. Może właśnie dzięki temu uda się ją ocalić...

Odegnął jednak tę myśl, odwrócił wzrok ku drzwiom i zaczął wydawać rozkazy, po czym zirytowany wyszedł na dwór popatrzeć, jak Isobel wsiada na wóz specjalnie przygotowany do transportu jeńca.

Zupełnie jakby wyczuła jego obecność, odwróciła się i stanęła nieruchomo. Położywszy dłonie na pośladkach, zmarszczyła spódnicę, a on poczuł tak gwałtowny przyływ pożądania, że nie był pewien, czy Isobel tego nie zauważy nawet z tak dużej odległości.

Marc nie mógł jednak narazić jej na dodatkowe niebezpieczeństwo dla zaspokojenia swoich egoistycznych chęci. Gdy dotrą do Edynburga, Isobel dowie się, kim dokładnie jest Marc de Courtenay. Twarze wszystkich ludzi, których zabił, majaczyły mu teraz przed oczami. Był żołnierzem, który szedł przez życie, zostawiając za sobą śmierć i zniszczenie. Poczul do siebie odrazę. Bękart, powiedział w duchu.

Nawet imię nie było jego własne. Nadał mu je dopiero lord, który wziął go do siebie na służbę w Bretanii. Podczas pasowania otrzymał nowe imię.

Jedynym sposobem na uratowanie Isobel Dalceann w tej sytuacji, było pozostawienie jej własnemu losowi. Zacisnął palce na rękojeści sztyletu i zaklął soczyście w języku swej dawno zmarłej matki.

Noc Otuliła ziemię i tego wieczoru wydawało się, że niebo pozostanie czyste, a rozpalone ogniska, widoczne wszędzie jak okiem sięgnąć, nie zgasną z powodu oberwania chmury. Namiot, który Isobel dzieliła ze służącą, był obszerny i dobrze wyposażony. Miały stertę futer na posłanie, a skóra poszycia była gruba i nieprzemakalna.

Do Edynburga został im dzień drogi. Prawdopodobnie nazajutrz będzie musiała stanąć przed królem i pozna swój los. Marc de Courtenay nie zbliżył się do niej ani razu, odkąd opuścili Ceann Gronna. Mimo że próbowała odszukać go wzrokiem w kolumnie żołnierzy, nigdzie nie mogła go zauważyć.

Chciała o niego zapytać, miała nadzieję, że może przyjdzie i ją pokrzepi swoją obecnością. Nie przyszedł jednak, a ona nie spytała.

Idąc z namiotu ku ognisku, przy którym czuwał jeden żołnierz, z ulgą odetchnęła świeżym powietrzem, bo od duchoty panującej w namiocie zaczynała ją boleć głowa. Niewykluczone, że nazajutrz o tej porze nie będzie jej już wśród żywych, a jej głowa zostanie zatknięta na włócznie na zamkowych murach ku przestrodze.

Błysk miecza, w którym odbiła się księżycowa poświata, zwrócił jej uwagę na obecność innego człowieka, stojącego w cieniu, na granicy zarośli. Zorientowała się, kto to jest, bo niespodziewanie zrobiło jej się gorąco i zapało jej dech.

- Musimy porozmawiać, lady Dalceann.

Zbliżył się i blask ognia padł na twarz Marca. Stwierdziła, że jego strój zupełnie nie przypomina tego, który najbardziej lubił i najczęściej nosił, mieszkając w zamku. Teraz miał na sobie niebiesko-złotą tunikę z wyhaftowanym wizerunkiem wilka, mającego wyszczerzone zęby i wysunięty język. W tym stroju wyglądał niebezpiecznie. Zmartwiło ją, że zwrócił się do niej tak oficjalnie, obojętnym, bezosobowym tonem. W odpowiedzi po prostu skinęła głową.

- Dojedziemy do Edynburga jutro około południa i król prawie na pewno wezwie cię, pani, na dwór i zażąda przysięgi lojalności. Radzę, abys na to przystała i zapomniała o innych sojuszach i zobowiązaniach.

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi.

- Mam zapomnieć o naszej przysiędze? - spytała.

Spojrzał jej w oczy, rysy jego twarzy w świetle ognia wydawały się ostrzejsze.

- Tak - szepnął. - Mogę cię chronić tylko do tego momentu. Reszta zależy od ciebie.

- Jak? - Ta rozmowa kompletnie ją przerastała. - Jak mam to zrobić?

Odnosiło się wrażenie, że nigdy nie mieli ze sobą nic wspólnego, że nie leżeli razem w komnacie na najwyższym piętrze donżonu, na posłaniu ze skór.

- Jesteś piękna, Isobel. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek odwiedzi Edynburg. Dawid ma dość rozumu, by pojąć, jaka jest wartość handlowa takiej urody.

Wiadomość, którą jej przekazał, bardzo ją zmartwiła.

- Czyli król potraktuje mnie jak dziwkę, której wdzięki można zaofiarować temu, kto zapłaci więcej?

- Nie. - Ujął ją za rękę i przyłożył sobie jej dłoń do piersi. - Nie jak dziwkę, do diabła. Jak żonę.

- Twoją żonę?

Puścił ją, jakby jej ręka zaczęła go parzyć, i raptownie się odsunął.

- Nie wszystko ci powiedziałem, Isobel. Może powinienem był ujawnić więcej...

- Jesteś żonaty?

- Nie w tym rzecz. - Jego słowa zlewały się z szumem wieczornych podmuchów wiatru. - Jestem żołnierzem i moja egzystencja jest równie niepewna jak twoja; żołnierzem, który musi przetrwać zmienność woli królów i dbać o ich przychylność.

Isobel zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Czyją przychylność?

- Filipa, króla Francji. - Intymna chwila przeminęła wraz z tymi słowami. - Mam tutaj dopilnować, żeby przymierze między Szkocją a Francją wciąż było przestrzegane w taki sposób, jakiego życzyłby sobie mój suweren.

- I mimo to przybyłeś do Ceann Gronna jako dowódca sił Dawida?

- Z rozkazu Filipa. Wiedz, że polityka pociąga za sobą mnóstwo ofiar w niewinnych ludziach... Za co ja jestem odpowiedzialny.

Na twarzy miał maskę obojętności.

- Dlaczego mówisz mi to właśnie teraz?

- Bo nazajutrz powie ci to mnóstwo innych ludzi, a ja chcę, żebyś najpierw usłyszała to ode mnie.

- Byłbyś gotów walczyć nawet za sprawę, którą uważasz za niesłuszną?

- Każdy spór ma dwie strony, lady Dalceann.

- A ty wybierasz tę bardziej lukratywną, tak? Na przykład w Ceann Gronna.

Gdy nie odpowiedział, wystąpiła z własną propozycją:

- Przyjmij więc moje złoto i odwołaj strażników pilnujących moich ludzi w lochach.

Nie mogła targować się o siebie, wiedziała bowiem, że wobec eskorty żołnierzy Dawida jest na to o wiele za późno, ale ziomków z klanu mogła jeszcze uratować.

Pokręcił głową.

- Nie mogę.

Łagodny ton tej stanowczej odpowiedzi tylko podkreślał jej definitywność.

- Czyżby nasza wspólna noc nic dla ciebie nie znaczyła? Jestem tylko kobietą, którą sprzedasz?

- Nie, Isobel, jesteś kobietą, którą w ten sposób chronię.

Zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek, aż zabolą ją ręka. Nawet nie drgnął, mimo że na jego opalanej skórze pojawił się czerwony ślad.

- Jesteś tchórzem, szukając schronienia w kłamstwie, Marcu de Courtenay. A ja byłabym głupia, gdybym skorzystała z takiej propozycji ochrony.

Wszystko, co ich łączyło, rozpadło się na kawałki i odeszło w niepamięć.

Przez chwilę zdawało jej się, że Marc spróbuje jakoś wytłumaczyć swoje postępowanie, on jednak wrócił do poprzedniego tematu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Twoje złoto zostanie przekazane w ręce Dawida jako zabezpieczenie. Jeśli wiesz, że jest go więcej, rozsądnym pomysłem byłoby rozbudzić jego apetyt mglistymi obietnicami. Wszystko, co ma wartość, pozwoli ci zyskać czas. Pamiętaj.

- Czyli to koniec, koniec naszego czasu we dwoje?

- Niezupełnie.

Wyciągnął do niej ramiona i przyłgął do jej warg. Nie odwzajemniła pocałunku. - Zostań w namiocie, Isobel. Nie powinnaś chodzić sama po dworze, to nie jest bezpieczne.

Odszedł. Przez chwilę miała jeszcze w uszach cichy odgłos jego oddalających się kroków.

Drżącymi palcami odruchowo dotknęła szyi. Nie mogła zrozumieć, jak w jednej osobie może być mężczyzna, który uratował ją w Ceann Gronna i tak wspaniale całuje, i żołnierz, za którego Marc się podawał.

Marc oparł się o pień wiązu. Zaimponowała mu swoją dzielnością.

Nie powinien był jej całować, wiedział, że nie powinien, ale nie mógł znieść smutku bijącego jej z oczu. Pierwszy raz w życiu czuł strach. Bał się, że ktoś wyrządzi jej krzywdę... Nie. Nie wolno mu było o tym myśleć. Musiał znaleźć sposób, żeby zapewnić Isobel bezpieczeństwo, bez względu na to, co musiałby zrobić.

Zobaczył, że wróciła do namiotu, ale został i obserwował wejście. Mariner zastał go tam około trzeciej.

- Tak myślałem, że gdzieś tutaj będziesz.

Marc przekrzywił głowę, a Mariner mówił dalej:

- Ta kobieta potrafi zapaść człowiekowi w pamięć. I nie chodzi tylko o jej wygląd, ale chyba również o samotność i odwagę. Jej ojciec musiał być niezłym sukinsynem. Nasi ludzie zakładają się teraz, ile czasu zajmie jej owinięcie króla dookoła małego palca.

- Mam nadzieję, że obstawiają krótkie terminy.

- Nawet bardzo. Oni wszyscy też chyba są w niej trochę zakochani.

- Przecież nawet z nimi nie rozmawia.

- Mit Dalceannów i tak jest silny, a ona jeszcze go podtrzymuje. Wszyscy opowiadają sobie, jak świetnie włada mieczem i jakie ma krągłości w męskich nogawkach. Dwa odparte

obłężenia w Ceann Gronna. A teraz jeszcze dwa tygodnie walki. To naprawdę duży wyczyn. Edynburg będzie do niej lgnął jak człowiek w upał do wody.

Albo jak ja, pomyślał Marc, zaciskając dłonie w pięści. Serce mu krwawiło.

- Glencoe uważa, że król wyda ją za jakiegoś bogatego barona, który nie będzie w stanie jej okiełznać. I twierdzi, że stałaby się wielka szkoda, gdyby lady Isobel Dalceann przez nieporozumienie trafiła do lochu.

Marc wstał. Wizja Isobel w ramionach człowieka, który z pewnością nie kochałby jej tak jak on...

Nie. Wolał o tym nie myśleć. Ona nie jest dla niego. Nie dla niego. Musiał jedynie sprawić, by była bezpieczna, a potem powinien odjechać. Gdy podniósł głowę, czerń nieba wydała mu się nieskończona. Najjaśniejszym punktem w tej czerni był Syriusz.

Obiecał sobie, że zapamięta ją właśnie w tej gwiazdzie. Wszystko jedno, czy będzie widział Syriusza z burgundzkiej ziemi, z murów zamku czy z pola bitwy w jakimś niespokojnym rejonie Królestwa Francji, co wieczór będzie się modlił do Boga o jej szczęście i zadowolenie.

- Postoję na straży do świtu - powiedział Mariner.

Marc wiedział, że potrzebuje kilku godzin odpoczynku przed następnym dniem, więc zostawił samotnego strażnika i poszedł się położyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trzymała głowę wysoko, a dłonie nieruchomo, gdy czekała w towarzystwie Marca de Courtenay na audiencję u króla.

Przyglądała się im setka edynburskich dworzan i wszystkie oczy były skupione właśnie na niej. Isobel nie patrzyła jednak na ludzi, lecz ponad ich głowy, żeby nie widzieć tego, co obawiała się zobaczyć niżej. Nienawiści i odrazy.

Słyszała gniewne okrzyki pod swoim adresem, gdy pieszo pokonywali zbocze edynburskiego wzgórza, zmierzając ku górującym nad nimi fortyfikacjom. Po obu stronach mijali wysokie budynki, a w powietrzu unosiła się dziwna woń, niepodobna do żadnej innej.

Teraz, gdy wielki zamek edynburski wznosił się tuż nad nimi, Isobel poczuła strach, jakiego jeszcze nie знаła. Marc stał przy niej całkiem nieruchomo. Bacznie wszystko obserwował, właśnie jak człowiek, dla którego wojna i bitwa są towarzyszkami życia.

Wspomniała jeszcze raz ich pieśczoć, ale ten człowiek wydawał się zupełnie kimś innym. Był wcieleniem siły i dyscypliny. Gdy wreszcie odważyła się rozejrzeć, stwierdziła, że bez wątpienia tak samo uważają gapie, którzy mieli to wypisane na twarzach.

Zainteresowało ją, czy Marc tak samo jak ona czuje na sobie taksujące spojrzenia ludzi. Wyraz jego twarzy wskazywał, że jest to dla niego całkowicie obojętne. Prawdziwy samotnik. Człowiek Filipa. Ktoś, kogo określa przede wszystkim jego zajęcie. Wyglądał tak, jakby w pełni panował nad sytuacją i ani jeden szczegół nie mącił tego obrazu.

Pojawił się w końcu królewski herold i wezwał wszystkich. Podwójne drzwi w drugim końcu komnaty zostały otwarte. W sąsiednim pomieszczeniu, również wypełnionym przez ludzi, Isobel zobaczyła tron.

Dawid II Bruce, król Szkotów, nie był ani roslým, ani szczególnie przystojnym człowiekiem, ale spojrzenie miał władcze, a teraz właśnie na niej je skupił.

- Lady Isobel Dalceann, Wasza Wysokość - zabrzmiał głos. - Głowa klanu Dalceannów z zamku Ceann Gronna. Oraz sir Marc de Courtenay, Burgundzki Wilk.

Burgundzki Wilk? - powtórzyła w myślach Isobel. Wielokrotnie słyszała to imię, gdy dorastała. A więc Marc, słynny najemnik, wódz, którego kampanie na całym świecie od lat opiewali w swych pieśniach bardowie i minstrele. Człowiek żyjący z bitew i przelewu krwi. Czyż nie to próbował jej powiedzieć ostatniego wieczoru? Słyszała, że rzadko bierze jeńców i że wszystkie walki toczy za pieniądze. Przy nim nawet jej nazwisko niewiele znaczyło!

Odetchnęła, ale nie odważyła się jednak spojrzeć na Marca, bo oto już zabrał głos Dawid.

- Widzę, że wróciłeś z dzikiego wybrzeża Fife i wygląda na to, że kampania była udana i przyniosła zwycięstwo. Czy chcesz coś nam o tym opowiedzieć, de Courtenay?

- W rzeczy samej, Wasza Wysokość.

Marc skłonił się dość niezgrabnie, po czym uniósł głowę i zaczął mówić pewnym głosem, bez pośpiechu:

- Ceann Gronna jest zamkiem, znajdującym się obecnie w rękach szkockiej Korony, reszta poprzedniej załogi została osadzona w lochach. Glencoe i ja wróciliśmy z północy dziś rano. Hrabia Huntworth zginął od ciosu miecza po tym, jak próbował ukraść złoto, będące zdobyczą wojenną Waszej Wysokości.

- A gdzie jest teraz to złoto?

- Tutaj, do dyspozycji Waszej Wysokości.

Isobel zobaczyła, że Marc kładzie u stóp króla torbę zaopatrzoną w uchwyty i zabezpieczoną podwójną warstwą skóry. Pakunek wyglądał na bardzo ciężki, ale Marc przeniósł go bez najmniejszego wysiłku. Zaciskając zęby, próbowała przybrać postawę skromnej kobiety.

- Czy zamek został zburzony?

- Nie, Wasza Wysokość. Stoi prawie nietknięty.

- Łup zostanie więc dodany do mojego skarbcza, de Courtenay. Dobrze się spisaleś.

- Głowa klanu Dalceannów, lady Isobel, również przybyła do Edynburga, Wasza Wysokość. Spoczywa na niej ciężar fałszywego osądu i błędnej decyzji ojca, ponieważ to Donald Dalceann dał początek zarazie, która zniszczyła Ceann Gronna, a córce nie pozostawił wyboru, musiała próbować ocalić swoich ludzi.

- Podejź - powiedział król do Isobel i przyzwał ją gestem.

Ton Dawida nie dopuszczał możliwości sprzeciwu. Isobel bardzo starała się w tej chwili dopasować swój wygląd do interpretacji Marca i przybrać pozę udręczonej córki nierozsądnego rodzica.

- Nie wyglądasz na czarownicę - powiedział w końcu Dawid. - I wcale nie wyglądasz jak ktoś, kto próbował zaprzedać duszę diabłu. Co ty na to, de Courtenay?

- To kobieta, która została zwiedziona przez otaczających ją mężczyzn. Moim zdaniem historie opowiadane o niej w Edynburgu są kłamstwem, a ona nosi na policzku jedynie znak zdrady swojego ojca, nic więcej. Dodam też, że na jej szyi znalazłem to... - Wyciągnął i uniósł wysoko łańcuszek. Na jego końcu wisiał poślizgnięty ze starości ząb w ozdobnej oprawie. - Kiedy

odebrałem jej tę ozdobę, nie zamieniła się bynajmniej w obłok dymu, Wasza Wysokość, choć tak właśnie sądzili niektórzy. To po prostu żąb jakiegoś morskiego zwierzęcia znalezionego na brzegu. I tylko tyle. Lady Isobel Dalceann staje dziś przed Waszą Wysokością pogrążona w smutku, że jej zamek sprawił tyle kłopotów, i jest pełna nadziei, że obietnica większej ilości złota wystarczy, by Wasza Wysokość zrozumiał jej skrucę i pozwolił wyrazić uniżoną lojalność wobec jego majestatu.

- Mocnych słów użyłeś, sir Marcu.

Król wstał i podszedł do Isobel. Był prawie o pół głowy od niej niższy. Isobel próbowała dygnąć tak, jak nakazywała etykieta, ale zgodnie z pouczeniem odwróciła wzrok.

Jednak gdy Dawid ujął ją pod brodę nie miała innego wyjścia, jak spojrzeć mu w oczy. Strach niemal ją paraliżował.

- Ma godną podziwu urodę. Rzadkie i nieskażone piękno. Szkoda byłoby zmarnować taki skarb.

Isobel przełknęła ślinę. Czyżby król uznał, że propozycja jest do przyjęcia?

Marc jednak jeszcze nie skończył swojej przemowy.

- Kiedy Wasza Wysokość wysłał mnie na ziemie Fife - podjął - obiecał mi nagrodę, jeśli wrócę zwycięski. Moim jedynym życzeniem jest, by lady Isobel Dalceann dostała szansę pokazania swojej lojalności wobec sprawy Szkocji i królestwa Waszej Wysokości.

Dawid stał w miejscu, bacznie przyglądał się Marcowi i skubał bródkę. Wreszcie zwrócił się do Isobel.

- Sir Marc zadał sobie wiele trudu, by zaświadczyć o twojej lojalności, lady Dalceann. Czy i ty chcesz o niej zapewnić?

- Tak, Wasza Wysokość - odparła drżącym głosem.

- Czy stojąc teraz przede mną w obecności dworu, przysięgasz mi?

- Przysięgam, Wasza Wysokość.

- Doskonale. Przez najbliższy miesiąc będziesz zatem mieszkać tutaj, w domu rodu Bruce'ów. Jeśli okażesz się szczerą i uczynną, wydam cię za jednego z moich baronów. Jeśli nie...

Drugą możliwość pozostawił niedopowiedzianą.

- De Courtenay, pozostanę na zawsze dłużnikiem twojego pana, króla Francji, za to, że cię tutaj przysłał. Na cześć zwycięstwa urządzam jutro ucztę w zamku. Mam nadzieję, że będziesz na niej obecny.

Pstryknął palcami i od razu ich wyprowadzono, tym razem drzwiami po lewej stronie sali, a przed obliczem króla stanęła następna grupa.

Isobel czuła, że Marc wciąż jest obok niej, nawet musnęła ją fałda jego haftowanego *bliaud*, ale gdy Marc przystanął, by przepuścić ją przodem, urok chwili przysł.

Przy następnych drzwiach służący króla dał jej znak, by poszła za nim.

- Czy to bezpieczne? - spytała Marca szeptem.

Nie czuła się dobrze w nieznanym miejscu, więc o wieczornej kłótni całkiem już zapomniała.

- Na razie tak - odpowiedział. - Ale nie trać czujności.

I została sama. Szła zamkowymi korytarzami w towarzystwie służącego i dwóch służek, które dołączyły z tyłu ubrane w znacznie bardziej kunsztowne stroje niż ten, który miała na sobie Isobel.

Marc tymczasem zawrócił i energicznym krokiem przemierzał komnaty. Dobrze pamiętał, jak na niego spojrzała, gdy usłyszała jego przydomek.

Burgundzki Wilk.

Zwykle był on przydatny, pomagał Marcowi utrzymywać dystans wobec innych. Otaczająca go legenda budziła strach, a to powstrzymywało niektórych przed próbami zbliżenia się oraz zadawaniem pytań.

U Isobel zauważył jedynie gniew.

Widział też jej Zdumienie, gdy wyciągnął łańcuszek - poźółkły ząb wieloryba w ozdobnej srebrnej oprawie, właśnie to, czego było mu trzeba. Kłamstwa wymagały jednak starannego przygotowania, a z jego doświadczenia wynikało, że sprawa zawsze wygląda bardziej wiarygodnie, jeśli kłamstwo jest tylko częściowe. Ludzie oczekiwali wyjaśnienia mitu, a najlepszym sposobem zaspokojenia ich potrzeby było zręczne podanie półprawdy.

Właśnie półprawdy uratowały jej życie, ale zmusiły ją do poślubienia jednego z baronów Dawida. Marc pamiętał, że trzeba zachować wyjątkową ostrożność, i starał się jakoś pogodzić z tym, że taka jest cena jej bezpieczeństwa. Ale bez powodzenia. Niestety nie miał w Szkocji silnej pozycji, na jego korzyść działały tylko fama zdobyta w ostatniej bitwie i nieuznawana oficjalnie więź rodzinna z Filipem, królem Francji.

Nie wystarczało to, by mógł sam wystąpić o rękę Isobel. Pochodził z nieprawego łoża, a w dodatku tylko w połowie był Francuzem. Nigdy nie należał do szkockiej elity, a Isobel właśnie takiego męża potrzebowała, jeśli miała przeżyć.

Wierzył, że Dawid dotrzyma danego słowa i że w rodzie Bruce'ów nie znajdzie się skrytobójca, który mógłby skorzystać na śmierci znanej buntowniczką, nawet jeśli król okazał jej łaskę.

Madeline.

Imię żony przyszło mu do głowy całkiem niespodziewanie, a przecież minęło już wiele lat, odkąd została zamordowana. Wtedy Marc też uważał, że jest bezpieczna.

Po zamkowych korytarzach hulał zimny wiatr. Tak samo było w Burgundii, gdy znalazł ciało martwej żony, noszącej dziecko, któremu nie dane było przyjść na świat.

Madeline. Łagodna i uległa. Ufna i otwarta. I to właśnie dobroć stała się w końcu przyczyną jej śmierci.

Hart ducha i duma były cechami, którymi Isobel zaimponowała mu. Sądził, że nie sposób pokonać ją zdradzieckim podstępem, a w walce dorównywała przecież niejednemu mężczyźnie.

Uśmiechnął się. Mając taką kobietę u swego boku, mógłby zostać władcą całego świata.

Grupa mężczyzn idąca z naprzeciwka przystanąła. Marc poznał Stuarta McQuarry'ego, nowego hrabiego Huntworth. W jego oczach dostrzegł nienawiść.

Ponieważ spotkali się w miejscu publicznym, a Stuart miał za sobą jeszcze z dziesięciu ludzi, nie obawiał się wystąpić z grupy.

- Może ci się zdawać, de Courtenay, że zrećcznie skłoniłeś Dawida do udzielenia schronienia lady Dalceann, ale dwaj członkowie mojej rodziny zginęli w Ceann Gronna. Wierz mi jednak, że ktoś za to zapłaci. Odezwie się głos sprawiedliwości.

- Isobel Dalceann jest teraz pod opieką Dawida. Rozważ więc dobrze, McQuarry, bo może się okazać, że dołączysz do braci szybciej, niż myślisz.

- Czy to groźba? Marc pokręcił głową.

- Nie, to fakt. Król nie znosi nielojalności.

- Kobieta Dalceannów przyjechała tutaj, żeby go zwieść. Jeśli sądzić po jej reputacji, pewnie nie minie nawet tydzień, zanim spróbuje dźgnąć kogoś nożem.

- Pozwól więc, by sama ściągnęła na siebie nieszczęście. Nie ma sensu, żebyś poświęcał się w sprawie, która i tak jest przegrana.

Marc zastanawiał się, czy tymi słowami zyskał więcej czasu dla Isobel, czy wręcz przeciwnie, pogorszył jej sytuację. Trzeba będzie ją ostrzec, a tę grupę, która teraz stała przed nim, bacznie obserwować, postanowił w duchu. Postarał się zapamiętać wszystkie twarze. Na szkockim dworze intrygowano nie mniej niż na francuskim, a on zawsze dobrze sobie radził z

lawirowaniem wśród niebezpieczeństw. McQuarry jednak nie uważał, by ich rozmowa dobiegła końca.

- Inni mogą się ciebie bać, de Courtenay, ale ja do nich nie należę. Intruz przysłany tutaj przez francuskiego króla może być tolerowany, póki robi to, co do niego należy.

- Zgadzam się.

Z uśmiechem stanął pod ścianą na znak zakończonej rozmowy, ale przypomniał sobie, kiedy o mały włos nie dosięgła go strzała wypuszczona przez Archibalda. Czyżby potomkowie rodu McQuarrych mieli zdradę we krwi?

Patrząc za odchodzącymi, mimo woli położył dłoń na rękojeści sztyletu przy pasie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Margaret starannie ułożyła Isobel włosy. Warkocz zapleciony pośrodku opadał jej na plecy, a pasma po bokach zostały spięte złotymi klamrami.

Wszystko, w co ją ubrano i w czym miała wystąpić na popołudniowej uczcie, było pożyczone: karmazynowa brokatowa suknia, pas z granatowego jedwabiu pięknie ozdobiony koralikami i dopasowany kolorystycznie surkot. Stroje zostawiono w jej komnacie bez słowa wyjaśnienia, ale Isobel wiedziała, że król oczekuje od niej elegancji.

Gdy popatrzyła na siebie, uznała, że wygląda zaskakująco pięknie. Jeśli chciała przeżyć, należało olśnić dwór, a tego popołudnia musiała odegrać rolę pięknej kobiety, która zrozumiała błąd swojej rodziny i żałuje, że sprzeciwiała się woli króla.

Nie poznała wręcz osoby spoglądającej na nią z lustra. Nawet bliznę na policzku udało się zamaskować jakąś maścią, a w kapeluszu z długim, lejącym się welonem miała jeszcze kilka centymetrów wzrostu więcej.

Tylko oczy pozostały niezmiennie czujne i nieufne. Spróbowała nadać im lekko niewinny wyraz.

Czy Marc de Courtenay przyjdzie dzisiaj na ucztę? A jeśli tak, to czy uda jej się z nim porozmawiać? - zastanawiała się. Czy wystarczy mu jedno spojrzenie, by zauważyć, że to wszystko są tylko pozory?

Jej Burgundzki Wilk...

Na tę myśl uśmiechnęła się, bo przecież nie sposób oswoić wilka - to byłoby tyle, co go unicestwić. Zdawała sobie z tego sprawę. Przecież właśnie jego nieokiełznana, groźna dzikość tak ją podniecała.

Jako dama do towarzystwa została jej przydzielona lady Helen Cunningham. Kobieta nie szczędziła pochwał.

- O, moja droga, przypadniesz do gustu wszystkim dworzanom szukającym żony, co do jednego - powiedziała, spoglądając na nią lśnięcymi, niebieskimi oczami, które kojarzyły się z kroplami rosy.

- Powiem ci więcej. Będę bardzo zdziwiona, jeśli natychmiast nie zaczną padać przed tobą na kolana, aby wyznać miłość.

Isobel uśmiechnęła się, ponieważ prawdopodobnie właśnie tego należało się spodziewać i ponieważ właśnie to wcale jej nie cieszyło.

- Nie, nie - zareagowała natychmiast kobieta. - Nie okazuj uczuć, żeby nie napinać policzków, bo na maści się pęknięcia pojawiają.

Isobel skinęła i przestała udawać zadowolenie. Zastanowiło ją tylko, czy jedzenie nie grozi wywołaniem tego samego skutku, ale wołała nie pytać. Była bardzo głodna, a zapachy z pałacowych kuchni dolatywały do jej pokojów od samego rana.

- Naturalnie będą tutaj absolutnie wszyscy - ciągnęła lady Helen. - Najprzystojniejsi mężczyźni w Szkocji. Z tego, co słyszę, kobiety najcieplej myślą o sir Marcu de Courtenay, ale on nie ma ziemi ani tytułu, co wyklucza go spośród kandydatów mających królewską rekomendację. Poza tym ma reputację człowieka niepokornego, krążą też plotki, jakoby jego ojciec pochodził z tych stron.

Isobel nagle zainteresowała się tematem rozmowy, rozczarowało ją więc, gdy lady Cunningham szybko go zmieniła:

- Ech, dość już takich frywolności. Bracia McFaddenowie są znakomitymi kandydatami, a żony szuka również ostatni syn McQuarry'ego. Ten chłopak zawsze wydawał mi się dziwnie melancholijny, ale ziemie jego rodziny są rozległe i żyzne.

McQuarry. Isobel okrywała się gęsią skórką na samo wspomnienie tego nazwiska. Tymczasem podążyła za swoją towarzyszką do wielkiej sali. Lady Helen była plotkarką, ale jej upodobanie do mówienia mogło pomóc w zrozumieniu tego, co dzieje się na dworze.

Co więcej, lady Helen zdawała się nie żywić niechęci do niezłomnej postawy Dalceanów, a to stanowiło jej niezaprzeczną zaletę.

Gdy gwar rozmów stawał się głośniejszy, Isobel poczuła zdenerwowanie. Przypuszczała, że to z powodu nieznanego otoczenia. I znów pożałowała, że nie będzie u jej boku Marca.

Isobel Dalceann weszła na salę niczym królowa, z wysoko uniesioną głową, w karmazynowej sukni wybranej tak, by podkreślała jej ciemne oczy i włosy, a także kobiece krągłości.

W sali zapadła cisza, gdy zajęła miejsce przy królewskim stole. Usiadła sztywno wyprostowana z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, a ze znacznego oddalenia Marc nawet nie widział blizny. Szkoda, pomyślał rozsądnie, upiększanie ukryło jej bardzo ważną cechę - odmiennność i dzielność.

Siedział przy samym końcu tego samego stołu, niedaleko drzwi. Taki miał zwyczaj nabyty wskutek ciągłego obcowania z niebezpieczeństwami. Nie zmienił też swego miejsca, gdy zauważył, że Isobel się rozgląda. Tu nie ma żadnego niebezpieczeństwa, pomyślał. Na wszelki wypadek miał za pasem łatwo dostępny sztylet.

Dawid poprosił o ciszę i dał znak Isobel, żeby wstała. Wyglądała w tej chwili jak kobieta wyjątkowo wdzięczna swojemu suwerenowi za danie nieoczekiwanej szansy dowiedzenia swojej wartości na dworze, a jej uroda olśniewała. Marc gorąco popierał jej taktykę, gdyż pozorna kobieca uległość była bronią bardziej zabójczą niż miecz.

- Lady Isobel Dalceann przyjechała do Edynburga jako mój gość. Czas położyć kres krzywdzącym plotkom na jej temat.

Król mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Marc przyglądał się, jak Isobel skłania głowę. Miejsce jej wyzywającej pozy zajęło zawstydzenie. Gdyby Marc nie znał jej lepiej, to może nawet uwierzyłby w tę powściągliwość. Następne słowa króla zepsuły mu jednak humor.

- W najbliższych tygodniach ogłosimy jej zaręczyny z jednym z członków mojego dworu, aby zamek Ceann Gronna powrócił pod naszą komendę i strzegł granic królestwa.

Ludzie przy stole zaczęli rozmawiać, młodzi rycerze siedzący na lewo od Marca wyrażali to, co czuli wszyscy nieżonaci mężczyźni w sali.

- Gdybym mógł wziąć ją do łóżka, nigdy nie zbłądziłbym do innej.

- Żeby wziąć ją do łóżka, musiałbyś mieć znacznie więcej pieniędzy, niż masz, i zamek przynajmniej tej wielkości co Ceann Gronna.

- Myślisz, że Dawid sam ją kocha?

- A kto by nie kochał? Ma twarz anioła.

- I ciało syreny.

- Dość tych domysłów, chłopcy - zwrócił się do nich starszy człowiek, który usiadł przy stole niezauważony przez Marca. - Król Dawid wybierze jej męża i pamiętajcie, że nie będzie to nikt taki jak my.

Ani jak on! Uświadomiwszy sobie tę niezbitą prawdę, Marc wziął kufel od przechodzącego służącego i jednym haustem wychylił całą zawartość.

Król jednak jeszcze nie skończył. Zwrócił się teraz do lady Dalceann:

- Powiedz nam, pani, jakie cechy wydawałyby ci się atrakcyjne u męża.

Powiodła wzrokiem po sali, a gdy lekko obróciła się, napotkała spojrzenie Marca. Czyżby przez cały czas wiedziała o jego obecności? Marc był skłonny w to uwierzyć.

- Uczciwość i lojalność, Wasza Wysokość - odpowiedziała.

Wstrząsnęła nim jednoznaczność tego przesłania. Nie dał jej przecież ani jednego, ani drugiego. Rozejrzał się dookoła, a tymczasem salę wypełniły śmiech i wiwaty, bo Stuart McQuarry uniósł kieliszek.

- Za lady Dalceann - zawołał.

- Czy to znaczy, że jesteś zainteresowany, panie? - spytał Dawid.

- To prawda, jestem, Wasza Wysokość.

Rozległy się również inne głosy zainteresowanych, a Marc poczuł gniew, więc odstawił cynowy kufel i wstał od stołu. Szedł energicznie długimi korytarzami, aż w końcu znalazł się na dziedzińcu. Przed nim rozciągał się cały Edynburg, skąpany w świetle popołudniowego słońca.

Położył dłoń na ciepłym kamieniu. Czuł się bezsilny jak jeszcze nigdy wcześniej. Pamiętał przecież Isobel Dalceann tulącą się do niego w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

Widziała, jak wychodzi. Mężczyzna zupełnie inny niż wszyscy, rosła postura wyróżniała go jako wojownika. Nie zgłosił się, chociaż marzyła, że Marc pójdzie za ich przykładem, a Dawid poprze go jako kandydata.

Bardzo męczyła ją konieczność zachowania stosownego wyglądu. Jej suknia była przy-ciasna we wszystkich miejscach, które mogły być prowokujące dla mężczyzny. Było to świadomym zabiegiem ze strony króla, by złowić w sieć najbogatszego barona i jak najwięcej skorzystać na dziesięcinie. Isobel poczuła nagle, że ogarnia ją obrzydzenie do tego spektaklu, obrzydzenie do polityki i pieniędzy. Tymczasem jedyny człowiek, który najlepiej nadawał się jako dowódca Ceann Gronna, znikł za drzwiami i zapewne cieszył się teraz słonecznym popołudniem.

- Wywołała pani niemalże zamieszanie, lady Dalceann - zwrócił się do niej hrabia Carr, pochylając się nad stołem. - I od razu powstał nowy problem.

Jak król ma wybrać jednego spośród zalotników i mimo to utrzymać pokój?

- Wolalabym nie mieć żadnych zalotników, panie - powiedziała i zobaczyła, że twarz mężczyzny zaczyna zdradzać rozbawienie.

Helen Cunningham rozmawiała z kobietą po drugiej stronie stołu, co pozwoliło Isobel na chwilę szczerości bez świadka.

- Czy dlatego, że twój ojciec i mąż tak bardzo cię zawiedli? Prawdę mówiąc, rozumiem cię, pani.

Przed oczami pojawiła jej się twarz Alisdaira, człowieka wierzącego w logikę, rozum i zdrowy rozsądek. Słuchanie, jak oczerniają go na królewskim dworze, nie było ani słuszne, ani uczciwe, nawet jeśli mogło jej pomóc. Isobel zacisnęła usta, a wtedy maść kryjąca bliznę odpadła i prawda wyszła na jaw. Ścierając wierzchem dłoni resztę maseczki, Isobel nie odrywała wzroku od hrabiego siedzącego obok. Bawił ją widok konsternacji najbliższych sąsiadów, a gdy się uśmiechnęła, wiedziała, że jej blizna będzie doskonale wyeksponowana.

Teraz była sobą, ostatnią głową klanu Dalceannów z Ceann Gronna, kobietą wystawioną na sprzedaż niczym klacz. A niech wiedzą ci poplecznicy Dawida, pomyślała, jak naprawdę wygląda ta, której pożądamy. Dla niej samej rana zadana przez ojca była tylko częścią straszego wspomnienia. Dużo gorsze były słowa, które ojciec wykrzyczał, gdy próbował ją zabić. Gorsze, bo na trwałe zapadły jej w pamięć.

- Przeklinam twoją matkę za to, że zabrała mi jedyne dziecko, jakiego kiedykolwiek miałem, i sprawiła, że zginął na morzu, i przeklinam ciebie za to, że wyglądasz dokładnie tak jak ona.

Zanim dokończył, Ian ścisnął go już za gardło.

Blizna na policzku jednak zmniejszała podobieństwo do kobiety, którą ojciec znienawidził, a upodabniała ją do człowieka, jakim był on sam: gniewnego, porywczego i nieufnego.

Dworzanie byli zadbani i wypielęgnowani tak jak rośliny Alisdaira, które rosły w cieplarniach między dwoma pierścieniami murów. Nie mogła mieć do tych ludzi pretensji o te spojrzenia, gdy zaskoczenie przebiło się przez warstwę konwencjonalnej ogłady, a wraz z nim pojawiło się zaniepokojenie.

Gdy posiłek dobiegł końca i król wyszedł, Isobel odłożyła na stół przed sobą nóż, który przez cały czas trzymała w dłoni, i podeszła do okien po drugiej stronie sali.

- Jeśli będzie się pani trzymać w takiej sytuacji innej kobiety, ułatwi to obronę przed niechcianymi zalotami.

Isobel spojrzała na starszą kobietę, która się do niej odezwała. Była wysoka i chuda, jasne, kręcone włosy opadały jej na plecy, gdzie krępowała je złota siatka.

- Słucham?

- Nie warto stać samotnie, lady Dalceann, zwłaszcza gdy ma się taką pozycję jak pani.

- Jaką pozycję?

- Kobiety, która nie kocha żadnego z kandydatów proponowanych przez króla. Stojąc samopas, jest pani łatwym łupem.

Isobel z trudem powściągnęła uśmiech. Niewielu ludzi na dworze pozwalało sobie na taką szczerość.

- Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłam się - ciągnęła jej rozmówczyni. - Jestem lady Catriona, córka hrabiego Roseheath, jednego z najgorętszych zwolenników króla Dawida.

- W takiej sytuacji prawdopodobnie nie powinna pani być widziana razem ze mną.

Kobieta całkowicie zlekceważyła te słowa.

- Ojcowie mają wiele grzechów na sumieniu. Weźmy na przykład mojego. Wydał mnie za mąż za mężczyznę, który był dwadzieścia lat starszy ode mnie i nie mógł zrozumieć, dlaczego biorę sobie wielu kochanków. Pani, naturalnie, mogłaby robić dokładnie to samo, zważywszy na edykty Dawida, bo trzeba jasno powiedzieć, że polityka robi dziwki ze wszystkich myślących kobiet.

I znów Isobel z trudem powstrzymała uśmiech. Bardzo jej ulżyło, że spotkała kobietę, która w jej obecności ani nie ma spętanego języka, ani nie waży każdego słowa. Czy lady Catriona zawsze była taka bezpośrednia?

- Nie jestem pewna, czy umiejętność znajdowania racjonalnej argumentacji przeciwko planom mężczyzn jest tutaj mile widziana - powiedziała Isobel półgłosem.

Lady Catriona pokręciła głową.

- Dali mi spokój, bo byłam żoną bardzo potężnego człowieka, a jestem córką innego. Pani z kolei dają spokój, ponieważ nikt tutaj jej nie zna. Widzę to po ich twarzach. Wszyscy obserwują z zapartym tchem, jaki będzie pani następny krok.

- Jestem jeńcem. Niewiele zależy ode mnie.

Boże, przecież nie miała pojęcia o tym, kim naprawdę jest ta kobieta i jakie ma powiązania. A Marc wyraźnie ją pouczył, żeby była ostrożna i nie ufała nikomu.

- Oczywiście pomaga pani mit. Strach przed czarami i klątwami jest silny...

- Słucham?

- Myślę o zębie, który de Courtenay zdjął pani z szyi. Według przesądu powinna pani wtedy zniknąć w chmurze dymu. Mądrze zrobił, że posłużył się magią.

Właśnie w tej chwili Marc wrócił do wielkiej sali.

- O, to jest ktoś, kto dopilnowałby, żeby kobieta nigdy nie zeszła z dobrej drogi, lady Dalceann. Ten mężczyzna, którego pani ukradkiem obserwuje. Tyle że sir Marc chyba nie całkiem dorasta do swojego wyobrażenia o sobie. Mówią, że jego ojciec był szkockim lordem, który zajechał na burgundzki dwór i tam począł dziecko z krewną króla Francji.

Jeśli ta informacja jest prawdziwa, to możliwe nawet, że ojciec sir Marca był moim mężem.

Coś w tonie starszej kobiety obudziło ostrożność Isobel.

- A kto to był?

- Cameron McQuarry, stary hrabia Huntworth. Oddano mnie jemu za żonę, kiedy zmarła matka jego synów.

Czy to była dobra rada dana jako ostrzeżenie czy jako wskazówka?

- Mogłabym, oczywiście, przekazać de Courtenayowi taką informację osobiście, ale sądzę, że byłoby o wiele rozsądniej, gdyby pochodziła ona od pani - powiedziała lady Catriona.

- Ode mnie? Przecież prawie go nie znam. Serce Isobel zabiło szybciej.

- Proszę nie udawać, lady Dalceann. O ile wiem, jest pani na ogół znacznie bardziej szczerą. Poza tym ten wojownik odwiedził panią w łóżu w Ceann Gronna i plotki głoszą, że zza drzwi nie dobiegały krzyki niezadowolenia.

- Wypytywała pani o mnie?

Niebezpieczeństwo na królewskim dworze miało wiele twarzy i nawet arystokratycznego oblicza szlachetnie urodzonej damy nie wolno było lekceważyć.

- Nie, mnie interesuje de Courtenay.

Czyżby ta kobieta proponowała jej udział w intrydze? Może chciała wciągnąć Marca w pułapkę?

- W polityce nie ma ratunku dla wysokiego rangą żołnierza, który zawłaszczył cudze nazwisko - powiedziała i nagle pomyślała o czym innym. - A czy Stuart McQuarry podejrzewa to samo?

- On jest bystry, lady Dalceann, więc przypuszczam, że musiało mu to przyjść do głowy. Zwłaszcza że de Courtenay jest podobny do starego hrabiego.

- A czy stary hrabia uznał de Courtenaya za swojego potomka?

Catriona zmarszczyła brwi.

- Na to nie ma jednej odpowiedzi, lady Dalceann. Proszę dać de Courtenayowi ten herb i spytać, czy go poznaje.

Lady Catriona zsunęła z palca pierścionek i chowając go pod trenem sukni owiniętym wokół ramion, podała go Isobel.

- Niech pani wie również, że de Courtenay obserwuje każdy jej ruch, i to uważnie. - Popatrzyła Isobel prosto w oczy. - Gdyby jakimś przypadkiem pierścionek zginał i wpadł w ręce kogoś, kto może zrobić z niego zły użytek, to oczywiście zaprzeczę, że kiedykolwiek pani go dałam, tak samo jak zaprzeczę, że rozmawialiśmy na ten temat.

Z tymi słowami oddaliła się i przyłączyła do grupy mężczyzn, którzy ciepło ją powitali. Może byli to kochankowie, zważywszy na to, co lady Catriona powiedziała, a może tylko znajomi?

Informacja, którą przed chwilą uzyskała Isobel, wprawiła ją w zdenerwowanie. Bała się, że inni zauważą to, co sobie zaczęła wyobrażać. Przeszywając mieczem Archibalda McQuarry'ego w Ceann Gronna, Marc mógł zabić swojego brata. Spojrzała na grupę, w której znajdował się Marc, on jednak nie spojrzał na nią ani razu.

Stuart McQuarry nie był aż tak powściągliwy. Zbliżył się do niej niemal natychmiast, gdy lady Catriona odeszła, mając na twarzy pogardliwy uśmiezek. Isobel poczuła do niego niemal taką samą niechęć jak kiedyś do jego brata.

- Lady Dalceann. - Przesunął wzrokiem po jej obcisłym *bliaud*, zatrzymując się na wysokości piersi znacznie dłużej, niżby to było stosowne. - Powinna pani chyba dowiedzieć się, że inne damy na dworze odrzucają towarzystwo lady Catriony, która jest plotkarką opowiadającą niestworzone historie.

Isobel wciąż trzymała pierścionek w dłoni, ale nie odzywała się.

- Ponieważ król chce w ciągu kilku tygodni ogłosić pani zaręczyny, uznałem, że to właściwy moment, by przedstawić pani moją sytuację. Jestem ostatnim z McQuarrych.

Może niezupełnie ostatnim, pomyślała.

- Mój zamek stoi na wzgórzach nad Stirling, na gruntach pięciokrotnie większych niż pani rodziny. - Powoli przybliżył się, tak że ich stopy zetknęły się. - Jako jeden z kandydatów do pani ręki cieszyłbym się, mogąc poznać panią nieco bliżej.

Jego oddech cuchnął zgniłym fałszem. Nawet więc na dworze, niecałe dziesięć metrów od Marca de Courtenay, czuła się przestraszona. Przykre doświadczenia z nieżyjącym już Archibaldem McQuarrym wycisnęły na niej piętno, dlatego żołądek podchodził jej teraz do gardła ze strachu. Rozpaczliwie chwyciła miękki welon spływający z kapelusza i mocno zacisnęła na nim dłonie, żeby Stuart McQuarry przypadkiem nie próbował wziąć jej za rękę.

Pierwszy raz zauważyła, że Marc ku niej zerknął.

- Król Dawid dał mi pozwolenie, by zabrać panią na małą przejażdżkę. Może wybralibyśmy się jutro?

Pokręciła głową, starając się przybrać zaskoczoną minę.

- Nie. Na pewno mam ważną sprawę do załatwienia, choć za nic nie mogę sobie przypomnieć, co to takiego.

Trzpiotowatość zawsze była dobrą wymówką. Wiedziała też, że mężczyźni lubili tę cechę u kobiet.

- Wobec tego pojutrze.

Znów pokręciła głową.

- Przyjaciółka prosiła mnie, żebym towarzyszyła jej podczas odwiedzin u matki. Nie mogłabym jej rozczarować.

Jakby na zawołanie pojawiła się u jej boku Catriona McQuarry.

- Przepraszam, lady Isobel, miałam wrócić wcześniej, ale zostałam zatrzymana. Huntworth.

Wyciągnęła do niego rękę i cofnęła natychmiast, gdy było to możliwe. Lodowate powitanie najwidoczniej przekonało Stuarta McQuarry'ego, że rozsądnie będzie się wycofać.

Po jego odejściu Catriona uśmiechnęła się.

- Tego mężczyzny za wszelką cenę należy unikać.

- Wiem.

- To dobrze. Usiądźmy więc i udawajmy, że musimy porozmawiać na wszystkie możliwe tematy, jakie tylko są na świecie. To powinno utrzymać Stuarta i podobnych mu ludzi daleko od ciebie.

Marc dostrzegł rejteradę Huntwortha, gdy minawszy Isobel i Catrionę McQuarry, zatrzymał się przy Dougalu MacDonaldzie, starszym mężczyźnie, którego poznał w Burgundii dziesięć lat wcześniej. Zauważył też, że Catriona ukryła coś pod trenem, by przekazać to Isobel. Ciekawe, pomyślał z pewnym zaniepokojeniem.

- Lady Isobel Dalceann jest przystojna - powiedział tymczasem MacDonald, gdy zauważył, gdzie pada spojrzenie Marca. - Słyszałem, że wielu ze znamienitych rodów będzie się ubiegać o jej rękę. Huntworth jest chyba najmilej widzianym przez króla kandydatem.

- Ty też zamierzasz? - spytał Marc i pociągnął duży haust piwa.

- Nie, za stary jestem na takie zabawy. Jeśli jednak Stuart McQuarry miałby zdobyć rękę lady Isobel, to bałbym się o jej los, bo jest takim samym łajdakiem jak jego ojciec.

Ostrzeżenie zostało udzielone dyskretnie, a Marc tylko skinął głową.

- Z mojej dość ograniczonej wiedzy na ich temat wynika, że cała rodzina jest do cna zepsuta.

- Torwood, ich rodowy zamek pod Stirling, robi wrażenie. Niewielu baronów stać na taką twierdzę - przyznał McDonald.

Torwood. Marc dobrze pamiętał, że jego matka wypisała tę samą niezwykłą nazwę na pierwszej stronie Biblii, którą mu przekazano. Zawsze go zastanawiało, jak to słowo tam trafiło, ale jego ciotka nigdy nie była chętna do udzielania informacji. Zresztą kiedy pokazał jej ten gryzmoł, będąc w Burgundii na ćwiczeniach jako giermek, ciotka wyrwała całą kartkę z książki, zgmiotła i cisnęła do ognia.

- Twoja matka była kobietą, która łatwo dawała się zwieść ładnej twarzy. Uważaj, żebyś nie był taki ufny jak ona - powiedziała.

Od tej pory dawno już stracił wiarę w ludzką dobroć. Ćwiczenia pod okiem Filipa były wyczerpujące i okrutne. A on nie pokazał ciotce listu, który znalazł wetknięty za okładkę tej samej Biblii. Na liście widniało imię nadawcy pod herbem z trzema niebieskimi gwiazdami na białym tle.

- Czy stary McQuarry wciąż jeszcze żyje?

MacDonald popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- Nie. Wojował mieczem i od miecza zginął. Pamiętam dokładnie, zabił go niezadowolony giermek. Niestety, wszyscy jego synowie wydają się po ojcu stosować prawo pięści.

Marc zorientował się nagle, że Stuart McQuarry właśnie się do nich zbliża, więc zakończył rozmowę.

Zauważył też, że Isobel przygląda mu się bacznie z drugiego końca sali.

Torwood. Miał szczerą nadzieję, że to słowo nie łączy go z rodem McQuarrych.

Dobre dwie godziny później Marc znalazł się na dworze w tej części zamku, gdzie mieściły się pokoje lady Dalceann. Oparty o drzewo poniżej wieży pilnował, by nic złego nie zdarzyło się w bezpośrednim jej otoczeniu. Krótko mówiąc, robił to samo, co podczas drogi z Ceann Gronna do Edynburga.

Wiedział oczywiście, że Isobel go nie widzi, ale miło mu było stać tam, nasłuchiwać dźwięków dookoła, i wiedzieć, że Isobel słyszy to samo: capstryk nocnego ptaka, szczekanie psa niżej na wzgórzu, gwar ostatnich pijanych gości wychodzących z gospody.

Stojąc tam, przypominał sobie charakterystyczny dźwięk Ceann Gronna: szum fal rozbijających się bez końca o skały. Gdy się na tym złapał, zaklął i zaczął się zastanawiać, dlaczego ten zamek tak mocno przyzywa go z powrotem. Choć podróżował całe życie, rzadko patrzył przez ramię na to, co za sobą zostawiał. Dlaczego nie tym razem?

Tego wieczoru czuł się bezdomny i pozbawiony swojego miejsca na świecie. Tak pewnie działało piętno złego urodzenia, zwłaszcza że Marc znalazł się w otoczeniu mnóstwa ludzi z rodów o długiej i chwalebnej historii. Moje pochodzenie też ma związek z tym miastem, pomyślał. Niespodziewana wzmianka o Torwood zapadła mu w pamięć i obudziła jego zainteresowanie, choć jednocześnie kusiło go, by zlekceważyć tę informację.

Błysk stali tuż przy jego skroni sprawił, że raptownie odskoczył i cudem uniknął sztychu. Natychmiast dobył zza pasa sztyletu i cisnął nim w kierunku napastnika. Usłyszał jęk, a potem bezwładne ciało cicho osunęło się na ziemię. Pozostało jednak jeszcze trzech napastników.

Ludzie McQuarry'ego, poznał ich po twarzach. Na szczęście nie mieli szans. Atak jakichś wieśniaków nie stanowił problemu dla żołnierza z wieloletnim doświadczeniem w bojach. Oni też o tym wiedzieli i uciekli.

Nie zadał sobie nawet trudu odebrania im broni. Schylił się tylko po swój sztylet i otarł go o kosztowny aksamit kaftana jednego z napastników. Potem znikł w krętych zamkowych korytarzach.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ze strachu Isobel nie mogła spać. Tyle okropności zdarzyło się w ostatnich dniach.

Od czasu pierwszej uczty poznała w różnych okolicznościach dwudziestu kandydatów na męża, a monarcha niczego nie pragnął bardziej niż wydać ją za jednego z nich i odesłać z powrotem do Ceann Gronna, by w ten sposób zρέcznie rozwiązać problem obsady zamku.

Twarze tych, którzy starali się o jej rękę, zgodnie rozplęwały się w mroku nocy, choć niektóre należały do porządnych, życzliwych ludzi. Inni kandydaci, tacy jak Huntworth, pripraviali ją o dreszcze, ilekroć dotykali jej ręki pod tym lub innym pretekstem.

Przy nikim jednak nie czuła się tak jak przy Marcu de Courtenay, i na tym polegał problem. Nie chciała nowych sojuszy, nawet gdyby w nagrodę, miała stać się z powrotem panią Ceann Gronna i mieszkających tam ludzi. Nie. Chciała jedynie tego, czym cieszyła się wspólnie z Markiem: długich godzin przyjemności.

Ożywiona tym wspomnieniem wsunęła palce w miejsce między udami, ale hałas na zewnątrz kazał jej znieruchomieć i nastawić uszu. Liście drzewa rosnącego pod ścianą, w której miała okno, zaszeleściły na wietrze. Szmer głoów w oddali nie wydawał się niepokojący, bo na zamku zawsze dużo się działo aż po późny wieczór. Cisza zapadała dopiero późną nocą. Czowała, że ktoś jest na zewnątrz.

Sięgnęła dłonią noża, który zabrała w wielkiej sali żołnierzowi. Biedak nawet nie miał pojęcia o zręczności i szybkości jej palców, a ją bardzo pokrzepiło to, że ma broń. Zsunęła się z łóżka i podeszła do okna. Nikogo nie dostrzegła, więc trochę się odprężyła. Drgnęła jednak zaraz, bo usłyszała wyraźne szmery w okolicach drzwi.

Ktoś chciał się włamać. Morderca? Nie krzyknęła. Potrafiła poradzić sobie z tą sytuacją sama. Miała broń w ręku i zaskoczenie po swojej stronie.

Gdy po kilku sekundach pojawił się intruz, natychmiast przystawiła mu ostrze do szyi, gotowa poderżnąć gardło. Powstrzymało ją jedynie znajome brzmienie głosu.

- To ja - powiedział.

- Boże. Mogłam cię zabić.

- I dobrze.

Marc popatrzył na nią. Czerwona linia na jego szyi w miejscu, gdzie został przyciśnięty nóż, była dowodem na to, jak mało brakowało, by padł ofiarą pomyłki.

- Dlaczego się nie broniłeś?

- Drzwi nie były zamknięte, a nie chciałem zaalarmować strażników.

Zerknął na jej sztylet, potem wyciągnął zza pazuchy ciężkiego płaszcza szmatę i ją rozłożył.

- To jest druga możliwość - powiedział. - Nie przewidziałem tego, że wykorzystasz pierwszą.

Jego nóż był dłuższy niż jej i tak samo ostry.

- Nie pozwól, by McQuarry się do ciebie zbliżał, kiedy jesteś sama.

Gdy księżycowa poświata padła na jego twarz, Isobel przekonała się, że Marc powiedział to ze śmiertelną powagą. Z podbitym okiem i rozciętym policzkiem wyglądał jak typowy żołnierz.

- Czterech mężczyzn czekało na mnie dziś wieczorem w zacisznej części zamku. Poznałem w nich ludzi Huntwortha.

- Wypuścili cię?

- Przekonałem ich do tego.

Beznadziejna samotność, której doświadczała przez tyle dni, nagle zapragnęła znaleźć ujście, więc Isobel się odwróciła. Nie chciała, żeby Marc wyczytał wszystko, czego pragnie, w jej oczach. Schowała nóż pod poduszkę, głęboko odetchnęła i dopiero wtedy znowu na niego spojrzała.

- Jak się tutaj dostałeś?

- Każdy korytarz ma swoje ciemne miejsca, do których nie dochodzi światło pochodni. Wykorzystałem to.

- Jeśli cię tu znajdą. Nie dał jej dokończyć.

- Nie znajdą. Dostałem wiadomość, że twoi ludzie z Ceann Gronna uzyskali przebaczenie, pod warunkiem że pozostaną w Fife i nigdy więcej nie wystąpią przeciwko woli króla. Myślę, że Dawid ich tam zostawi do czasu twojego powrotu do Ceann Gronna.

Isobel poczuła wielką ulgę, niemal radość. I to wszystko oczywiście dzięki Marcowi. Nikt inny na świecie nie ożywił tak jej uczuć.

- Dawid chciałby, żeby do dnia równonocy jesiennej zamek powrócił do normalnego stanu, więc spodziewaj się ślubu w końcu lata.

- Nie ma wśród nich ani jednego człowieka, którego chciałabym poślubić.

Przyłożył palce delikatnie do jej warg i uciszył ją.

- Pssst.

Rozległ się hałas w korytarzu, przechodzili jacyś ludzie, którzy późno skończyli uczto-
wać. Gdy znowu zapadła cisza, Marc odezwał się szeptem:

- Catriona McQuarry dała ci coś dziś w wielkiej sali, prawda?

Isobel uśmiechnęła się. Powinna była wiedzieć, że Marc zauważył tę wymianę. Zawsze
wiedział, co się wokół niego dzieje.

Podeszła do łóżka i wyciągnęła pierścionek spod materaca.

- O to. Chciała, żebym ci powiedziała, że twoim ojcem może być stary hrabia Huntworth.

Poznajesz?

Herb na pierścionku błysnął w blasku ognia.

- Urodziłem się tuż przed śmiercią matki jako owoc jej krótkiego romansu z mężczyzną,
z którym za nic nie powinna była iść do łoża. Skąd u lady Catriony myśl, że może chodzić o
starego Huntwortha?

- Powiedziała, że jesteś do niego podobny. Pokręcił głową i zwrócił jej pierścionek.

- Gdybym toczył moje bitwy, mając tak skąpe informacje, to nigdy nie wyszedłbym z
nich zwycięsko.

Widziała, że chce już iść. Spoglądał na drzwi i nasłuchiwał hałasów z zewnątrz. Ogarnę-
ło ją rozczarowanie.

- Przyjdiesz jeszcze?

Wydał jej się odległy i odmieniony.

- Spróbuję.

Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy zranionej w walce. Chciała poprosić go,
by został na noc aż do brzasku i przytulił ją tak jak w Ceann Gronna.

On jednak już otwierał drzwi i pouczał ją, by koniecznie je za nim zamknęła. Po chwili
cicho znikł wśród wydłużonych cieni.

Sieć niebezpieczeństw dookoła Isobel rozrastała się. Najpierw groziło jej oskarżenie o
bunt, a teraz coś nowego. Trzy niebieskie gwiazdy miał wryte w pamięci jak tatuaż.

Hrabia Huntworth? Skupił myśli na tej ewentualności. O Cameronie McQuarrym słyszał
wyłącznie złe rzeczy. Był podobno skłonny do przemocy i porywczy. Reputacji na pewno nikt
mu nie zazdrościł.

Że też to akurat miał być jego ojciec! Tylko dlaczego ta kobieta pokazała pierścionek
Isobel, a nie jemu?

Pamiętał też, że pierwszego wieczoru dostał anonimową wiadomość wsuniętą pod drzwi: „Miej oczy z tyłu i nie zadawaj pytań”.

Pytań o ojca czy o Isobel Dalceann? Gdy nie było go w pokoju, wartę na schodach trzymał Mariner i zauważył tylko jedną przechodzącą osobę - chudego, wysokiego chłopaka. Lady Catriona też była chuda i wysoka. Może to ona go ostrzegła?

Nic jednak nie składało mu się już w sensowną całość. Nic z wyjątkiem poczucia, że kiedy trzyma w ramionach Isobel Dalceann, czuje się jak w raju.

Lista wrogów dookoła wydłużała się, choć trudno było ustalić, kim konkretnie są. Stał jak wryty, porażony nową myślą. Może to jego obecność w życiu Isobel Dalceann sprowadza na nią niebezpieczeństwo i w końcu przyniesie jej śmierć?

Tak samo było z Madeline. Umarła z ręki człowieka, który go nienawdził. Czy to samo może zdarzyć się tu, w Szkocji?

Ostry ból przeszył mu serce. Nadszedł czas dowiedzieć się, kim właściwie był stary hrabia Huntworth.

Isobel uklękła w niewielkiej kaplicy i zaczęła się modlić. Nikt inny zdawał się nie korzystać z tego malutkiego sanktuarium. Dookoła płonęły świece, ich zapach unosił się w powietrzu. Zdziwiło ją więc, gdy z modlitewnego skupienia wyrwał ją głos.

- Tak myślałam, że pani tu jest. - Lady Catriona podeszła i usiadła. - Czy udało się pani pokazać pierścionek de Courtenayowi? - spytała cicho.

- Tak, ale on go wcześniej nie widział.

- Powiedział to pani?

Ton tych słów zmartwił Isobel. Zatopiła dłoń w fałdach sukni wierzchniej i zwróciła pierścionek właścicielce, a lady Catriona włożyła go sobie na palec.

- Czy pani mąż wspominał kiedyś o Marcu? - spytała Isobel.

- Nie, przy mnie nie. On nie był z tych, którzy lubują się w sztuce konwersacji, pani rozumie. Byłam jego żoną przez pięć lat i każdy dzień wydawał mi się wtedy wiecznością. Nie masz pojęcia, pani, jak straszne jest takie poniżające małżeństwo. Twój mąż, tak jak wszyscy mówią, był nieskuteczny, ale przynajmniej życzliwy. Ja miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy ojciec wysłał mnie do Stirling i prawie trzydzieści, gdy on w końcu umarł. Nie szukam teraz zemsty, tylko sprawiedliwości. Dziecko Huntworthów zaginęło w labiryncie historii, a majątek jest pokaźny. Patrzę na Marca de Courtenay i myślę, że powinien dostać szansę poznania swoich przodków.

Pierwszy raz od poznania Catriony McQuarry Isobel dostrzegła u niej maskowaną bezceremonialnością obawę.

- Dlaczego sądzisz, pani, że istnieje pokrewieństwo, skoro nie ma na to dowodów?

- Nie powiedziałam, że nie ma żadnego. Czasem gdy stary hrabia sądził, że nikt go nie obserwuje, wyciągał szkatułkę z pamiątkami. Na wszystkich co do jednej było nazwisko „De Courtenay”.

- Gdzie jest teraz ta szkatułka?

- Przypuszczam, że w Torwood. Nie jestem tam mile widzianym gościem, a Stuart McQuarry z pewnością nie będzie dla mnie szukał tej szkatułki.

- Czy sądzi pani, że gdyby Marc ją znalazł, mógłby dowieść swojego pochodzenia?

Kobieta bardzo zdecydowanie skinęła głową.

- Wiem, że go lubisz, Isobel, a jako zaginione dziecko tak wybitnego rodu Marc mógłby zostać jednym z kandydatów do twej ręki. Przed wieloma laty byłam do ciebie podobna i gdyby znalazł się ktoś, kto by mi pomógł, byłabym dzisiaj zupełnie inną osobą. Szczęśliwszą.

Pierścionek na jej palcu zabłysł w świetle świec. -

- Mój pasierb Stuart jest jednak niebezpiecznym przeciwnikiem i musicie być ostrożni w poszukiwaniu odpowiedzi. - Urwała na moment i zaczerpnęła tchu. - Nie mogę sama do pani przychodzić, bo jeśli Huntworth mnie zauważy, to postara się, żebym już z nikim nie mogła rozmawiać.

- Zabije panią?

Oczy jej gniewnie zabłysły.

- Kiedy Marc de Courtenay przebił mieczem Archibalda McQuarry'ego w Ceann Gronna, połowa moich problemów została rozwiązana. Za to też mam u niego dług wdzięczności.

- Jeśli będę mogła w czymś pomóc... Catriona nie pozwoliła jej dokończyć.

- Już mi pomogłaś, lady Dalceann, ponieważ widzę w pani kobietę, która nie pozwoli się podporządkować bezsensownej woli mężczyzn.

Następnego popołudnia w zamku znów zebrano się na ucztę, a Marcowi de Courtenay przydzielono miejsce przy królewskim stole obok Isobel.

Isobel nie umiała ukryć zaskoczenia, gdy go tam zastała, Marc bowiem nosił strój, w jakim dotychczas go nie widziała. Efektowną tunikę z rdzawego aksamitu miał przepasaną skórzanym pasem nabijanym klejnotami. Podobizna wilka była wyhaftowana na tunice przy szyi,

Gdy otaczali ich inni ludzie, Isobel nie wiedziała, jak się zachować. Sztywność konwensów i etykiety zupełnie bowiem nie pasowała do intymnej atmosfery nocnych schadzek. Marc spoglądał na nią tak, jakby nie pamiętał o ich bliskości i zwierzeniach.

- Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze na zamku, lady Dalceann - zwrócił się do niej jak obcy człowiek pytający o zdrowie.

- To prawda, sir Marcu. Powitano mnie tutaj bardzo ciepło.

Czuli na sobie oczy całego dworu. Isobel rozumiała jednak, że muszą odgrywać swoje role. Tu, na dworze, znaczenie miały wyłącznie polityka i wojna, miejsca na miłość nie było.

Miłość.

Zarumieniła się, wypowiadając w myślach to słowo, ponieważ najbardziej w tej chwili pragnęła położyć palce na śniadej dłoni Marca i mocno je zacisnąć.

Kiedy brał chleb, zauważyła u niego na palcu sygnet z wygrawerowanym herbem przedstawiającym dwa lwy i lilie. Insygnia Walezjuszków. Widziała je na rysunku w manuskrypcie trzymanym w kaplicy w Ceann Gronna. Po co Marc miałby nosić taki sygnet na dworze innego króla, gdyby jego roszczenia były niesłuszne?

A może te roszczenia wcale nie są niesłuszne. Wczoraj Marc twierdził, że nie poznaje herbu Huntworthów. Czy kłamał?

Chciała powiedzieć mu o swoich podejrzeniach i o wyznaniu Catriony McQuarry, ale nie było to właściwe miejsce. Byli w zamku Dawida, a jedno źle dobrane słowo mogło mieć poważne konsekwencje.

- Pańskie czyny we Francji są legendarne, sir Marcu. Czy zdarzało się panu brać udział w rycerskich turniejach w Burgundii?

Cóż za banalne pytanie! Innego jednak nie umiała wymyślić, bo przecież słuchał ich także jej sąsiad z drugiej strony.

- Raz czy dwa, ale od tamtej pory minęło już wiele lat.

Jasnowłosa Anne, księżna Kinburn, siedząca dalej przy ich stole, roześmiała się w sposób, jaki na dworze słyszało się często. Było w tym śmiechu dużo fałszu, nie było za to wesołości.

- Mógłbyś, panie, wziąć z sobą moje barwy w szranki, gdybyś tylko zechciał - powiedziała Anne przesłodzonym tonem. - Jak długo zabawisz w Edynburgu, sir Marcu?

Jej alabastrowa skóra i obiecujące krągłości były doskonale widoczne w sukni z dużym dekoltem, którą wybrała na tę okazję jako piękna kobieta doskonale umiejąca podkreślić swoje

wdzięki. Przyglądając się tej wymianie zdań, Isobel pierwszy raz w życiu żałowała, że nie zna takich kobiecych sztuczek.

- Wracam do Francji jeszcze przed zimą, lady Anne.

- Kolejny zamek do zdobycia? Skinął głową.

- Filip ma wielu wrogów.

- Tutaj sprawiłeś się wspaniale. Zamek Ceann Gronna wreszcie ślubował lojalność. To musi być ulga, lady Dalceann, znaleźć się z powrotem po właściwej stronie?

Czy księżna Kinburn mogła zadać takie pytanie zupełnie niewinnie? Isobel wiedziała przecież, że straciła Ceann Gronna, a wraz z zamkiem wielu wiernych i dobrych ludzi.

- Ulga nie jest słowem, którego bym użyła, lady Anne - odpowiedziała z pozorną lekkością w głosie.

- Może więc lepiej mówić o wdzięczności, lady Dalceann?

Isobel milczała, pochwyciwszy zielone spojrzenie Marca, ostrzegające przed gniewem.

- Proszę mnie puścić!

Ten głos przebił się nagle przez wszystkie inne i Isobel ujrzała Catrionę McQuarry, usiłującą wyszarpnąć rękę z uścisku wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyzny. Ten, jak się wydawało, nie zamierzał jednak posłuchać, ponieważ prawie ściągnął Catrionę z jej miejsca przy stole i zmierzał z nią ku drzwiom. Jej sąsiedzi nie zareagowali, najwidoczniej zdjęci paniką. Przyglądali się temu z minami ludzi, którzy nie chcą zostać zamieszani w żadną awanturę.

- Catriona McQuarry zawsze robi sceny - stwierdziła Anne z Kinburn, po czym beztrako wzięła skórkę od chleba i zamoczyła ją w sosie, który został jeszcze na jej talerzu. - Towarzystwo tego silnego człowieka może jej tylko wyjść na dobre. Może to właśnie ten.

Kilka osób roześmiało się. Ci, którzy byli bliżej, gapili się bezwstydnie na widowisko. Isobel zauważyła, że palce mężczyzny zostawiły wyraźne ślady na przedramieniu lady Catriony. Nawet minstrel grający na harfie w drugim końcu sali przerwał swoją melodię i patrzył na tę scenę z zainteresowaniem.

Catriona nie była kobietą, która ćwiczyłaby siłę fizyczną, nie znała też sztuczek, które nawet drobnej osobie mogą pomóc uwolnić się z opresji. W ogóle nie próbowała przejść do kontrataku, mimo że powinna.

Bez chwili zastanowienia Isobel wstała i podeszła do drzwi, do których zmierzali ci dwoje.

- Lady Catriona mówi ci, panie, że życzy sobie, abys ją puścił.

Mężczyzna w ogóle nie zwrócił na nią uwagi, więc po prostu pochyliła się nad nim i wykręciła mu rękę, tak jak kiedyś wiele razy pokazywał jej Ian podczas ćwiczeń na dziedzińcu Ceann Gronna. Mężczyzna zawył z bólu, okręcił się wokół osi, potknął o nogi ludzi siedzących na ławie za nim i głośno łupnął plecami o ziemię.

Catriona, cała drżąca, kurczowo chwyciła za ramię Isobel, jakby to od niej zależał cały świat.

- Nikt nie będzie cię zmuszał, pani, żebyś szła tam, gdzie nie chcesz - powiedziała Isobel.

Przy przeciągającej się ciszy w tle Isobel wzięła lady Catrionę za rękę i wyprowadziła z sali.

- O, nie! - Marc ze zgrozą przyglądał się scenie, która rozegrała się przed nim, ponieważ Isobel właśnie dała Huntworthowi poważny powód, by ją znienawidził. Wiedział, że powalony przez nią drab jest jednym z popleczników McQuarry'ego. W ciszy panującej dookoła zaczęły pojawiać się pierwsze nieśmiałe komentarze, dworzanie bowiem próbowali zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło.

- Czy lady Dalceann nie obawia się zemsty? - spytała ponad rosnącym gwarem Anne z Kinburn, a z jej tonu przebijało wyraźne uznanie.

- Myślę, że potrafi sobie dać radę, w razie gdyby do tego doszło - odpowiedział jej sąsiad.

- Catriona McQuarry bardzo się zmieniła, odkąd wyszła za męża. Co Isobel Dalceann zrobiła z ramieniem MacDougala?

- To chyba jakieś czary, bo nigdy nie widziałem, aby ktoś tak nieznacznym ruchem powalił takiego draba.

Ludzie w sali raz po raz spoglądali ku drzwiom, licząc, że może Isobel wróci. Wskutek nieoczekiwanego rozwoju sytuacji ich lęk znikł. Marc odchylił się do tyłu. Z najwyższym wysiłkiem panował nad wściekłością. Czy Isobel Dalceann nigdy nie bierze pod uwagę swojego bezpieczeństwa i czy zawsze on musi o tym myśleć za nią?

Była wspaniała, lecz również śmiertelnie niebezpieczna, a chwytu, który założyła mężczyźnie próbującemu uprowadzić lady Catrionę, Marc nigdy nie widział. Chociaż minęło już kilka chwil, nieszczęśnik nadal masował bolącą rękę.

Marc najchętniej wybuchnąłby śmiechem i wyszedł z sali za Isobel, wiedział jednak, że wywołałoby to pytania, których za wszelką cenę chciał uniknąć. Ludzie musieli zauważyć jego obojętność, jeśli liczył na to, że będzie mógł jakoś pomóc Isobel w Edynburgu.

Uniósł więc kielich i zwrócił się ku stołowi.

- Za dzielność. - Wstał i wzniósł toast.

Z nadzieją, że tymi słowami przeobrazi wzburzenie w szacunek, zaczął jeść mięso z postawionej przed nim tacy.

- Stuart wie, że dałam pani pierścionek - powiedziała lady Catriona, gdy usiadła na łóżku. Starala się opanować. - Muszę mieć rację, widocznie rzeczywiście istnieje związek między rodem McQuarrych a de Courtenayem, którego oni nie chcą ujawnić.

Słońce zaszło już przynajmniej godzinę temu, a ona wciąż się trzęsła.

- Nikt pani nie skrzywdzi, Catriono. Nie dopuszczę do tego.

- Na tym polega różnica między nami, nie rozumie pani tego? Kiedyś też byłam taka, a teraz... - Westchnęła zdjęta trwogą.

- Jest pani dzielna. Niewiele osób byłoby gotowych narazić się na gniew McQuarrych i pokazać mi pierścionek.

Twarz kobiety rozświetliła się i złagodniała.

- Zapomniałam już, czym jest nadzieja, póki nie przyjechałaś do Edynburga, Isobel. Tymczasem zamierzam wyjechać na północ, do domu mojego ojca. Nie mogę już być pewna swojego bezpieczeństwa w Edynburgu. Naturalnie gdybyś, pani, potrzebowała schronienia, serdecznie zapraszam.

- W tej chwili jestem zależna od woli króla, ale może kiedyś...

Isobel spodobał się przyjazny uścisk dłoni, jakim pożegnała ją Catriona, gdy nadszedł królewski służący i poprosił, by stawiała się u króla. Wyglądało na to, że monarcha, dobrze znający wszystkie stronnictwa na dworze, rozsądził sprawę słusznie i zapewne miał nadzieję, że wpływy ojca lady Catriony wystarczą, by gwarantowało to jej bezpieczeństwo.

Marc czekał na zewnątrz oparty o mur. Nieco dalej stali dwaj ludzie króla i przyglądali mu się z zainteresowaniem. Odepchnął się od gładkich kamieni, gdy zobaczył nadchodzącą Isobel.

- Czy masz ochotę na spacer, lady Dalceann?

Spojrzała mu w twarz. Człowiek z dystansem w zachowaniu i obojętnością w oczach znikł. Ten Marc de Courtenay był bliski furii.

Ucieszyło ją, że ogród, do którego doszli, jest opustoszały. Chłodny wiatr podwiewał jej spódnice, przytrzymała więc materiał, by pozostał mniej więcej tam, gdzie powinien, i czekała, aż Marc się odezwie.

- W takich miejscach jak królewski dwór istnieją pewne reguły zachowania, których rozsądnie jest przestrzegać - zaczął. - Niedrażnienie tych, którzy mają władzę i wpływy, jest regułą fundamentalną.

Każde słowo wymawiał z wyjątkową starannością, prawie nie było słyhać jego francuskiego akcentu.

- Mówisz bez wątpienia o Catrionie McQuarry. Ten człowiek ciągnął ją wbrew jej woli i...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- To był jeden z ludzi Stuarta McQuarry'ego, a bezpieczeństwo w Edynburgu opiera się na tym, żeby udawać osobę, którą się nie jest.

Ze słońcem we włosach w ogóle nie przypominał wojownika, którego wszyscy obchodzili na palcach. Był za to ucieleśnieniem swojej teorii. Isobel miała serdecznie dość prób zrozumienia tego człowieka.

- W tym akurat jesteś świetny! - stwierdziła. - Nie jesteś Huntworthem, ale stary hrabia miał szkatułkę z pamiątkami i twoje nazwisko było na każdej z nich. Nie płynie w twoich żyłach królewska krew, tle sygnet, który nosisz, zdobi herb burgundzkich Walezjuszków. Kupiec bławatny. Wojownik Zdrajca. Kochanek. Egzekutor królewskiej woli za sowite wynagrodzenie, który jednak wciąż wierzy w sprawiedliwość prawa. - Roześmiała się szyderczo. - Jest tak wielu Marców de Courtenay, że sam zapomniałeś, kim jesteś naprawdę.

Zieleń jego oczu miała w tej chwili odcień sosen w Ceann Gronna, zwieszających ciemne, poszarpane gałęzie nad północnym urwiskiem.

- Och, dokładnie wiem, kim jestem. Bękartem. Moją matkę uwiódł cudzoziemiec, który potem wyjechał z Francji i zostawił ją pohańbioną. Miała na imię Beatrice, i była kuzynką króla, zbyt niewinną, by rozumieć, że słowa i zachowanie podróżującego szkockiego arystokraty są pełne fałszu. Z takimi ludźmi masz do czynienia również tutaj. Mężczyźni starają się wykorzystać każdą okazję i biada tym, którzy wejdą im w drogę. Dopilnują, byś znalazła się w izolacji, i ciesz się, jeśli na tym poprzestaną. Jesteś bardzo łatwym celem, bo twój ojciec był buntownikiem niespełna rozumu, a twój zamek przedmiotem wielu błazeńskich żartów.

Tylko mity i plotki! Była rozczarowana jego argumentacją.

- Wobec tego zginę w walce, mając po swojej stronie sprawiedliwość i prawdę.

Pokręcił głową. Jego głos zabrzmiał teraz ciszej, a biła z niego absolutna pewność.

- Nie. Umrzesz, tak jak umiera Catriona McQuarry i jak umarła moja matka, ponieważ tacy ludzie jak Huntworth zabijają powoli, odbierając nadzieję i pozbawiając całej radości życia.

- Król dowie się o tym, jak człowiek Stuarta McQuarry'ego skrzywdził Catrionę. Jej ojciec też jest potężny.

- Król będzie słuchał, dopóki nie ogłuszy go brzęk worka z monetami.

- McQuarry mógłby go przekupić, żeby dostać moją rękę? - W jej głosie odbiła się trwoga.

- Bez wątplenia to zrobi. A sąd będzie pamiętał, że jako pozbawiona opieki i przewodnictwa kobieta Dalceannów potrzebujesz od wpływowego lorda surowego pouczenia o miejscu kobiety.

- Nie wierzę ci.

- Spytaj więc lady Catriony.

Isobel odwróciła się od niego, usiłując jakoś uporządkować to, co właśnie powiedział. Boże, intrygi w jej zamku w Fife były niczym w porównaniu z tym, co się działo tutaj. Wszystko, co mówił Marc, zaczynało się powoli układać w całość.

Była nowicjuską w grach, w które Marc grywał od lat na dworach Europy. I właśnie w tej sekundzie zrozumiała swoją lekkomyślność.

Wplątała go w to wszystko, w co i ona była wplątana. Nic dziwnego, że był taki wściekły.

- Zwalniam cię, sir Marcusie, z wszelkich obowiązków, do jakich możesz się poczuwać w związku ze mną, moim bezpieczeństwem i dobrym samopoczuciem.

Chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Nie kpij za mnie, lady Dalceann. Dobrze wiesz, że nie mogę ot tak odejść i o tobie zapomnieć. Wciąż płonie w nas ten sam ogień, który roznieciliśmy w Ceann Gronna.

Nieco dalej zauważyli ludzi idących alejką. Z wysokich zamkowych murów obserwowali ich strażnicy. W Edynburgu trudno było znaleźć miejsce sprzyjające swobodnej rozmowie, gdzie nikt nie patrzył ani słuchał.

- Nie rozstawaj się z nożem i nie wchodź w ciemne zakamarki zamku sama.

Po tych słowach Marc odszedł i przekroczył bramę prowadzącą na dziedziniec zewnętrzny. Promienie słońca igrały z jego postacią, oświetlając ją z każdym krokiem inaczej. Po chwili zniknął w grupie elegancko ubranych mężczyzn i dam.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Brak snu zaczynał skutkować u Marca bólem głowy, który przez cały dzień dojrzewał, pulsując w skroniach. Miał za sobą trzy noce służby wartowniczej przed wejściem do pokojów lady Isobel Dalceann. Zaczynała się czwarta i rozwidlenie konarów w ogrodzie, na którym miał swój punkt obserwacyjny, nie wydawało mu się już tak wygodne jak na początku. Ale największe niebezpieczeństwo groziło Isobel przed świtem, kiedy cały zamek spał, bo wtedy tym, którzy mieli złe zamiary, łatwiej było się przemieszczać.

Odgarnął włosy z czoła i szybkimi ruchami zaczął masować skronie. Jeszcze kilka godzin i będzie bezpieczniej. Jeszcze kilka godzin i będzie mógł położyć się spać.

Nagle w półświatle dojrzał cień człowieka. Natychmiast zeskoczył na ziemię i wyciągnąwszy nóż, zajął pozycję. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył jednak, że przyzywa go Isobel Dalceann.

Pokonał dzielącą ich odległość w ciągu trzech oddechów.

- Co, do diabła, robisz poza swoim pokojem?

- Próbuję cię znaleźć - odpowiedziała. Włosy miała potargane, policzki zaróżowione. - Nie było cię ostatnio na dworze, więc dzisiaj spytałam Marinera o przyczynę.

- Powinien był siedzieć cicho.

Rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł najmniejszego ruchu, mimo że księżyc w pełni wszystko oświetlał. Odetchnął głęboko i trochę się uspokoił.

- Czy możemy porozmawiać? - spytała.

- Nie tutaj.

- W moim pokoju?

Zesztywniał, słysząc tę propozycję. Tak bardzo jej pragnął, że nie mógł sobie ufać, gdyby miał z nią zostać sam na sam. Z drugiej strony spotkanie w pomieszczeniu było znacznie bezpieczniejsze.

- Proszę.

Właśnie ta prośba przechyliła szalę. Poszedł za nią schodami na górę, do jej komnaty. Najpierw upewnił się, że zostawiają za sobą dobrze zamknięte drzwi. Potem stanął z rękami splecionymi z tyłu.

- Miałaś rację. Dwór jest bardziej niebezpieczny, kiedy ludzie nie są ciebie pewni. - Mówiła cichym, znużonym głosem. - Oni znowu sądzą, że jestem czarownicą. Nawet Dawid podejrzliwie mi się przygląda.

- Czarownicą? - powtórzył i uśmiechnął się. - Może ci to nawet pomoże. Czarna magia czyni tchórzami tych, którzy w nią wierzą.

- A ty wierzysz?

Pokręcił głową.

- Jestem żołnierzem i wierzę w wyszkolenie.

Ich spojrzenia się spotkały i na chwilę obydwójce zastygli. Siła Isobel dodała Marcowi otuchy.

- Gdybym tak po prostu znikła, to czy Dawid ukarałby za mnie tych, którzy zostali w Ceann Gronna?

Wiele razy sam zadawał sobie to pytanie, ale odpowiedzi nie znalazł. Gdyby wiedział na pewno, że król okaże łaskawość, zabrałby Isobel z Edynburga w jedną sekundę.

- Nie mogłabym dalej żyć, gdybym dowiedziała się, że za cenę mojej wolności Dalceanowie definitywnie znikną. Stąpienie po grobach bliskich nie jest lepsze od śmierci.

- Wciąż jest jeszcze czas, by wpłynąć na króla, zanim ogłosi twoje zaręczyny, a w polityce na dworze nawet jeden dzień może czynić różnicę.

- Widzisz jakieś wyjście z tej sytuacji? Dla nas?

Dla nas. Poruszyły go te słowa. Boże, jak bardzo chciał, by mówili o sobie „my”.

- Zawsze jest jakiś sposób, żeby dostać to, czego się chce. Przy końcu tygodnia ma się odbyć wycieczka do Dunfermline jako rozrywka dla królewskiej świty. Huntworth wykorzysta tę okazję, by spróbować mnie zabić.

- Skąd to wiesz?

- Lata spędzone na wojnach i europejskich dworach nauczyły mnie zdobywać informacje i przewidywać posunięcia wrogów.

- Ale jak i gdzie?

- Na wodzie. Prawdopodobnie skorzysta z tego, że latem nad wodą gromadzi się mgła, w której spróbuje się ukryć.

- Trzeba powiedzieć królowi o tym zdradzieckim czynie, zanim do niego dojdzie.

Przechylił głowę i roześmiał się. Jej troska była słodka, ale on potrzebował szansy na otrzymanie sprawiedliwej nagrody.

- Nie, Isobel - powiedział w końcu, gdy się uspokoił. - Musimy pozwolić Stuartowi McQuarry'emu, żeby skompromitował się na całej linii.

Jest taki piękny, pomyślała Isobel. Świeży zarost na jego policzkach połyskiwał w świetle księżyca. Mariner powiedział jej wcześniej, że Marc pilnuje nocami jej komnaty, aby była bezpieczna.

Jej obrońca i wybawiciel.

Wiedziała, że nigdy nie będzie tak czule traktowana w towarzystwie innego mężczyzny, więc lęk, że mogłaby go stracić, bo nienawistny szaleniec chce go zgładzić, prawie odbierał jej zmysły.

Zbliżyła się do niego i ujęła za rękę. Jego ciepło i siła były krzepiące, pozwalały łatwiej znieść prawdę, którą jej wyjawiał, tym bardziej że to rzadki dar na dworze pełnym kłamstw. Podobano się jej, że ich palce się splotły.

- Jeśli McQuarry chce cię zabić, to musi sądzić, że jest przynajmniej trochę prawdy w tym, co powiedziała Catriona.

Położyła sobie jego palce na piersi i przyglądała mu się. Od pełnej nagości dzielił ją tylko cienki jedwab koszuli nocnej. Jeśli miała skończyć w małżeństwie z rozsądku wydana za męża przez króla, to chciała wykorzystać czas, który jej pozostał, by zgromadzić niezapomniane przeżycia.

- Tu i teraz - powiedziała. - Jesteśmy sami we dwoje, korzystajmy z tego.

Isobel czuła silne pulsowanie w podbrzuszu, a po plecach przebiegł jej dreszcz. Nie mogła się opanować i dotknęła jego męskości.

- Och, kochana - szepnął w odpowiedzi i obrócił jej twarz ku swojej. - Nie powinniśmy, ale...

Złożył na jej ustach pocałunek, aby po chwili dać się porwać namiętności.

Marc de Courtenay był dla niej niczym bezpieczna przystań. Przy nim nikogo ani niczego się nie bała. Imponował jej przede wszystkim dlatego, że szedł przez życie z wielkim zdecydowaniem. Nic, co znalazło się na jego drodze, nie mogło go zatrzymać.

Wyjątek stanowili królewscy kandydaci do jej ręki.

Pokręciła głową. Nie teraz, powiedziała do siebie w duchu. Nie wolno jej było teraz o tym myśleć.

- Chcę cię - szepnął i oparty o ścianę przyciągnął ją do siebie. - Chcę cię, kiedy budzę się rano, i potrzebuję cię, gdy zasypiam wieczorem.

Uniósł jej ramiona i chwilę potem jedwabna koszula nocna leżała już na podłodze. Wolno przesunął wzrokiem po jej ciele, starając się, by nie umknął mu żaden szczegół. Piersi zachęcająco sterczały i czekały na jego dotyk.

Isobel nie bardzo mogła zrozumieć, jaką magią posłużył się Marc. Jaka siła połączyła ich w tak doskonały sposób? I nagle ogarnęła ją taka słabość, że z trudem utrzymała się na nogach.

Dokładnie wiem, co robić, pomyślała. Wiem już, jak kochać mężczyznę całym sercem.

Niewiele brakowało, a powiedziała by to głośno. Nie znalazła jednak w sobie dość odwagi, by wypowiedzieć te słowa.

Najpierw go przytul, mówił jej wewnętrzny głos. Rozchyliła nogi, by wpuścić tam męską dłoń i wtuliła się w jego objęcia.

Ten żar rozlewający się po jej ciele, sięgający coraz głębiej, porywał ją ze sobą. Przypominał, co się działo, gdy wybuchał wcześniej, i rozbudzał wyobraźnię myślami o tym, co stanie się za chwilę. Był nie do opisania.

Marc delikatnie przesunął dłonie po jej pośladkach, a ona zamknęła oczy i cieszyła się tym, że czuje dotyk jego męskości i ciężki oddech na policzku. Marc tuż przy niej, a potem w niej, prowadził ją prosto do zmysłowej ekstazy coraz mocniejszymi pchnięciami, które unosiły ją coraz wyżej i wyżej, ku szczytowi przyjemności. Głuszył namiętnymi pocałunkami jej krzyki i jęki rozkoszy.

I wkrótce spełnienie nadeszło, mimo że Isobel próbowała je powstrzymać. Chwytała powietrze ustami, gdy wszystkie mięśnie w jej ciele gwałtownie się napięły, a ona wyprężyła ciało.

Była wniebowzięta i zaspokojona. I czuła jedynie ulgę.

- *Mon Dieu.*

Marc nagle znieruchomiał, a wyraz opanowania, który zwykle widziała na jego twarzy, nagle znikł, gdy patrząc jej prosto w oczy, wypełniał ją swym nasieniem. Tej chwili nie zakłócały im żadne myśli.

Trzymała go mocno przy sobie, pragnąc od niego wszystkiego, czego jeszcze jej nie dał. Patrzyła tak, by z oczu mógł odczytać wszystkie jej doznania. Nie pozwoliła mu cofnąć się ani odrobinę, gdy księżyc wyszedł zza gęstej zasłony chmur i oświetlił ich ciała. Łza szczęścia potoczyła jej się po policzku. Marc zręcznie zebrał ją językiem, a potem przyłożył czoło do chłodnej ściany.

- Och, moja Isobel...

- Kocham cię.

Nie zamierzała tego powiedzieć, ale te słowa same wydobyły się z jej ust, chyłkiem, i jak złodziej ukradły jej wolną wolę.

Godzinę później Marc wyczerpany tulił ją w łóżu, ciesząc się ciepłem jej oddechów, gdy spała na jego ramieniu. Nie pamiętał żadnej innej kobiety, w której z własnej woli pozostawiłby swoje nasienie. Ta myśl sprawiła, że mocniej zacisnął ramiona. Rozumiał bowiem dobrze, jakie miejsce w świecie zajmuje bękart, dziecko urodzone z nieprawego łoża.

Porwana rozkoszą Isobel powiedziała, że go kocha, szepnęła mu to do ucha zamroczona zmysłowością. Nie mógł odpowiedzieć słowami. Jeszcze nie - nie wtedy, gdy król i baronowie snują wobec niej własne plany. I nawet jeśli wszystkim chodziło tylko o zamek Ceann Gronna, nie miało to znaczenia. Isobel była pionkiem w grze, mającej reguły, których on, Marc, musiał skrupulatnie przestrzegać, jeśli chciał wygrać.

Tak czy inaczej, należała do niego. Wiedział, że już nie pozwoli jej odejść.

Wyczuł, że się zbudziła, bo zmienił się jej oddech.

- Która godzina?

Wyjrzał przez okno i sprawdził, gdzie jest księżyc.

- Chyba około trzeciej.

Wiedział, że nie zostało im już wiele czasu.

- Zostaniesz jeszcze trochę.

Nie było to pytanie. Isobel uniosła się na łokciach. Była całkiem naga i miała potargane włosy. Marc pomyślał, że chyba nigdy nie wyglądała piękniej niż właśnie w tej chwili.

Jest jego!

Uśmiechnął się, ponieważ pierwszy raz w życiu spotkał kobietę, która nie próbowała żadnych gier, gdy patrzyła mu prosto w oczy i ofiarowywała wszystko.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Powiedziała Marcowi de Courtenay, że go kocha i od tej pory prawie go nie widywała porwana wirem dworskich rozrywek, Dawid bowiem nalega, by praktycznie we wszystkich brała udział.

Popelniła błąd, czyniąc takie wyznanie, i wiedziała to od pierwszej chwili. Dwa krótkie słowa, a tak go przestraszyły.

Nie dowiedziała się od Marca niczego więcej na temat spodziewanej tego dnia wycieczki łodziami do Dunfermline, chociaż słyszała, że Marc ma się znaleźć w bezpośrednim otoczeniu króla.

Z własnych jednak źródeł, czyli od sownie opłaconego młodego giermka, dowiedziała się, że Marc będzie płynął na końcu, w otoczeniu swoich ludzi. Mariner przyjął te wieści z dużym zadowoleniem, co również mocno skłaniało do zastanowienia. Świetnie wiedziała, że jeśli de Courtenay i jego poplecznicy chcą zachować coś w tajemnicy, to nie pisną ani słowa.

Helen Cunningham była przed wycieczką niepewna siebie i rozdrażniona. Od samej myśli o pływaniu po morzu bolała ją głowa. Isobel przywiozła z sobą trochę ziół, którymi kiedyś oszołomiła Marca na leśnej polanie, mogła więc zaproponować swojej damie do towarzystwa napar na uspokojenie.

Dziesięć minut później, gdy Helen już smacznie spała, Isobel wysłała wiadomość do króla. Napisała, że uznała za stosowne poświęcić dzień opiece nad swoją towarzyszką, która nie domaga.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak łatwo przyszło jej zyskać trochę czasu dla siebie, po czym przebrała się we wzięty na wszelki wypadek męski strój, na głowę nisko nasunęła kapełusz i wybrudziła się węglem z kominka. Wyglądała teraz jak młody chłopak, który dawno nie miał ani ochoty, ani okazji, żeby się wykąpać. Chłodna, nadciągająca znad morza gęsta mgła sprzyjała stworzeniu iluzji.

Doskonale!

Nie oglądając się za siebie, Isobel opuściła pokój i udała się na brzeg. W przybieraniu męskiej postaci miała wprawę, przecież przez wiele lat nosiła nogawice.

Nikt nie zwrócił uwagi na młodzieńca, który mijał płynące na drugi brzeg zatoki łodzie z królem i jego świtą. Ten pogapił się trochę z zaciekawieniem, po czym znikł w porannej mgle nad Forth.

Marc powinien był przewidzieć, że wycieczka dworu nie przebiegnie zgodnie z planem, rozumiał więc, że znalazł się w kłopotcie, gdy lady Anne z Kinburn, jej mąż i dwaj inni arystokraci w towarzystwie kobiet przyszli prosić o przewiezienie na drugi brzeg do Dunfermline po tym, jak spóźnili się do łodzi, w których mieli miejsca.

Ponieważ nie było już innych możliwości transportu, nie mógł odmówić, nie wywołując tym pytań, które niewątpliwie padłyby, gdyby Huntworth nie zrealizował swojego planu. Usadził więc nieoczekiwanych pasażerów na rufie, przy stertach lin i żagli, jak najdalej od wiosłarzy, na których wybrał najbardziej krzepkich ze swoich ludzi.

Łódź była nieduża, łatwa w manewrowaniu, płynęło nią dziesięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy, Marc nie sądził więc, by mogli mieć kłopot z odparciem ewentualnego ataku.

- Wiem, oczywiście, że należało przyjść wcześniej, ale sądziłam, że mgła opóźni odjazd - powiedziała księżna Anne.

Jej mąż nie wydawał się uszczęśliwiony.

- Gdybyś poświęciła kilka godzin mniej na układanie fryzury, Anne, zdążylibyśmy w porę.

Te małżeńskie swary trwały jeszcze długo po wypłynięciu, gdy znaleźli się na środku zatoki, mniej więcej pół godziny drogi od drugiego brzegu.

Mgła cały czas gęstniała, a gdy fale stały się silniejsze, rozpętało się piekło.

Isobel widziała Marca, stojącego z żołnierzami nie dalej niż pięć metrów od niej, choć zarysy postaci coraz bardziej rozmywały się we mgle. Jej podniecenie mieszało się z obawą. Naciągnęła kapelusz głębiej na głowę i nieco przesunęła płótno, pod którym znalazła schronienie. Przy okazji jej wzrok padł na niedużą bliznę na dłoni.

Ochrona. Nierozzerwalnie związani ze sobą jak morze z brzegiem, dwie części jednej całości. Zacisnęła dłoń na nożu i zmrużywszy powieki, starała się dostrzec, czy przez mleczną biel nie zmierza ku nim żadna inna łódź.

Pojawiła się nie wiadomo skąd chwilę potem. Uderzyła w nich z całym impetem.

Isobel poczuła wstrząs i usłyszała głośny trzask łamiącego się drewna. Wskoczywszy z kryjówki pod żaglem, stanęła twarzą w twarz z księżną Anne, która zastygła w bezgłośnym krzyku. Jej towarzysze siedzieli zdrętwiali ze strachu na miejscach, które im wyznaczono.

Trzymając w ręku nóż, przepchnęła się obok nich. Łódź była uszkodzona przy dziobie i tam właśnie stali w półkolu z wyciągniętymi mieczami Marc i jego ludzie, gotowi do odparcia ataku.

- Zostańcie na miejscach! - krzyknęła do grupki arystokratów. - Na samej rufie!

Zrobili dokładnie tak, jak im kazała. Rozległy się głośne i przejmujące szlochy dwóch kobiet.

Ludzie McQuarry'ego wskoczyli na łódź ze zręcznością zahartowanych marynarzy, którzy doskonale wiedzą, że na morzu kołysze. Isobel obaliła i wypchnęła za burtę pierwszego mężczyznę, który ruszył w jej kierunku, korzystając z chwili, gdy fala zachwiała jego równowagę.

Marc krzyknął, odwróciła głowę i ujrzała następnego napastnika z boku. Bez paniki dźgnęła go w udo i odprowadziła wzrokiem, gdy śladem pierwszego runął w głębiny.

Na dziobie trwała zaciekle walka, szczęk broni zakłócał spokój przedpołudnia. Isobel widziała, że Marc, walcząc, powoli przesuwa się w jej stronę. Zadawał śmiertelne ciosy z tą samą pewnością, którą pamiętała z Ceann Gronna.

Gdy dotarł do niej, chwycił ją za ramię i wciągnął za siebie, żeby znalazła się w możliwie bezpiecznym miejscu.

- Jak, u diabła, dostałaś się tutaj?

Nie miała czasu odpowiedzieć, bo z mgły wyłoniła się druga łódź, płynąca z pełną szybkością prosto na nich. Stuart McQuarry, stojący przy sterze, wykrzykiwał rozkazy. Marc wyciągnął ramię za siebie, by ją przytrzymać. Jego chwyt jednak nagle osłabł, a on sam się zachwiał. Odłamek pękniętego wiosła uderzył go z wielką siłą i wbił mu się głęboko w ciało.

Krew z jego ramienia ciekła prosto na Isobel. Kapelusz, który miała na głowie, spadł w wyniku uderzenia, więc Marc był teraz cały opleciony jej włosami.

Nie mógł uwierzyć, że jest ona na łodzi i że wyszło to na jaw akurat w chwili, gdy ten sukinsyn Huntworth zaatakował. Anne z Kinburn z głośnym krzykiem wywinęła koziołka i wpadła do morza. Jej spódnice nadeły się i wyglądała teraz niczym wielka meduza, żółta na tle szarej wody.

Mariner leżał na dnie łodzi. Marc miał nadzieję, że jego człowiek stracił równowagę podczas zderzenia, a nie od ciosu mieczem. Nie spodziewał się drugiej łodzi i nie był na taką sytuację przygotowany. On, który zwykle przewidywał wszystkie posunięcia wroga, tym razem zawiódł.

Dlaczego?

Ponieważ gdy tylko zauważył, że Isobel jest w niebezpieczeństwie, całą uwagę skupił na niej. Wciąż nie chciał jej puścić, mimo że dookoła niego działy się straszne rzeczy. Chciał ją

chronić, zadbać, by była bezpieczna. Nie przeżyłby, gdyby zginęła. Swym wielkim duchem i dzielnością Isobel Dalceann podbiła jego serce bez reszty.

Boże! Nogi się pod nim ugięły i osunął się na deski łodzi, czując ogłuszające pulsowanie krwi w skroniach.

- Ja też cię kocham - powiedział, gdy obrócił głowę i wycisnął na jej ustach szybki pocałunek.

W sprawnej ręce przez cały czas trzymał miecz, by w razie potrzeby odeprzeć atak.

Zobaczył jej zdumioną minę i dołki przy kącikach ust, na których pojawił się uśmiech. Krew z jego ramienia zaplamiła jej tunikę.

To był ulotny moment miłości w bitewnym zgiełku. Marc też uśmiechnął się pod nosem, ponieważ jakoś pasowało mu to do całej historii ich znajomości. Ośrodek spokoju w wielkim wirze. Chwilę potem Isobel już nie było. Skoczyła za burtę do krzyczącej z całych sił Anne z Kinburn.

Kochał ją. Pocałował ją publicznie i na pewno wiedział, co mówi. Radość dosłownie ją rozpierała. Widziała, jak na łodzi błyska miecz Marca. Wyglądał jak nauczyciel wśród uczniów. Gdy się na niego patrzyło, zdawało się, że nie wkłada w walkę żadnego wysiłku.

- Boże, zachowaj go przy życiu, chroń go - modliła się szeptem.

Gdyby miała stracić go teraz, gdy wyznał jej swoje uczucie... Nie, nie wolno jej było o tym myśleć.

Dopłynęła do Anne i chwyciła ją tak, żeby twarz pozostawała nad wodą.

- Nie rzucaj się, dociągnę cię do łodzi - powiedziała i zaczęła ją holować.

Anne posłuchała. Chwilę potem opierała już ręce na burcie łodzi.

- Głowę trzymaj poniżej burty. Będzie bezpieczniej. Nie puszczaj deski, płynę po tamtych.

- M-m-mój m-mąż...?

Zęby głośno jej szczękały, zmięty kapelusz napełniony wodą ciągnął ją w dół. Isobel do-
była noża i szybko przecięła jego tasiemki, po czym popłynęła w kierunku mężczyzn. We mgłę
byli niewidoczni, ale krzyki wskazywały drogę.

Marc nigdzie nie widział Isobel i coraz bardziej się niepokoił jej nieobecnością. Hun-
tworth znajdował się niemal na wyciągnięcie ręki, jego ludzie stracili dużo sił w potyczce, dru-
ga łódź napastników miała mocno zanurzoną rufę, co wskazywało, że szybko nabiera wody.

Zostało ośmiu agresorów i sześciu ludzi po ich stronie. Nie tak źle. Zrobił krok naprzód i stanął twarzą w twarz ze Stuartem McQuarrym.

- To za mojego brata, de Courtenay, za jego krew na twoich rękach, przelaną w Ceann Gronna.

Marc roześmiał się złowieszczo.

- Och, był martwy znacznie wcześniej, zanim zginął w hańbie z nogawicami opuszczonymi do kolan. Łatwo było go dopaść. Miał o sobie zbyt wysokie mniemanie i był zbyt chciwy. Może to rodzinne cechy?

Huntworth parsknął.

- Przyjechałeś do Szkocji jako podopieczny króla Francji i próbujesz wkraść się w łaski Dawida. Jesteś natrętem i bękartem.

Zamachnął się mieczem i uderzył, ale Marc sparował cios. Jeszcze nie chciał go zabić, bo wcześniej musiał się jak najwięcej dowiedzieć o swoim ojcu.

- Niektórzy twierdzą, że mój ojciec był szkockim hrabią. Może dziwnym zbiegiem okoliczności twój również?

Uśmiechnął się, widząc, jak przeciwnikowi krew napływa do twarzy.

- Lady Catriona plecie co jej ślina na język przyniesie.

Stuart McQuarry przystanął, żeby złapać oddech. Opuścił miecz, którego głownia głośno stuknęła o deski łodzi.

Marc czekał. Prawda była tuż-tuż, wyczuwał to, wystarczyło jeszcze chwilę porozmawiać.

- Ona mówi, że jest dowód.

Z rozbieranymi oczami Stuart wyglądał na jeszcze bardziej szalonego niż zwykle.

- Mój ojciec zapłacił ciotce, żeby trzymała cię z dala od nas. Nie chcieliśmy, żeby to się wydało. I plan działał, dopóki Filip cię tu nie przysłał. Bo wtedy zacząłeś węszyć.

- Czyli jesteś moim bratem? Świadomość tego przejęła Marca zgrozą.

- Nie. Kuzynem. Quinlan, najmłodszy brat mojego ojca, chciał cię między nami, żeby mieć dziecko spokrewnione z królewskim dworem we Francji. On był zakałą rodu!

- Dlatego go zabiliście?

Potyczka dookoła straciła na znaczeniu. Marca całkiem pochłonęło to, co właśnie usłyszał.

- Ktoś musiał uratować nazwisko Huntworthów przed wystawieniem na pośmiewisko. Archibald i ja zdecydowaliśmy, że to nasz obowiązek.

Marc zaklął. Wiedział już dość. Usłyszał to, co chciał.

- Wobec tego kiedy już dotrzesz do piekła, przekaż swoim braciom i ojcu, że ci się nie udało.

Jednym sztychem wbił głównię miecza w serce kuzyna i przez chwilę patrzył, jak gaśnie życie w jego oczach.

Chwilę później było po walce. Ostatni zwolennik Huntworthów wypadł za burtę i zniknął w morskiej toni.

Jeden z ludzi Marca wciągnął bez trudu do łodzi wciąż kurczowo uczeponą burty Anne z Kinburn. Wkrótce dołączyli do niej mąż i jeden z przyjaciół. Ich ubrania ociekały wodą. Brakowało jednak drugiej kobiety i Isobel.

Minęło dziesięć minut, odkąd wyskoczyła za burtę. Marc gorączkowo rozglądał się dookoła.

- Isobel! - krzyknął i zamienił się w słuch, wyczekując odpowiedzi.

Inni ludzie na łodzi też zaczęli ją wołać. Mgła zgęstniała i nie było już widać dosłownie niczego.

- Isobel! Wciąż cisza.

Marc zrzucił buty i skoczył do wody. Opłynął łódź, żeby sprawdzić, czy nie natrafi gdzieś na Isobel trzymającą się burty resztką sił. Nic z tego, postanowił więc odpłynąć nieco dalej. Ramiona omdlewały mu z zimna, dawało mu się we znaki zranione odłamkiem wiosła ramię.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. - Isobel! Isobel! Isobel!

Wołał, póki nie ochrypl. Fale powoli rosły, zakrztusił się wodą. Wciąż jednak pływał na oślep dookoła z nadzieją, że natrafi na jakikolwiek ślad. Pierwszy raz w życiu zapłakał. Ciepłe łzy mieszały się na jego policzkach z lodowatą, słoną wodą.

Nie cierpiał tak nawet wtedy, gdy stracił Guya. Ten ból był niewyobrażalny, wręcz zabójczy. Zacisnął pięść i wygrażając niebu, próbował wykrzyknąć swój gniew.

Jego łódź wyłoniła się nagle z mgły, więc zręcznie wciągnął się do środka i jeszcze przez dłuższy czas kierował wiosłarzy, żeby szukali to tu, to tam.

Księżna Kinburn płakała, co Marca piekielnie irytowało, zwłaszcza gdy myślał o tym, co ten płacz znaczy. Reszta jego ludzi siedziała przy burcie i wypatrywała jakichś oznak życia w wodzie, a łódź kręciła się bez celu.

Cztery godziny później Marc wiedział już, że stracił Isobel. Woda w zatoce Forth była w tym miejscu tak lodowata, że nikt nie przeżyłby w niej tyle czasu.

Wszystko straciło dla niego sens. Zakrwawiony rękaw jego okrycia, brak tchu, słońce, które w końcu przebiło się przez chmury i sprawiło, że morze stało się jeszcze bardziej puste niż we mgle.

Dopłynęła do nich druga łódź, na którą przesadzono Anne, jej męża z przyjacielem oraz Marinera z kilkoma ludźmi. Sam Marc postanowił zostać jednak na wodzie, bo wioślarze zgodzili się szukać dalej.

O zmierzchu wiedział już, że dalsze poszukiwanie nie ma sensu, i z rozpaczą dał ludziom sygnał do powrotu. Odpłynęli do przystani, którą opuścili dobre dziesięć godzin wcześniej.

TTLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ludzie byli życzliwi, a ogień z paleniska rozgrzewał. Lady Linda Carr siedziała obok Isobel, płacząc. Była czerwona na twarzy i pełna skruchy.

- Przepraszam, lady Dalceann, ale nie mogłam ich powstrzymać.

Isobel próbowała skupić wzrok na tym, co dzieje się wokół niej. Wiedziała, że dopłynęła do brzegu późnym wieczorem, ciągnąc za sobą tę wielką kobietę, ale potem wszystko wydawało jej się czarną plamą.

Przez cały czas próbowała poruszać zgrabiętymi palcami u rąk i nóg. I za nic nie mogła dociec, o co chodzi w gadaniu lady Carr. Na szczęście żyła, widziała, słyszała i mogła się poruszać. Powoli sprawdzała każdą część ciała i wszystkie okazywały się sprawne.

- Straciłaś włosy, pani - jęknęła kobieta, gdy Isobel uniosła rękę. - Zaczepiły się o jakiś kawał drewna i nie sposób było cię uwolnić. Musieli je obciąć, żeby wyciągnąć cię z morza.

Isobel przesunęła dłonią po głowie i stwierdziła, że rzeczywiście części włosów brakuje, a ostrzyżone są dość nierówno.

- To nie ma znaczenia - powiedziała.

Jej wybawiciel z żoną i dwojgiem dzieci przycupnęli z boku.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Isobel.

Lady Carr nie była tego pewna, więc skierowała wzrok w kąt izby. Stał tam mężczyzna, kłaniający im się w pas, jakby należały do rodziny królewskiej. Pierwszy raz Isobel zauważyła, że Linda jest owinięta kocem i że ona sama pod narzutą z łóżka ma na sobie tylko cienką bawełnianą koszulkę.

- Jesteście, pani, we wsi na północ od Edynburga. A ja jestem rybakiem i znalazłem was, gdy wyciągałem łódź na brzeg. Właśnie zaczyna świtać, więc zaraz wyślę wiadomość do waszych bliskich. Tu obecna dama mówi mi, że byliście w towarzystwie króla i płynęłyście do Dunfermline.

Znowu skłonił głowę.

Marc. Boże, Isobel uświadomiła sobie, że Marc musi teraz odchodzić od zmysłów, jeśli oczywiście udało mu się odeprzeć atak Huntwortha. Bała się zadać następne pytanie, ale rozumiała, że nie ma wyjścia:

- Czy znaleźliście jeszcze innych ludzi?

- Ciała dwóch żołnierzy. Jaśnie pani nie rozpoznała ich.

Lady Carr znowu zaczęła szlochać.

- To było takie straszne. Nie mogłam spojrzeć na ich biedne twarze, wydawali się...

Isobel jej przerwała, zwracając się do rybaka:

- Czy możecie nas odwieźć łodzią do Edynburga, dobry człowieku? Dopilnuję, żeby wasz wysiłek został odpowiednio wynagrodzony.

Spróbowała usiąść, ale zakręciło jej się w głowie i żołądek podszedł jej do gardła.

- Najlepiej będzie, pani, jeśli się położysz - powiedziała lady Carr. - Twarz masz białą jak kreda.

- Nie. Muszę na łódź.

Nogi miała jak z galarety. Przekonała się o tym, gdy zwiesiła je z łóżka. Klepisko, które poczuła pod stopami, było chłodne i gładkie. Dwoje dzieci przyglądało jej się okrągłymi oczami, a Linda Carr wstała i zarzuciła sobie koc na ramiona. Mimo straszliwego łupania w głowie Isobel również stanęła na klepisku, zebrała swoje ubranie, leżące w nogach łóżka, i powoli skierowała się za Lindą do drzwi od podwórza. Wybierała się do pewnego małego pomieszczenia, gdzie mogła znaleźć odosobnienie i spokojnie się ubrać.

Marc błąkał się po nabrzeżu jak pokutująca dusza. Nie zmrużył oka i nie mógł doczekać się świtu, by znów wziąć łódź i wyruszyć na poszukiwania Isobel.

Miał poczucie, że wszyscy kierują wzrok właśnie na niego. Ramię miał na temblaku, lewe oko podbite. Huntworth zostawił mu pamiątki na ciele, ale najgorszy był ból, który rozrywał mu wnętrze.

Isobel!

Chciał z nią być. Chciał, żeby mu towarzyszyła w drodze przez życie. Chciał ją kochać i zestarzeć się przy niej, widząc, jak ich dzieci dorastają.

Tymczasem przeszłość znowu wyciągnęła po niego swoje macki. Znów był człowiekiem skazanym na samotne życie w wojsku.

Mariner przyszedł do niego na nabrzeże. - Rano morze wyrzuciło następne ciała, ale jej wśród nich nie było. - Nadzieja zapłonęła, ale natychmiast zgasła. Tyle przecież jest miejsc, do których prądy morskie mogą zanieść topielca. - Król przysłał wiadomość, że wraca dziś przed południem. Wygląda na to, że cały dwór jest głęboko wstrząśnięty postępowaniem McQuarry'ego.

Skinął głową, ale właściwie nie słuchał Marinera. Nie obchodziło go wzburzenie innych, bo nikt nie rozumiał jego straty. Nie chciał niezręcznej troskliwości króla ani współczucia, ja-

kiego doświadczał tu, na nabrzeżu, ze strony swoich ludzi. Chciał tylko odzyskać swoją Isobel, trzymać w objęciach tę wrażliwą, ciepłą i dzielną kobietę.

Przypominał sobie, kiedy widział ją ostatni raz. Nieustraszona rzuciła się do morza i znikła we mgle, oddalając się od łodzi miarowymi ruchami ramion. Wyciągnęła z topieli lady Anne, jej męża i przyjaciela, ale Linda Carr wciąż była zaginiona, a Geoffrey Kinburn napomykał, że Linda wpadła w panikę. Marc pamiętał tę kobietę słusznych rozmiarów. Może Isobel próbowała ją ratować i utonęły razem?

Nie. Nie mógł stać bezczynnie. Musiał coś zrobić, żeby ją znaleźć.

Isobel czuła, że zaraz zwymiotuje. Była osłabiona i po raz pierwszy w życiu słabo znosiła kołysanie łodzi. Powoli wstawał chłodny świt.

Z całej siły zacisnęła dłonie na ławie, na której siedziała. Próbowała pobudzić wolę, by pozbyć się mdłości i drżenia, które ją ogarnęło, gdy zaczęli zbliżać się do brzegu.

W czasie, gdy toczyła tę walkę z sobą, przypominał jej się Simon, obcy, którego wyciągnęli z wody niedaleko Fife Ness. Zamknęła oczy, pochłonięta tym wspomnieniem.

- Ahoj! - zawołał głośno rybak.

Isobel otworzyła oczy i spojrzała, do kogo był skierowany okrzyk. Mgła tego ranka nie była gęsta i występowała tylko miejscami. Mniej więcej dwieście metrów od nich na wodzie rysował się kształt innej łodzi.

- Jesteśmy uratowani! - Linda Carr zaczęła krzyczeć, a jej głos niósł się daleko po wodzie.

Wkrótce od strony łodzi również rozległy się okrzyki i dźwięk rogu. Serce Isobel zabiło mocniej. To był on. Wiedziała, że tak jest. Wyruszył jej szukać, gdy tylko na niebie pojawił się wczesny blask jutrzeńki.

- To łódź - powiedział Mariner. - Trzy osoby w środku.

- Jest kobieta. Jedna kobieta.

Marc widział jaskrawe okrycie dużej, krągłej postaci. Czy mogła to być lady Carr? Próbował przyjrzeć się sylwetkom obok niej, skupiając uwagę na długości włosów.

Serce mu zamarło. Gdy łódź nieco się zbliżyła, zauważył, że obok kobiety siedzi młody człowiek z ciemnymi włosami przyciętymi na sposób ulubiony przez paziów, a trzecią osobą na łodzi jest rybak, bez wątpienia jeden z wielu, którzy mieszkali nad brzegiem tej części zatoki.

Ciężko westchnął. Boże, że też ta kobieta, którą ratowała Isobel, przeżyła, a ona sama zginęła. To było dla niego nie do przyjęcia. Wybuchnął gniewem.

Jeszcze czterdzieści metrów, trzydzieści...

I nagle ją zobaczył. To jednak ona, blada, wycieńczona. Ich spojrzenia się spotkały i jego uczuć nie wyraziłyby żadne słowa.

Cud.

Rozległy się powitalne okrzyki. Obie łodzie zetknęły się burtami. Marc wyciągnął rękę i poczuł w niej dłoń Isobel, drobną i lodowatą. Zaraz potem przeniósł dziewczynę na swoją łódź i drżącą z zimna przykrył peleryną. Wreszcie była bezpieczna.

- Gdzieś ty była, do diabła? - szepnął jej do ucha Marc. - Szukałem cię wszędzie.

Na lewym ramieniu miał grubą bandaż.

- Próbowałam do ciebie wrócić.

Obiecała mu, że nie będzie płakać, ale nie umiała powstrzymać łez. Szlochała tak przejmująco i głośno, że niemal dorównała lady Carr. Nic jej to nie obchodziło. Miała dosyć okazywania dzielności i siły. Została jej tylko szczerłość i uczciwość.

- Och, kochana - szepnął i pogłaskał ją po brutalnie skróconych włosach.

Spojrzała na niego.

- Obcięli... żeby mnie ratować.

W tej chwili nie dbał o jej wygląd. Uśmiech, który rozjaśniał mu spojrzenie, był promienny i szczerzy.

- Czy Stuart McQuarry nie żyje?

Musiała mieć pewność, że nic już im z jego strony nie grozi.

- Nie żyje.

- Kocham cię - szepnęła, wciąż płacząc.

W tej chwili zauważyła, że przygląda im się nie tylko Mariner z kilkoma swoimi ludźmi, lecz również lady Carr, która wreszcie przestała płakać, i jeszcze pięciu żołnierzy w barwach Dawida.

Czy ściągnie na nich niebezpieczeństwo, publicznie wyznając miłość? Czy nawet teraz spotkają ich przykre konsekwencje? Zamknęła oczy, uznawszy, że razem z Markiem sprosta wszystkiemu. Przy nim miała poczucie, że nareszcie znalazła się w domu.

Następnego ranka wezwano ich na dwór, na audiencję u króla. Gdy weszli do wielkiej sali, było tam już mnóstwo ludzi, którzy rozstąpili się i pozwolili im przejść. Lordowie i damy w odświętnych strojach.

Nawet trębacze odegrali dla nich sygnał, gdy szli wśród długich proporców w barwach Dawida, rozwieszonych na ścianach. Ze wszystkich stron witały ich uśmiechy i pozdrowienia.

Gdy przystanęli przed królem, Dawid wstał. W czerwonym królewskim płaszczu podbitym gronostajami wyglądał ponad wszelką wątpliwość majestatycznie. Isobel z obawą pomyślała, że zostanie zaraz rozdzielona z Markiem obwieszczeniem, że król znalazł jej męża.

- Lady Dalceann, przybyłaś na ten dwór jako pokonana córka Ceann Gronna. Teraz stoisz tutaj jako wybawicielka czworga ludzi z najdostojniejszych rodów Edynburga.

Kinburnowie, których wcześniej nie zauważyła, wystąpili naprzód, a za nimi lady Carr z mężem.

Wszyscy czworo skłonili się przed nią nisko w wyrazie szacunku i wdzięczności.

- Powiedziałem, że dam ci miesiąc na wybór męża z dobrej rodziny o znanym nazwisku. Teraz jednak wycofuję się z tej obietnicy. Chcę wybrać go za ciebie, a człowiek, który będzie twój, stanie się przez to hrabią na moim dworze i głową starego rodu o szanowanym nazwisku.

Isobel zwróciła się ku Marcowi, on jednak nie patrzył na nią. Ramiona miał opuszczone wzdłuż ciała, ręce zaciśnięte w pięści.

Boże, spraw, żebyśmy nie musieli się teraz rozstać! - powtarzała w myślach. Przecież tyle przeszli. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, król odezwał się znowu.

- Podejdź bliżej, sir Marcu de Courtenay.

Przy królu Marc wydawał się wysoki i mocno zbudowany.

- Przybyłeś do Edynburga na mocy naszej umowy z królem Filipem i wykazałeś się lojalnością i wierną służbą, za co składam ci podziękowanie. Jest jednak również inna sprawa, o której chciałbym pomówić. Krążą pogłoski, że Stuart McQuarry, hrabia Huntworth, nie żyje. Poległ w nieudanym zamachu na twoje życie. Z moich informacji wynika jednak, że nie był to ostatni członek rodu McQuarrych. Pozostał jeszcze jeden, najszlachetniejszy i najdzielniejszy ze wszystkich. Tym człowiekiem jesteś właśnie ty, lordzie Marcu, hrabio Huntworth.

Zebrani przeżyli nie mniejsze zaskoczenie niż Isobel. Czy to, o czym mówił król, zostało sprawdzone i udowodnione ponad wszelką wątpliwość? Czekwała na pierwsze słowa Marca.

- Jako hrabia Huntworth chcę prosić o rękę lady Isobel Dalceann.

Król nagle się uśmiechnął.

- Isobel Dalceann, czy przyjmujesz propozycję tego człowieka?

- Przyjmuję, panie. Tylko jego pragnę na swojego męża.

Trzy godziny później wciąż się weselono. Uroczystość zaślubin nowego hrabiego Hun-
tworth z Isobel Dalceann miała pozostać w pamięci dworu na długo.

Nie był to sojusz zawarty z rozsądku, nie chodziło w nim o politykę ani o chęć posiadania. Było to najprawdziwsze małżeństwo z miłości. Długo trwało, zanim wszyscy złożyli nowożeńcom najserdeczniejsze życzenia.

Nocą, po zakończonej ceremonii zaślubin, małżonkowie leżeli spleceni w objęciach, ciesząc się swoją bliskością. Do ich komnaty wlewał się błydy blask miesiąca w pełni, widocznego na bezchmurnym niebie.

- Dziękuję Bogu, że tak dobrze pływasz, Isobel. Powinienem był nie tracić nadziei i mieć więcej wiary po tym, jak wyciągnęłaś mnie na brzeg Fife Ness.

- Po pięciu godzinach byłam bliska rezygnacji. Twoja miłość kazała mi jednak walczyć dalej.

- Gdybym cię stracił...

Zawiesił głos, ponieważ nie chciał nawet myśleć o bólu i rozpacz, w których by się pograżał.

- Nigdy mnie nie stracisz... bo cię kocham.

Mocniej przytulił ukochaną żonę. Pomyślał, że wreszcie znalazł swoje miejsce na ziemi, i postanowił, że zarówno w zamku Ceann Gronna, jak i w zamczysku w Stirling będzie głośno od dokazywania ich dzieci, a potem wnuków.

Uśmiechnął się, ucałował ją czule i powiedział:

- Oddaję ci swoje serce. Na zawsze.

Gdy odwzajemniła jego uśmiech, pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział, by Isobel tak pięknie wyglądała.

